

# Boris Vian WYRYWACZ SERC



Wm15

**Boris Vian**  
**WYRYWACZ**  
**SERC**

**Przełożył**  
**Marek**  
**Puszczewicz**

**WM15**

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## I

*28 sierpnia*

Ścieżka biegła wzdłuż stromego wybrzeża. Obrośnięta była kwitnącymi zgorzelinami i lekko przywiędłymi łupinowcami, których poczerniałe płatki usłały ziemię. Jakieś spiczaste insekty podziurawiły glebę tysiącem małych dziurek; pod stopami czuło się jakby martwą gąbkę chłodu.

Zmar szedł nie spiesząc się i patrzył na zgorzeliny, których ciemnoczerwone serca były w blasku słońca. Przy każdej pulsacji unosiła się chmura pyłku, po czym opadała na liście poruszane powolnym drganiem. Pszczoły z roztargnienia zapomniały przylecieć.

Od podnóża skały wznosił się delikatny i chrapliwy odgłos fali. Zatrzymawszy się, Zmar wychynął poza wąski gzyms, który oddzielał go od otchłani. W stromej głębinie wszystko było oddalone, a piany drżały w zagłębieniach skał jak lipcowy przymrozek. Czuć było przysmażanymi wodorostami. Zmar, pochwycony przez zawrót głowy, przyklęknął na letniej trawie powalanej ziemią, dotknął gruntu obiema wyciągniętymi rękoma; napotkawszy, czyniąc ten gest, kozie bobki o dziwnie nieregularnych konturach stwierdził pośród tutejszych zwierząt obecność pewnego capa z Sodomy, którego uważał za gatunek wymarły.

Teraz bał się mniej i ponownie ośmielił się wychylić ze zbocza. Wielkie kawały czerwonej skały opadały pionowo w niezbyt głęboką wodę, skąd prawie natychmiast się wydzwigały, by zrobić miejsce czerwonej falezie, ze szczytu której wychylał się klęczący Zmar.

Miejscami wynurzały się czarne rafy oliwione przez falę przybojową i zwieńczone pierścieniami. Słońce drążyło powierzchnię morza i brukało ją sprośnymi napisami.

Zmar podniósł się i ruszył w dalszą drogę. Ścieżka zakręcała. Po lewej dostrzegł pocętkowane już na rudo paprocie i kwitnące wrzosy. Na obnażonych skałach lśniły kryształy soli naniesione przez przypyływy. W głąb lądu ziemia wznosiła się spadzistym zboczem. Ścieżka okręcała brutalne masy czarnego granitu, poznaczonego miejscami przez kozie łajno. Kóz nie było wcale. Celnicy zabijali je z powodu bobków.

Przyspieszył kroku i nagle znalazł się w cieniu, gdyż promienie słoneczne nie mogły za nim nadążyć. Wzmocniony przez chłód, szedł jeszcze szybciej. Kwiaty zgorzelin

przemieniały się w jego oczach w długą, ognistą tasiemkę.

Po pewnych oznakach poznał, że zbliża się i spróbował zaprowadzić porządek w swojej postrzępionej, rudej brodzie. Po chwili ruszył żwawo. Nagle Dom ukazał mu się w pełnej krasie pomiędzy dwoma spiczastymi, granitowymi szczytami, wyrzeźbionymi przez erozję na kształt smoczków i okalającymi ścieżkę jak filary gigantycznego, tajemnego przejścia. Droga znowu wykręcała, więc stracił Dom z widoku. Stał on dość daleko od urwiska, całkiem na szczycie. Gdy Zmar przeszedł pomiędzy dwoma ciemnymi blokami, Dom objawił się całkowicie, bardzo biały i otoczony niezwykłymi drzewami. Jasna linia odchodziła od portalu, wiła się leniwie wokół pagórka i pod koniec biegu łączyła się ze ścieżką. Zmar nią ruszył. Przybywszy prawie na szczyt zbocza zaczął biec, gdyż usłyszał krzyki.

Od szeroko rozwartego portalu aż do podestu jakaś przewidująca ręka zawiesiła tasiemkę z czerwonego jedwabiu. Tasiemka wiodła po schodach i kończyła się w sypialni. Zmar poszedł za nią. Na łóżku spoczywała matka wydana na pastwę stu trzynastu bóli porodowych. Zmar upuścił swoją skórzaną walizeczkę, zwinął rękawy i namydlił ręce w korytku z surowej lawy.

## II

Angel, samotny w swym pokoju, dziwił się, że nie cierpi. Słyszał, jak jego żona jęczy tuż obok, lecz nie mógł iść potrzymać jej za rękę, bo groziła mu rewolwerem. Wolała krzyczeć w samotności, gdyż nienawidziła swojego wielkiego brzucha i nie chciała, by ktoś ją oglądał w tym stanie. Od dwóch miesięcy Angel był samczekając, aż to wszystko się skończy; medytował o najbardziej przyziemnych sprawach. Także dość często chodził w kółko dowiedziawszy się z reportaży, że więźniowie kręcą się jak zwierzęta (tylko jakie?). Próbował zasnąć i zasypiał dumając o kobiecych pośladvach, bo ze względu na brzuch wolał myśleć o niej od tyłu. Co drugą noc budził się gwałtownie. Zło w zasadzie zostało dokonane i nic w tym nie można było znaleźć pocieszającego.

Na schodach rozległy się kroki Zmara. W tym samym momencie urwały się krzyki kobiety i Angel osłupiał. Zbliżywszy się powoli do drzwi próbował zajrzeć, lecz dolna część łóżka kryła całą resztę i tylko boleśnie zwichnął sobie oko, bez specjalnego rezultatu. Wyprostował się i nadstawił ucho, do nikogo w szczególności.

## III

Zmar odłożył mydło na brzeg korytka i wziął gąbczastą serwetkę. Wytarł ręce i otworzył walizeczkę. Gdzieś niedaleko woda bulgotała w czajniku elektrycznym. Wysterylizował w niej swój gumowy paluch, zgrabnie włożył go sobie na palec i obnażył kobietę, żeby zobaczyć w czym rzecz.

Zobaczywszy wyprostował się i rzekł tonem pełnym obrzydzenia:

– Jest ich troje.

– Troje... – wyszeptła matka zdziwiona.

Po czym ponownie zaczęła wyć, bo brzuch przypomniał jej nagle, że bardzo ją boli.

Zmar wyjął ze swojej walizeczki kilka tabletek wzmacniających, które połknął wiedząc, że będą mu niezbędne. Następnie zdjął fajerkę do ogrzewania łóżka i mocno walnęła nią o podłogę, żeby zawezwać służbę. Usłyszał jak biegnie gdzieś dole, a potem wpada na schody. Pojawiła się niańka ubrana na biało jak na chiński pogrzeb.

– Przygotuj narzędzia – powiedział Zmar. – Jak się nazywasz?

– Nazywam się Białodupska, psze pana – odparła z silnym, wiejskim akcentem.

– W takim razie wolę cię w ogóle nie nazywać – burknął Zmar.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała i zaczęła pucować niklowane przedmioty. Zbliżył się do łóżka. Nagle rodząca zamilkła. Ból ją po prostu gwałcił.

Zmar wyjął jeden z przedmiotów z walizki i wprawną ręką ogolił wzgórek łonowy. Później jednym maźnięciem białej farby zaznaczył pole działania. Niańka patrzyła na jego poczynania nieco osłupiała, gdyż jej wiedza w dziedzinie położnictwa nie wykraçała poza cielenie się krowy.

– Macie encyklopedię medycyny? – zapytał Zmar, odkładając pędzelek.

To powiedziawszy i wykonawszy, pochylił się nad swoim dziełem i dmuchnął na farbę, żeby szybciej wyschła.

– Mamy tylko „Vademecum wiertnika studziennego” – odrzekła niańka.

– To kiepsko – stwierdził Zmar. – Być może czegoś byśmy się dowiedzieli.

I nie słuchając już odpowiedzi, pozwolił swoim oczom błądzić po pomieszczeniu. Jego spojrzenie padło na drzwi, za którymi nudził się Angel.

– Kto nudzi się za tymi drzwiami? – zapytał.

– To pan... – odrzekła niańka. – Jest zamknięty.

W tym momencie matka wyrwała się z odrętwienia i wydała serię bardzo ostrych krzyków. Jej pięści zaciskały się i rozwierały. Zmar zwrócił się do niańki.

– Masz miednicę? – zapytał.

– Pójdę poszukać – odpowiedziała niańka.

– Ruszaj się, głupie stworzenie – rzekł Zmar. – Chcesz, żeby zniszczyła nam prześcieradło?

Niańka wypadła jak burza i Zmar usłyszał z satysfakcją jak spada ze schodów na pysk.

Zbliżył się do kobiety. Delikatnie pogłaskał przerażoną twarz. Złapała go za przegub

obiema rękoma.

– Chce pani zobaczyć się z mężem? – zapytał.

– Och! Tak – odparła. – Tylko niech mi pan najpierw poda z szafy rewolwer...

Zmar pokiwał głową. Wróciła niańka, niosąc owalny szaflik do szorowania psów.

– To wszystko, co mam – powiedziała. – Musi pan sobie dać jakoś z tym radę.

– Pomóż mi wsunąć jej to pod biodra – rzekł Zmar.

– Brzeg jest ostry – zauważyła niańka.

– Jak się wydaje – odpowiedział. – W ten sposób ją ukarzymy.

– To bez sensu – mruknęła niańka. – Ona nie zrobiła nic złego.

– A co zrobiła dobrego?

Zgrubiałe plecy matki spoczywały na krawędzi płaskiego szaflika.

– Teraz – westchnął Zmar – co dalej? Cała ta historia to na pewno nie robota dla psychiatry...

## IV

Zastanawiał się niepewnie. Kobieta milczała, a nieruchoma służąca patrzyła na niego z twarzą pozbawioną wyrazu.

– Najpierw muszą odejść wody – powiedziała.

Zmar przytaknął, lecz nie zareagował. Później poruszony uniósł głowę. Światło ciemniało.

– Czy to słońce się chowa? – zapytał.

Służąca poszła zobaczyć. Światło ulatywało poza falezę i zerwał się bezgłośny wiatr. Wróciła zaniepokojona.

– Nie wiem, co się dzieje... – wyszeptała.

W pokoju nie można było rozróżnić nic prócz fluorescencji wokół lusterka na kominu.

– Usiądźmy i zaczekajmy – zaproponował Zmar łagodnym głosem.

Od okna napływał zapach gorzkich ziół i kurzu. Światło całkowicie zniknęło. W głębi mroku sypialni matka zaczęła mówić.

– Już nigdy więcej nie będę ich miała – powiedziała. – Nigdy więcej tego nie zechcę.

Zmar zatkał sobie uszy. Miała głos skrzypiący, jakby ktoś skrobał paznokciami po miedzi. Dźwięk opanowywał głowę Zmara i kłuł mu mózg. Prerażona niańka zaszlochała.

– One zaraz wyjdą – powiedziała matka z głośnym śmiechem. – Wyjdą, sprawią mi

ból, a to będzie dopiero początek.

Łóżko zaczynało jęczeć. Matka dyszała w ciszy, a głos ciągnął dalej:

– Miną lata, całe lata, każda godzina, każda sekunda będzie być może celem, a to cierpienie posłuży tylko temu, aby zadawać mi ból przez cały czas.

– Dostyc – wyraźnie szepnął Zmar.

Teraz matka wyła aż do zdarcia gardła. Oczy psychiatry przyzwyczajały się do światła emanowanego przez lustro. Zobaczył leżącą kobietę o ciele wygiętym w łuk, napinającą wszystkie swe członki. Wydawała przeciągłe, powtarzające się okrzyki, a głos rozbrzmiewał w uszach Zmara jak całun mgły, cierpkiej i kleistej.

I nagle pomiędzy dwuściennym kątem uniesionych nóg pojawiły się jedna po drugiej dwie jaśniejsze plamki. Domyślił się, co się stało, z ruchów niańki, która wyzwoliła się z przerażenia, by złapać dwoje dzieci i zawinąć w bieliznę.

– Jeszcze jeden – powiedział do siebie.

Skatowana matka wyglądała jakby chciała zaniechać wysiłków. Zmar podniósł się. Ponieważ wychodziło trzecie dziecko, schwycił je zgrabnie i pomógł rodzącej. Opadła zmordowana. Noc pękała bezgłośnie i światło przenikało do pokoju, zaś kobieta odpoczywała, głowę odrzuciwszy na bok. Wielkie sińce znaczyły jej twarz pooraną przez wysiłek. Zmar wytarł sobie czoło i kark, i zdziwił się słysząc odgłosy z zewnątrz, z ogrodu. Niańka kończyła zawijanie ostatniego dziecka i położyła je na łóżku, obok dwóch pozostałych. Podeszła do szafy, z której wzięła prześcieradło, rozwijając je na całą długość.

– Obwiąż jej brzuch – powiedziała – i musi spać. A pan niech już idzie.

– Odcięłaś pępowiny? – zatroszczył się Zmar. – Dobrze je podwiąż.

– Zrobiłam kokardki – powiedziała niańka. – Trzyma się równie mocno, a jest bardziej eleganckie.

Przytaknął otepiały.

– Niech pan pójdzie do pana – zasugerowała niańka.

Zmar podeszedł do drzwi, za którymi czekał Angel. Przekreślił klucz i wszedł.

## V

Angel siedział na krześle z plecami wygiętymi w zaokrąglony kąt, a ciało jego jeszcze rezonowało od okrzyków Klementyny. Na szczęk zamka podniósł głowę. Ruda broda psychiatry zaskoczyła go.

– Nazywam się Zmar – wyjaśnił ów. – Przechodziłem drogą i usłyszałem krzyki.

– To była Klementyna – rzekł Angel. – Wszystko dobrze poszło? Już skończone?

Niech pan powie.

– Jest pan potrójnymojcem – odparł Zmar.

Angel zdziwił się:

– Trojaczki?

– Bliźniaki i jeden samotnik – uściślił Zmar. – Wyszedł wyraźnie po tamtych. To oznaka silnej osobowości.

– Jak ona się czuje? – zapytał Angel.

– W porządku – powiedział Zmar. – Zobaczysz ją pan trochę później.

– Ona jest na mnie bardzo wściekła – rzekł Angel. – Zamknęła mnie.

Padłszy ofiarą konwenansów dorzucił:

– Napije się pan czegoś?

Podniósł się z trudem.

– Dziękuję – odparł Zmar. – Nie teraz.

– Co pan tu robi? – zapytał Angel. – Przyjechał pan na wakacje?

– Tak – odpowiedział Zmar. – Myślę, że nie będzie mi tu źle u was, skoro pan proponuje, bym został.

– To szczęście, że pan się tu znalazł – stwierdził Angel.

– Nie macie doktora? – zapytał Zmar.

– Zostałem zamknięty – powiedział Angel. – Nie mogłem się tym zająć. Dziewczyna z firmy miała wszystko załatwić. Jest bardzo oddana.

– Ach!... – westchnął Zmar.

Zamilkli. Zmar cesał swoją rudą brodę pięcioma rozczapierzonymi palcami. Jego niebieskie oczy lśniły w słońcu wpadającym do pokoju. Angel spojrział na niego uważnie. Zmar nosił garnitur z czarnej, sprężystej tkaniny, obcisłe spodnie ze strzemiączkami i długą, zapinaną aż pod szyję marynarkę, która zmniejszała jego pleczystość. Na stopach miał sandały wykrojone z czarnej, lakierowanej skóry, a w rozcięciu jego marynarki kipiała koszula z liliowej satyny. Był szalenie zwyczajny.

– Cieszę się, że pan tu zostaje – powiedział Angel.

– Niech pan teraz pójdzie zobaczyć się z żoną – zaproponował psychiatra.

## VI

Klementyna nie poruszała się. Spoczywała całkiem płasko z oczyma utkwionymi w suficie. Dwa zuchy leżały po jej prawej stronie, trzeci po lewej. Niania posprzątała pokój. Słońce płynęło bezgłośnie po krawędzi otwartego okna.



– Jutro trzeba je odstawić od piersi – powiedział Zmar. – Ona nie będzie mogła wykarmić dwóch plus jednego, poza tym tak szybciej pójdzie, a po trzecie zachowa ładny biust.

Klementyna poruszyła się i odwróciła głowę w ich stronę. Otworzyła przenikliwe oczy i przemówiła:

– Wykarmię je sama – rzekła. – Całą trójkę. I to nie zniszczy mi piersi. A jeśli zniszczy, to tym lepiej. W każdym razie nie pragnę podobać się komukolwiek.

Angel podszedł i chciał pogłaskać ją po ręce. Wyrwała się.

– Wystarczy – powiedziała. – Nie mamochoty rozpoczynać teraz od nowa.

– Posłuchaj – szepnął Angel.

– Odejdź – powiedziała zmęczonym głosem. – Nie chcę cię widzieć w tej chwili. To za bardzo mnie bolało.

– Nie czujesz się lepiej? – zapytał Angel. – Spójrz... Twój brzuch, który tak bardzo cię drażnił. Już go prawie nie masz.

– A przy tym prześcieradło, które ma pani na sobie – dorzucił Zmar – kiedy się pani podniesie, nie będzie nawet śladu.

Klementyna uczyniła wielki wysiłek i na wpeł się uniosła. Przemówiła niskim i świszczącym głosem:

– Powinam się czuć lepiej, co?... ot tak... zaraz po tym... przy moim rozdartym brzuchu... przy moich obolałych plecach... przy moich poskręcanych i bolących kościach miednicy, moich oczach pełnych czerwonych żyłek... powinam się wziąć w garść, być rozsądną, odzyskać piękną, płaską sylwetkę, piękny, jędrny biust... żebyś ty, albo jakiś inny przychodził mnie przygniatać i rzucać na mnie swoje świństwo, i żeby się to znów zaczęło, żeby mnie bolało, żeby byłam ciężka, żebym krwawiła...

Gwałtownym ruchem wsunęła rękę pod kołdrę i wyszarpnęła prześcieradło, które opasywało jej ciało. Angel wykonał nieznaczny gest.

– Nie zbliżaj się! – krzyknęła głosem tak pełnym nienawiści, że mąż znieruchomiał bez słowa. – Odejdźcie! – zawołała. – Obaj! Ty – dlatego żeś mi to zrobił, a pan – dlatego, że mnie pan widział w takim stanie. Dalej!... Wynocha!

Zmar skierował się ku drzwiom, a za nim udał się Angel. Kiedy był już w przejściu, dostał w kark zwiniętym w kulę prześcieradłem, którym rzuciła jego żona. Potknął się i czołem uderzył w futrynę. Drzwi zatrzasnęły się za nim.

## VII

Teraz schodzili po schodach z czerwonych płytek, które drżały pod ich stopami. Dom był mocną konstrukcją z grubych czarnych belek i bielonych wapnem ścian. Zmar szu-

kał jakiegoś tematu do rozmowy.

– Później będzie lepiej... – rzucił.

– Mmm... – odrzekł Angel.

– Sumienie pana gryzie? – dociekał Zmar.

– Nie – odparł Angel. – Siedziałem w zamknięciu przez dwa miesiące. I tyle.

Silił się na uśmiech.

– To dziwne uczucie, znów być wolnym.

– Co pan robił przez te dwa miesiące? – zapytał Zmar.

– Nic – odpowiedział Angel.

Przemierzali obszerny hall wyłożony, podobnie jak schody, płytkami z czerwonej kamionki. Było tam niewiele mebli: masywny stół z jasnego drewna, niski kredens z tego samego materiału, a na ścianach wisiały dwa lub trzy białe obrazy, bardzo ładne. Gustowne krzesła. Angel zatrzymał się przy kredensie.

– Napije się pan czegoś? – zapytał.

– Chętnie – odrzekł Zmar.

Angel nalał dwie szklanki plustecznika domowej roboty.

– Wyśmienity! – pochwalił Zmar.

A ponieważ tamten nie odpowiadał, dodał:

– W gruncie rzeczy, jakie to uczucie być ojcem?

– Niezbyt zabawne – odrzekł Angel.

## VIII

*29 sierpnia*

Klementyna była sama. W pokoju nie było słycać najmniejszego odgłosu. Jeśli nie liczyć pluskania słońca, dochodzącego czasem od strony dolnej części zasłon.

Przepełniona ulgą, całkiem otępiała, przesunęła dłońmi po swym płaskim, miękkim brzuchu. Napęczniałe piersi były ciężkie. Było jej swego ciała żal, wstyd i dręczył ją wyrzut sumienia, lecz zapomniała o prześcieradle odrzuconym poprzedniego dnia. Palce przebiegły po zarysie szyi, ramion i nienormalnym obrzęku piersi. Było jej trochę zbyt gorąco, niewątpliwie z gorączki.

Od strony okna dochodził niewyraźny i odległy zgiełk wioski. Była to pora pracy w polu. Słycać było napływające z mrocznych stajni rzenie wsadzonych tam za karę zwierząt, lecz mniej w nim było złości, niżby chciał okazać.

Tuż przy niej spały paskudztwa. Pochwyliła jedno pełna rezerwy i lekkiego obrzy-

dzenia i podniosła je do góry na wyciągniętych rękach. Było różowe i miało małe, wilgotne usta ośmiornicy i oczy z pomarszczonej skóry. Odwróciła głowę, obnażyła jedną z piersi i podała ją paskudztwu. Trzeba było wsunąć mu czubek piersi do buzi i wtedy zacisnął pięści, jego policzki zapadły się. Natychmiast połknął pociągnięty łyk, wydając gardłem obrzydliwy dźwięk. Nie było to przyjemne. Przynosiło lekką ulgę, lecz również kaleczyło. Opróżniwszy pierś w dwóch trzecich paskudztwo zdało się na łaskę i niełaskę i rozłożywszy ręce paskudnie chrapało. Klementyna odłożyła je tuż obok siebie, a ono, nie przestając chrapać, wykonywało ustami dziwne ruchy, ssąc jeszcze przez sen. Czaszkę miało pokrytą marnym puszkciem, a ciemniaczko pulsowało w niepokojący sposób tak, że miało się ochotę nacisnąć pośrodku, żeby przestało.

Dom rozbrzmiał głuchym uderzeniem. Właśnie zamknęły się ciężkie drzwi na dole; Zmar i Angel wyszli. Klementyna miała prawo do życia i śmierci tych trzech śpiących koło niej rzeczy. Należały do niej. Pogłaskała swą ciężką, obolałą pierś. Będzie miała czym wykarmić całą trójkę.

Drugie dziecko rzuciło się łapczywie na brązową brodawkę, którą jego brat niedawno porzucił. Ssało całkiem samo, a ona przeciągnęła się. Kroki Zmara i Angela chrzęściły po żwirze podwórza. Niemowlę piło. Trzecie poruszyło się przez sen. Podniosła je i dała mu drugą pierś.

## IX

Ogród częściowo zwieszał się ze skały i różnorodne gatunki roślin rosły na jego urwistych częściach. Można się było do nich w ostateczności dostać, lecz najczęściej pozostawiano je w naturalnym stanie. Były tam nagniotkowce, których listowie, niebiesko-fioletowe od spodu, jest jasnozielone i białe pożytkowane na zewnątrz; dzikie wiązowce o nitkowanych łodyżkach, ponakrapianych monsturalnymi brodawkami, rozkwitającymi w postaci suchych kwiatów, podobnych do beżów z krwi; kępy lśniących, szaroperłowych gwałtowników sennych; długie kiście kremowych koprzyw, ucepiione dolnych gałęzi araukarii, miętaliptusy, błękitne majonyżki, kilka gatunków bekabungii, której gęsty, zielony dywan zamieszkiwały żywe żabki, szpalery rogmarnów, trzciny kukurydzianej i czułowoni, tysiące nieokielzanych kwiatów, lub skromnych kwiatuszków zagrzebanych w zakamarkach skały, rozciągniętych w formie zasłon po ogrodowych murach, pełzających po ziemi jak jakieś algi, wytryskających zewsząd lub owijających się dyskretnie wokół metalowych sztachetek ogrodzenia. Nieco wyżej ogród horyzontalny był podzielony na świeże i soczyste trawniki, poprzecinane wysypanymi żwirem ścieżkami. Liczne drzewa dziurawiły ziemię swymi chropowatymi pniami.

Właśnie tu Angel i Zmar przyszedli na spacer, zmęczeni po źle przespanej nocy. Świeże, morskie powietrze pokryło kryształem całe urwisko. W górze, w miejscu słońca płońa

nikły ogień o kwadratowymzarysie.

– Ma pan piękny ogród – stwierdził Zmar, nie namyślając się wiele. – Od dawna pan tu mieszka?

– Owszem – powiedział Angel. – Od dwóch lat. Cierpiałem na nieład świadomości. Skopałem sporo spraw.

– Pozostał pewien margines bezpieczeństwa – rzekł Zmar. – Przecież to jeszcze nie koniec.

– To prawda – odrzekł Angel. – Lecz mnie odkrycie tego zabrało więcej czasu niż panu.

Zmar pokręcił głową.

– Mnie się wszystko mówi – zauważył. – W końcu dowiaduję się, co siedzi w ludziach. A propos, czy mógłby mi pan wskazać jakieś obiekty do psychoanalizowania?

– Mnóstwo tu tego – stwierdził Angel. – Będzie miał pan niańkę, kiedy tylko pan zechce. A ludzie ze wsi również nie odmówią. Są może nieco prostacy, ale ciekawi i bogaci duchem.

Zmar zatarł ręce.

– Będę ich potrzebował na kopy – powiedział. – Przeprowadzam obfitą konsumpcję mentalności.

– Jak to? – zapytał Angel.

– Muszę panu wyjaśnić, po co tu przyjechałem – rzekł Zmar. – Poszukiwałem spokojnego kąta do przeprowadzenia doświadczenia. Proszę bardzo: niech pan sobie wyobrazi pocziwego Zmara jako objętość pustą.

– Na przykład beczkę – zaproponował Angel. – Pił pan?

– Nie – odrzekł Zmar. – Jestem pusty. Składałem się z gestów, odruchów, przyzwyczajęń. Chcę się wypełnić. Dlatego psychoanalizuję ludzi. Lecz moja beczka jest beczką Danaid. Ja nie przyswajam. Przyjmuję ich myśli, wahania i nic mi z tego nie zostaje. Nie przyswajam, albo przyswajam zbyt dobrze... na jedno wychodzi. Oczywiście zachowuję słowa, pojemniki, etykiety; znam pojęcia, pod które podstawia się uczucia, emocje, lecz samich nie doświadczam.

– To co w takim razie z tym doświadczeniem? – zapytał Angel. – Pragnie pan jednak tego doświadczenia?

– Jasne – odrzekł Zmar. – Pragnę tego doświadczenia. W gruncie rzeczy jakiego doświadczenia? Takiego oto: chcę przeprowadzić psychoanalizę zupełną. Jestem nawiedzony.

Angel wzruszył ramionami.

– Czy to się już stało? – zapytał.

– Nie – odparł Zmar. – Ten, którego spsyoanalizuję, będzie mi musiał opowiedzieć wszystko. Wszystko. Najbardziej intymne myśli. Najbardziej poruszające sekrety, ukryte myśli, których nie śmie wyjawić przed samym sobą, całą resztę i jeszcze to, co kryje się za tym wszystkim. Jeszcze żaden analityk tego nie dokonał. Chcę zobaczyć, dokąd może udać się zejść w ten sposób. Potrzebuję chęci i pragnień i wezmę to od innych. Przypuszczam, że jeśli do tej pory nic mi z tego nie zostało, to znaczy, że nie poszedłem dość daleko. Chcę dokonać czegoś w rodzaju identyfikacji. Wiedzieć, że istnieją uczucia i nie doznawać ich, to straszne.

– Zapewniam pana – powiedział Angel – że skoro ma pan przynajmniej to pragnienie, to wystarczy, nie był już pan pusty.

– Nie widzę w tym żadnej racji, by robić jakąś rzecz raczej niż inną – powiedział Zmar. – I chcę uzyskać od innych ich racje.

Zbliżyli się do muru za domem. Symetrycznie w stosunku do domu z portalem, przez który Zmar przedostał się poprzedniego dnia, wznosiła się w ogrodzie połączana brama, niszcząca monotonię kamieni.

– Mój drogi przyjacielu – powiedział Angel – pozwól, bym ci powtórzył, że mieć ochotę, żeby mieć ochotę, to już wystarczająca pasja. Dowodem na to jest fakt, że zmusza pana do działania.

Psychiatra pogłaskał swą rudą brodę i zaczął się śmiać.

– To jednak dowodzi jednocześnie braku ochoty – rzekł.

– Ależ skąd – sprzeciwił się Angel. – Żeby nie mieć pragnień ani żadnych ukierunkowań, musiałyby pan przejść przez całkowicie neutralne uwarunkowanie społeczne. Absolutnie nietknięty przez żadne wpływy, pozbawiony wewnętrznej przeszłości.

– To jest właśnie ten przypadek – rzekł Zmar. Takim jak mnie pan tu widzi przed sobą, urodziłem się w zeszłym roku. Proszę spojrzeć w mój dowód osobisty.

Podał go Angelowi, a ten wziął i przejrzał.

– Faktycznie – stwierdził zwracając mu dokument. – To musi być jakaś pomyłka.

– Niech pan posłucha, co pan sam mówi!... – zaprotestował obrażony Zmar.

– To się świetnie wzajemnie uzupełnia – powiedział Angel.

– Dokładne jest to, co jest napisane, lecz to, co jest napisane, jest pomyłką.

– Przy mnie widniała jednak krótka notatka – rzekł Zmar.

– „Psychiatra. Pusty. Do wypełnienia”. Notatka! To nie podlega dyskusji. Tak jest wydrukowane.

– No i co z tego? – zapytał Angel.

– To z tego, że to pragnienie wypełnienia siebie nie pochodzi ode mnie – powiedział Zmar. – Że to już było załatwione awansem. Że nie byłem wolny.

– Ależ owszem – odpowiedział Angel. – Jest pan wolny, ponieważ ma pan jakieś pragnienie.

– A gdybymnie miał żadnego, nawet tego jednego?

– Byłby pan martwy.

– Tam do licha! – zakrzyknął Zmar. – Nie dyskutuję z panem więcej. Pan mnie przeraża.

Przeszli przez bramę i podreptali drogą prowadzącą do wsi. Ziemia była biała i pokryta pyłem. Po obu stronach rosła walcowata trawa – ciemnozielona, gąbczasta, jak świecowe kredki.

– W gruncie rzeczy – sprzeciwił się Zmar – jest wprost przeciwnie. Człowiek jest wolny wyłącznie wtedy, gdy nie ma ochoty na nic, zaś istota doskonale wolna nie powinna mieć ochoty na nic. To dlatego, że nie mam ochoty na nic, uważam się za wolnego.

– Ależ skąd – rzekł Angel. – Ponieważ ma pan ochotę mieć ochotę, ma pan ochotę na coś i całe rozumowanie jest fałszywe.

– Oj! Oj! Oj! – zawołał Zmar jeszcze bardziej oburzony.

– Przecież chcesz czegoś, to tak jakby być przykutym do swego pragnienia.

– Nic podobnego – powiedział Angel. – Wolność to pragnienie, które pochodzi od pana. Zresztą...

Urwał.

– Zresztą – rzucił Zmar – żarty pan sobie ze mnie stroi i tyle. Spsychoanalizuję ludzi i zabiorę im prawdziwe pragnienia, żądze, możliwości wyboru i wszystko, a przez pana to tylko pot się ze mnie leje.

– Dobra – powiedział Angel, który zastanawiał się – zróbmy doświadczenie: niech pan spróbuje przez chwilę (ale za to szczerze) w tych okolicznościach przestać pragnąć pragnień innych. Spróbuj pan. Bądź pan uczciwy.

– Zgoda – rzekł Zmar.

Przystanęli na skraju drogi. Psychiatra zamknął oczy, zdawał się rozluźniać. Angel obserwował go z uwagą.

Nastąpiło coś w rodzaju rozszczepienia się koloru w barwie twarzy Zmara. W subtelny sposób widocznymi częściami jego ciała zawładnęła jakaś przezroczystość, ogarnęła jego ręce, jego szyję, jego twarz.

– Niech pan popatrzy na swoje palce... – szepnęła Angel.

Zmar otworzył prawie bezbarwne oczy. Poprzez swoją dłoń ujrzał czarny krzemień leżący na ziemi. Potem, ponieważ wziął się w garść, przezroczystość zniknęła i profesor ponownie zamienił się w ciało stałe.

– Sampan widzi – powiedział Angel. – Przy pełnym odprężeniu pan nie istnieje.

– Ach! – stęknął Zmar. – Naprawdę, łudzi się pan. Jeśli pan sądzi, że sztuczki kuglar-  
skie będą przyczyną zmiany mych przekonań... Proszę mi wyjaśnić, na czym polega  
pański trick...

– Świetnie – rzekł Angel. – Cieszę się widząc, że jest pan pełen złej wiary i nie pod-  
daje się pan rzeczomoczywistym. To jest zgodne z porządkiem rzeczy. Psychiatra powi-  
nien mieć nieczyste sumienie.

Dotarli do skraju wsi i zgodnie ruszyli w przeciwnym kierunku.

– Pańska żona chce się z panem zobaczyć – rzekł Zmar.

– A skąd pan to może wiedzieć? – odpowiedział Angel.

– Przeczuwam to – odparł Zmar. – Jestem idealistą.

Doszedłszy do domu wspięli się po schodach. Poręcz z rzeźbionego dębu rozpląsz-  
czyła się usłużnie pod krępką dłonią Zmara. Angel pierwszy wszedł do pokoju Kle-  
mentyny.

## X

Zatrzymał się na progu. Zmar czekał, stanąwszy za nim.

– Czy chcesz, żebym wszedł? – zapytał Angel.

– Wejdz – powiedziała Klementyna.

Spojrzała na niego ani przyjaźnie, ani wrogo. Stał, nie śmiąc usiąść na łóżku, w oba-  
wie by jej nie przeszkadzać.

– Nie mogę mieć do ciebie więcej zaufania – stwierdziła. – Kobieta nie może mieć  
więcej zaufania do mężczyzny, od chwili gdy jakiś mężczyzna zrobił jej dziecko.  
A szczególnie właśnie do tego mężczyzny.

– Moja Klementyno – powiedział Angel – jak bardzo cierpiełaś.

Potrząsnęła głową. Nie chciała, by ktoś się nad nią użalał.

– Jutro wstanę – rzekła. – Za sześć miesięcy będą musiały umieć chodzić. Za rok będą  
czytać.

– Czujesz się lepiej – stwierdził Angel. – Znów jesteś sobą.

– To nie była choroba – odrzekła. – Z tym teraz koniec. I więcej się to nie powtórzy.  
W niedzielę muszą zostać ochrzczeni. Będą mieć na imię Joël, Noël i Citroën. To posta-  
nowione.

– Joël i Noël – zauważył Angel – to niezbyt pięknie. Miałaś jeszcze do wyboru  
Azraël, Nathanël a nawet Ariel. Albo Prünel.

– Nic nie zmienisz – powiedziała Klementyna stanowczym głosem – Joël i Noël dla

bliźniaków. Citroën dla trzeciego.

A do siebie powiedziała półgłosem: – Tęgo trzeba będzie trzymać krótko już od samego początku. Będę z nim miała kłopoty, ale jest sympatyczny.

– Jutro – ciągnęła dalej na głos – muszą dostać łóżka.

– Jeśli ma pani zakupy do zrobienia – zaproponował Zmar – to ja mogę się tym zająć. Proszę się nie krępować.

– Dobry pomysł – stwierdziła Klementyna. – Tym sposobem nie będzie pan siedział beczynnie.

– Nie mam takiego zwyczaju – odparł Zmar.

– Lecz istnieje ryzyko, że go pan tu nabierze – odpowiedziała. – Teraz idźcie. Odejdźcie obaj. Niech pan zamówi trzy łóżka u stolarza. Dwa małe i jedno większe. I proszę mu powiedzieć, żeby się postarał. A przy okazji proszę mi przysłać Blankę.

– Dobrze, najśłodsza – powiedział Angel.

Pochylił się, by ją ucałować i wstał. Zmar ustąpił miejsca wychodzącemu Angelowi. Psychiatra zamknął drzwi i podążył za nim.

– Gdzie jest Blanka? – zapytał.

– Na dole... – powiedział Angel. – W pralni. Sprząta. Chodźmy zjeść obiad. Na zakupy pójdziemy później.

– Ja pójdę – powiedział Zmar. – Pan zostanie. Nie mam ochoty znowu zaczynać dyskusji takiej jak przed chwilą. To zbyt wyczerpujące. Nie na tym polega mój zawód. W końcu rola psychiatry jest jasna – psychiatrycz.

## XI

Zmar po raz drugi przeszedł przez bramę w tym kierunku i ruszył drogą w stronę wioski. Po prawej ogrodowy mur, skaliste urwisko, w oddali morze. Po lewej pola uprawne, tu i ówdzie drzewa i żywopłoty. Studnia, której nie dostrzegł rano, zaskoczyła go swym ocembrowaniem z pokrytych platyną kamieni i dwiema wysokimi kamiennymi kolumnami, między którymi na jesionowym kołowrocie wisiał zardzewiały, chropowaty łańcuch. Gdzieś w głębi studni wrzała woda zwieńczając cembrowinę chmurką, szybko rozdieraną na strzępy przez błękitny grzebień nieba.

Ukazały się pierwsze domy, już z oddali uderzały swą prostotą. Były to fermy w kształcie skierowanej ramionami ku drodze litery U. Najpierw była jedna czy dwie po prawej stronie. Ich podwórza były urządzone typowo: kwadratowe z wielkim zbiornikiem pośrodku, pełnym czarnej wody, zamieszkałej przez raki i drzęsistki; po lewej ręce skrzydło domu farmera i jego rodziny; po prawej i w głębi rozmieszczone na pierwszym piętrze stajnie i obory, do których bydłęta dostawały się po dość sztywnym po-



moście. W podstawie obór, składającej się z grubych słupów kryły się kadzie, w których, dzięki sile ciężkości, gromadziły się gnój i gówna. W nie zajętych stajniach przechowywano słomę, ziarno i zapasy paszy. W specjalnym, dobrze urządzonej pomieszczeniu chędożyło się wiejskie dziewczyny. Samo podwórko było wybrukowane szarym granitem, poprzedzianym pasami dobrze utrzymanej walcowatej, gąbczastej trawy, tej samej, co rosła przy drodze.

Zmar postępował naprzód nie widząc nikogo. Ferymy stały się coraz liczniejsze. Teraz były również po lewej stronie, a nieco szersza droga zbaczała w tym kierunku. Łączyła się nagle z czerwonym strumieniem, którego powierzchnia była prawie równa z poziomem ziemi, pozbawiona jakichkolwiek zmarszczek, czy załamań, na niej zaś unosiły się jakieś nie dające się zidentyfikować resztki, jakby pozostałości po procesie trawienia. Tu i ówdzie dawało się słyszeć niezbyt donośny odgłos dochodzący z pustych domów. Zmar usiłował wyodrębnić poszczególne zapachy z bardzo złożonych powiewów dochodzących do niego od każdego z budynków.

Strumień intrygował go bardzo. Początkowo wcale go nie było, a potem nagle płynął szeroko, pełen po brzegi, jakby pod napiętą membraną. W kolorze płwociny suchotnika, jasnoczerwony i gęsty. Istny gwasz. Zmar podniósł kamień i wrzucił go do strumienia. Kamień zanurzył się dyskretnie, bez pluśnięcia, jak w rzece z ptasiego pułchu.

Droga rozrosła się w podłużny plac, zwieńczony nasypem, na którym ciągnące się w szeregu drzewa utrzymywały cichy cień. Droga rozszczepiona na dwoje okrążyła nasyp. Po prawej można było dostrzec jakieś poruszenie i Zmar skierował się w tamtą stronę.

Podszedłszy stwierdził, że był to jedynie jarmark starców. Stała tam drewniana ławka wystawiona na słońce i kilka wielkich głazów, na których siadali ci, co dopiero przyszli. Starcy siedzieli rzędem na ławce, a trzy z kamieni były już zajęte. Można było naliczyć siedmiu mężczyzn i pięć kobiet. Miejski handlarz stał przy ławce, ze swym rejestrem z moleskinu pod pachą. Miał na sobie stary garnitur z kasztanowego aksamitu, podkute buty i, pomimo gorąca, na głowie nosił paskudną czapkę z kreciej skóry. Pachniał brzydko, a starcy jeszcze bardziej. Wielu z nich siedziało nieruchomo, ręce złożony na swych wyglansowanych, wskutek zużycia, kijach, przykryci brudnymi, bezkształtnymi szmatami, nie ogoleni, pokryci zmarszczkami i brudem, o oczach pomarszczonych w wyniku zbyt częstego pracowania na słońcu, przeżuwali coś swymi bezzębymi ustami, w których tkwiły jedynie cuchnące pieniaki.

– No więc – powiedział handlarz – ten nie jest drogi i jeszcze się może nadać. No więc, Skowronek, nie weźmiesz go dla swych dzieciaków? On może jeszcze ich doglądać, wiesz.

– A one mogą jemu oglądać! – zawołał mężczyzna.

– A jak! Pewno – potwierdził handlarz miejski. – Cho no tu, staruchu.

Podniósł go. Tamten, zgięty w pół, podszedł o krok.

– Pokazuj no, co tam masz w galotach! – zawołał handlarz.

Swymi drżącymi palcami starzec zaczął rozpinać rozporek.

Jego brzegi były lśniące od tłuszczu i częstego używania. Ludzie parsknęli śmiechem.

– Popatrzcie no tylko! – zawołał Skowronek. – To prawda, że ma tam coś jeszcze!

Pochylił się nad starcami zważył w rękę smętny strzęp, skręcając się ze śmiechu.

– No dobra! Biorę go – powiedział do handlarza. – Daję ci za niego sto franków.

– Sprzedany! – zawołał handlarz.

Zmar wiedział, że na wsi jest to rzecz normalna, lecz po raz pierwszy brał udział w jarmarku starców i widowisko zaskoczyło go.

Starzec zapiął się i stał dalej.

– Zjeżdżaj no staruchu! – zawołał Skowronek, dając mu kopniaka, po którym tamten omal się nie przewrócił. – Dalej, dzieciaki, bawcie się!

Stary ruszył w drogę drobnym kroczkiem. Dwójka dzieci odłączyła się od grupy. Jedno z nich zaczęło go okładać po plecach szpicrutą, a drugie uwiesiło mu się u szyi, chcąc go przewrócić. Starzec rozciągnął się jak długi, ryjąc nosem w kurzu. Ludzie nie patrzyli na to. Jedyne Zmar, zafascynowany, obserwował dzieci. Starzec klęknął, nos miał zdarty do krwi i coś wypluł. Zmar odwrócił się i powrócił do głównej grupy. Handlarz targował teraz mniej więcej siedemdziesięcioletnią kobietę, grubą i niską, której rzadkie i przetłuszczone włosy sięgały poza stary, czarny szal.

– Dalej, ta jest w niezłym stanie – zawołał. – Kto ją chce? Nie ma ani jednego zęba. To może być wygodne.

Zmar poczuł lekkie obrzydzenie. Uważnie przyjrzał się otaczającym go twarzom. Byli to mężczyźni od trzydziestu pięciu do czterdziestu lat, solidni, twardzi, pewnie i prosto noszący swe czapki na głowach. Rasa zdawała się krzepka i odporna na wszystko. Niektórzy nosili wąsy. A to najlepszy dowód.

– Sześćdziesiąt franków za Adelę! – ciągnął dalej handlarz. – I ani jednego zęba za te pieniądze. Czysty interes. Ty, Chrześcijanin? A ty, Nagusie?

Wymierzył solidne klepnięcie w plecy staruszki.

– Wstawaj, stara szkapo, niech cię ludzie zobaczą! Dalej, tu się załatwia interesy.

Stara wstała.

– Odwróć się – powiedział handlarz. – Pokaż tyłek towarzystwu. Hej, wy tam, popatrzcie!

Zmar usilnie starał się nie patrzeć. Stara cuchnęła tak wstrętnie, iż pomyślał, że chyba zemdleje. Ujrzał przerażającą, tłustą i obrzmiałą od hemoroidów masę.

– Pięćdziesiąt... – rzucił jakiś piskliwy głos.

– Bierz ją, należy do ciebie! – zakrzyknął handlarz.

Zanim stara zdołała opuścić swą spódnicę z bawełnianego materiału, popchnął ją siarczystem kłapsem. Zmar stał tuż przy olbrzymim, ciemnowłosym kolosie, który śmiał się z całego serca. Położył mu rękę na ramieniu.

– Dlaczego pan się śmieje? – zapytał. – Nie ma pan wstydu?

Tamten nagle przestał się śmiać.

– Mówi pan, że czego to ja nie mam?

– Nie ma pan wstydu? – łagodnie powtórzył Zmar. – Przecież oni są starzy.

Nim się spostrzegł, dostał cios pięścią. Kieł rozciął mu wargę. Poczul w ustach słony smak krwi. Stracił równowagę i spadł z chodnika na drogę. Nikt na niego nie patrzył. Licytacja trwała dalej.

Podniósł się i dłońmi otrzepał zakurzone spodnie. Znajdował się za półkolem mrocznych i wrogich pleców.

– Patrzcie na tego! – nawoływał głos zachwalacza. – Ma drewnianą nogę. To jest coś. Sto dziesięć franków na początek! Sto dziesięć!

Zmar oddalił się. Poprzeczna ulica, odchodząca od końca placu zdawała się kryć kilka sklepików. Kilka minut później wszedł do stolarza. Był zmieszany i źle się czuł. Drzwi zamknęły się za nim, a on czekał, aż ktoś się pojawi.

## XII

Szeffa nie było w tym pomieszczeniu, stanowiącym coś w rodzaju brudnego biura. Poczerniała podłoga ze zniszczonego świerku, stół z czarnego drzewa, na ścianie stary kalendarz, w jednym z kątów brudny ślad po piecyku, dwa krzesła, z których wyłaziła słoma – takie było umeblowanie. Ścianki z desek. W głębi znajdowały się uchylone drzwi, spoza których dochodziły odgłosy warsztatu: nieregularne uderzenia, których dwie serie nakładały się na siebie, nie mieszając się jednak.

Zmar ruszył w kierunku warsztatu.

– Jest tu kto? – zapytał półgłosem.

Uderzenia nie przestały rozbrzmiewać, więc wszedł. Światło wpadało do warsztatu z góry. Była to dość długa szopa, dość obszerna, zarzucona deskami, wyrobami wikliniarskimi, różnymi przygotowanymi do obróbki zestawami. Stały tam trzy lub cztery stoły stolarskie, mała piła taśmowa, wiertarka i frezarka do drewna, której żeliwna pod-

stawa wyglądała na pękniętą. Na ścianach wisiały różnorodne narzędzia, w niezbyt dużej liczbie. Po prawej, tuż przy drzwiach, przez które wszedł Zmar, leżała potężna kupa wiórów i trocin. W powietrzu unosił się silny zapach kleju. Lepkie wiaderko, które musiało go zawierać, podgrzewało się na małym piecyku na węgiel drzewny w drugim końcu pomieszczenia, przy innych drzwiach otwartych na ogród. Na wygiętych wiązaniach dachu wisiały różne przedmioty: stare ostrza do pił, zielona mysz; narzędzia w kępskim stanie, ściski stolarskie, całe mnóstwo klamotów.

Obok, po lewej leżał potężny, dębowy pień, oddzielony od ziemi dwoma mocnymi, drewnianymi klinami. Siedzący na drzewie okraciem mały czeladnik fechtował się z nim, mocno waląc siekierą, chcąc wyciosać kwadratową belkę. Ubrany był w łachmany, a jego wątłe ręce z wielkim trudem radziły sobie z siekierą. Nieco dalej sam patron przybijał skórzane ozdoby do gzymsu jakiejś dziwnej konstrukcji z białego dębu, czegoś w rodzaju komórki, w której stał. Łoża ta była wyposażona w system solidnych okiennic, tymczasowo otwartych, których zawiasy skrzypiały delikatnie przy każdym uderzeniu młotka.

Mężczyzna przybijał, chłopiec pracował. Żaden z nich nawet nie spojrzął na Zmar, który stał na progu nie wiedząc, co robić. Wreszcie się zdecydował.

– Dzień dobry! – powiedział dość głośno.

Szef przestał tłuc młotkiem i podniósł głowę. Był brzydki. Miał wielkie, obwisłe usta, kluchowaty kinol, lecz jego ręce były wężłaste i solidne, pokryte frędzlami gęstych, rudych włosów.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Potrzebuję łóżek dla dzieci – odrzekł Zmar. – Urodzili się w domu na urwisku. Potrzebne są dwa łóżka. Jedno dwuosobowe, a drugie większe, jednoosobowe.

– Zrobię tylko jedno – powiedział stolarz. – Trzymiejscowe, z czego dwa przodem do kierunku jazdy.

– A jedno trochę większe... – rzekł Zmar.

– Jedno trochę większe... Się zobaczy – powiedział stolarz. – Ręcznie czy maszynowo?

Zmar spojrzął na małego czeladnika, który walił siekierą jak w transie; nędzny automat, przykuty do swej roboty bez końca.

– Ręczna robota jest tańsza – stwierdził stolarz. – Dlatego, że maszynami drogo wychodzi, podczas gdy takich śmieci, jak ten tutaj można mieć na pęczki.

– Twarde tu mają wychowanie – zauważył Zmar.

– Ręcznie czy maszynowo? – powtórzył stolarz.

– Maszynowo – odrzekł Zmar.

– Oczywiście... – burknął tamten. – Żeby mi zniszczyć urządzenia...

– Na jutro – powiedział Zmar.

Po czym chcąc udobruchać mężczyznę udał, że interesuje się jego pracą.

– Co pan tu robi? – zapytał.

– To dla kościoła – odparł mężczyzna. – Ambona.

Minę miał dumną i jednocześnie zażenowaną. Kiedy mówił, z jego wielkich ust wydobywała się chmurka mżawki.

– Ambona? – zdziwił się Zmar.

Podszedł, by lepiej zobaczyć. Rzeczywiście była to ambona. Ambona z okiennicami. Dziwny model, jakiego Zmar nigdy w życiu nie spotkał.

– Nigdy nie byłem na wsi – powiedział. – Wie pan, w mieście nie robi się tego w ten sposób, dlatego patrzę z zainteresowaniem.

– W mieście – stwierdził stolarz – już nie wierzy się w Boga.

Spojrzał na Zmara ze złośliwym błyskiem w oku. W tym momencie mały czeladnik upuścił siekiere i zwałił się nosem do przodu na obrabiany pień dębu. Nagła cisza zaskoczyła Zmara. Odwrócił się i podszedł do dziecka. Tymczasem stolarz oddalił się o kilka kroków i wrócił przynosząc starą puszkę od konserw pełną wody, której zawartość rzucił brutalnie na szyję dziecka. Potem, widząc, że dziecko się nie podnosi, posłał tą samą drogą puszkę. Czelnik westchnął, a wzburzony Zmar podszedł, by mu pomóc, lecz mała, brudna rączka już zaczęła się podnosić i opadać słabo, monotonicznie.

– Jest pan zbyt brutalny – powiedział Zmar do stolarza. Takie małe dziecko! Powinien się pan wstydzić!

Cios, jaki otrzymał w podbródek, omal nie spowodował upadku, więc Zmar cofnął się o dwa kroki, by odzyskać równowagę. Ostrożnie pomacał szczękę. Broda osłabiła uderzenie.

Stolarz powrócił do pracy, jakby nie stało się nic nienormalnego. Zatrzymał się między dwoma uderzeniami młotka.

– Przyjdź ją zobaczyć w niedzielę – powiedział. – Zostanie zamontowana. To piękna ambona.

Popieścił ją z dumą. Biały, gładki dąb zdawał się drżeć pod jego palcami.

– Twoje łóżka będą gotowe jutro – dodał jeszcze. – Przyjdź po nie. Koło piątej.

– Jasne... – odpowiedział Zmar.

Znów rozległy się uderzenia. Zapach kleju wzrastał się. Zmar po raz ostatni spojrzał na czeladnika, wzruszył ramionami i wyszedł.

Ulica była spokojna. Ruszył drogą prowadzącą do domu. Kiedy przechodził pod oknami, zasłony drżały. Mała dziewczynka wyszła ze śpiewem. Niosła wielki emalio-

wany dzban, tak wielki jak ona sama. W powrotnej drodze nie będzie już śpiewać.

### XIII

30 sierpnia

Angel i Zmar siedzieli w wielkim, chłodnym hallu domu. Bona chodziła tam i z powrotem, przygotowywała napitki. Postawiła szklanki i dzban na tacy przed Angelem. Okna i drzwi były otwarte na ogród. Czasem wlatywał jakiś owad i jego skrzydełka rezonowały w wysokim pomieszczeniu. Wszystko odpoczywało.

Zmar otworzył usta:

– Łóżka powinny być gotowe dzisiaj o piątej – powiedział.

– Więc już są gotowe – stwierdził Angel. – Na pewno chodziło o piątą rano.

– Tak pan sądzi? – zapytał Zmar. – W takim razie rzeczywiście są gotowe.

Zamilkli i napili się w ciszy. Zmar zawahał się, lecz przerwał ją znowu.

– Nie chciałbym rozmawiać o rzeczach, które nie są dla pana żadną nowością i które niewątpliwie pana nudzą – rzekł – lecz zafrapowało mnie to, co wczoraj widziałem w wiosce. Ludzie są tu dziwni.

– Uważa pan, że są dziwni? – zapytał Angel.

Był grzeczny, lecz jego ton świadczył o nikłym zainteresowaniu. Zmar to wyczuł i zakończył krótko.

– Tak – powiedział. – Uważam, że są dziwni. Przypuszczam jednak, że ich mentalność stanie się dla mnie jasna, kiedy ich lepiej poznam. W końcu gdzie indziej byłbym równie zaskoczony. Po prostu jestem nowy.

– Niewątpliwie – zapewnił go roztargniony Angel.

Jakiś ptak przeleciał za oknem jak strzała. Zmar podążył za nim wzrokiem.

– Oczywiście – rzekł, zmieniając nagle temat – pan nie zechciałby dać się spsychologizować?

– Nie – odrzekł Angel. – Z całą pewnością nie zechciałbym tego. Zresztą nie jestem interesujący. Ja jestem zainteresowany. A to różnica.

– Czym? – zapytał Zmar, który robił straszne wysiłki, by podtrzymać konwersację.

– Wszystkimi niczym – powiedział Angel. – Życiem. Kocham żyć.

– To prawdziwe szczęście – szepnął Zmar.

Jednym haustem wypił to, co miał jeszcze w szklance.

– Dobre to – zauważył. – Mogę jeszcze?

– Niech pan się czuje jak u siebie w domu – odrzekł Angel. – Proszę się nie kępo-

wać.

Znowu zapadła cisza.

– Pójdę do pańskiej żony – powiedział Zmar, wstając. – Pewnie nudzi się sama.

– Ależ tak – odrzekł Angel. – Niewątpliwie. Potem niech pan przyjdzie do mnie.

Wyprowadzę samochód i pojedziemy po łóżka.

– To na razie – rzucił Zmar, który wyszedł z pokoju i udał się ku schodom.

Zapukał dyskretnie do drzwi Klementyny, a ona kazała wejść. Co też i uczynił.

W łóżku Klementyny leżała Klementyna i trójka niemowląt. Dwa po prawej i jedno po lewej.

– To ja – powiedział Zmar. – Przyszedłem zobaczyć, czy pani czegoś nie potrzebuje.

– Niczego nie potrzebuję – odrzekła. – Czy łóżka będą wkrótce gotowe?

– Już powinny być – odpowiedział Zmar.

– Jakie są? – zapytała.

– Hmm... – odrzekł psychiatra. – Sądzę, że wykonał je mniej więcej zgodnie z własnym pomysłem. Dwa miejsca twarzą w stronę kierunku jazdy, jedno w przeciwną.

– Większe? – dopytywała się Klementyna.

– Tak mu powiedziałem – ostrożny Zmar zadowolony się takim wyjaśnieniem.

– Urządził się pan jak należy? – zapytała Klementyna po chwili namysłu.

– Jest mi bardzo dobrze – zapewnił Zmar.

– Niczego pan nie potrzebuje?

– Niczego...

Jedno z paskudztw zaczęło się poruszać i przybierać umęczony wyraz twarzy. W jego brzuchu rozległo się coś, jakby gwałtowny odgłos staczania się, zaś jego mała buźka odprężyła się. Klementyna uśmiechała się. Poklepała dziecko po brzuszku.

– Ci... ci... – szepnęła. – To tylko mała kolka, mój malutki.

Drugi zaczął jęczeć. Klementyna uniosła wzrok na zegar, po czym spojrzała na Zmara.

– Pora na cycucha – powiedziała.

– Zostawiam panią – szepnął Zmar.

Wyszedł bezgłośnie.

Klementyna złapała niemowlę i przyjrzała mu się. Był to Noël. Usta rozciągały się w stronę kącików i wydobywał się z nich drżący chrzęst. Odłożyła go szybko i wydo-  
była pierś. Po czym, ponownie biorąc dziecko, przybliżyła je do niej. Zaczął wciągać powietrze, tak że omal się nie udusił. Wtedy szybkim ruchem oddaliła go od sutka. Mała strużka mleka wytrysnęła parabolicznie i opadła na jędną półkulę. Rozwścieczony

gestem Klementyny Noël zawył. Przysunęła go i ponownie zaczęła pić z oszalałą łapczywością, pojękując od czasu do czasu. Znowu go podniosła.

Rozdarł się w najlepsze. Zainteresowało to Klementynę. Ponowiła działania. Czterokrotnie. Oszalały z wściekłości Noël nabrał fioletowego odcienia. Nagle zaczął wyglądać jakby się dusił. Usta miał strasznie rozdziawione w niemym krzyku, a łzy toczyły się po jego czarnych ze złości policzkach. Klementyna nagle okropnie się przerażyła i potrząsnęła nim.

– Noël... Noël... daj spokój...

Niepokoiliła się coraz bardziej. Już miała wzywać pomocy. Nagle Noël nabrał tchu do następnego wrzasku. Bardzo szybko, drżącymi rękami zwróciła mu pierś.

Natychmiast uspokojony, znowu zaczął łapczywie pić.

Klementyna przesunęła dłonią po wilgotnym czole. Nie miała zamiaru więcej tego robić.

Kilka minut później nazarty Noël w końcu przestał ciągnąć. Kłapnął pustą buźką, beknął lekko i prawie natychmiast zapadł w sen, przerywany od czasu do czasu ciężkimi westchnieniami.

Kiedy wzięła ostatniego, stwierdziła, że się jej przygląda. Ze swymi przylizanymi włoskami i szeroko otwartymi oczami wyglądał niepokojąco, był nieprzenikniony jak jakiś mały, obcy bożek. Uśmiechał się w dziwny, porozumiewawczy sposób.

Wypił swoją kolejkę. Od czasu do czasu przerywał, rzucał na nią spojrzenie i, nie przestając się wpatrywać, trzymał pierś w ustach, bez połykania.

Kiedy skończył, odłożyła go po swej lewicy i odwróciła się do niego plecami. Ulotne oddechy poświsływały w pokoju.

Jeszcze wzburzona, przeciągnęła się i oddała się marzeniom. Od trzech powijaków bił kwaśny odór potu. Przyśnił się jej zły sen.

## XIV

Angel właśnie wyprowadził samochód z garażu i czekał na Zmara. Psychiatra spóźnił się zapatrzonej w cudowną panoramę – w fioletowe morze i niebo z lśniącego oparu, drzewa i kwiaty w ogrodzie i dom, biały i niewzruszony pośród orgii kolorów.

Zmar zerwał mały, żółty kwiatek i usiadł koło Angela. Był to stary, solidny samochód, zaopatrzony w karoserię w stylu kanadyjskim, niezbyt wygodny, lecz pewny. Tył miał otwarty, zaczepiony na dwóch łańcuszkach i świeże powietrze cyrkulowało obficie.

– Co za kraj! – zawołał Zmar. – Co za kwiaty! Co za piękno! Co za!...

– Tak – rzekł Angel.



Przyspieszył na pokrytej kurzem drodze. Chmura pyłu unosiła się za samochodem i opadała na gąbczastą trawę, do której Zmar już się przyzwyczaił.

Koza, stojąc na skraju drogi, machnęła rogami i Angel się zatrzymał.

– Wsiadaj – powiedział do zwierzęcia.

Koza wskoczyła do samochodu i usiadła na platformie z tyłu.

– Wszystkie podróżują stopem – wyjaśnił Angel. – Ponieważ nie mam żadnych powodów do psucia sobie stosunków z wieśniakami...

Nie dokończył zdania.

– Rozumiem – rzekł Zmar.

Nieco dalej załadowali wieprzka. Oba zwierzęta wysiadły przy wjeździe do wioski i każde udało się na swoją fermę.

– Jeśli są grzeczne – dodał jeszcze Angel – mają prawo chodzić na przechadzki. W przeciwnym razie karzą je i leją. I zamykają. I zęrają bez możliwości apelacji.

– Tak... – rzekł Zmar oszołomiony.

Samochód Angela stanął przed stolarnią. Obaj mężczyźni wysiedli. Teraz na środku biura stała podłużna skrzynia. Ciało czeladnika, który poprzedniego dnia zajmował się obróbką dębowej belki, leżało w niej chude i blade, niedokładnie przyrzucone starym workiem.

– Jest tu kto? – zawołał Angel, waląc w stół.

Pojawił się stolarz. Z warsztatu dochodziły takie same odgłosy jak wczoraj. Niewątpliwie inny czeladnik. Mężczyzna otarł nos rękawem.

– Przyszedłeś po łóżka? – zapytał Angela.

– Owszem – rzekł Angel.

– Dobra, bierz je – powiedział mężczyzna. – Tam stoją. Wskazał na warsztat.

– Chodź mi pomóż – rzekł Angel.

Zniknęli razem. Zmar odpędził tłustą muchę brzęczącą nad bladą główką martwego dziecka.

Stolarz i Angel wsadzili łóżka do samochodu. Były rozłożone na części.

– Weźmiesz mi to? – zapytał stolarz, wskazując na skrzynię, w której spoczywał czeladnik.

– Dobra – odrzekł Angel. – Ładuj.

Stolarz podniósł skrzynię i wrzucił ją na samochód. Ruszyli i w chwilę później jechali wzdłuż czerwonego strumienia. Angel zatrzymał się, wysiadł i wziął skrzynię. Była lekka i niezbyt wielka. Podniósł ją bez wysiłku i zaniósł do strumienia, po czym wepchnął do wody. Drewno natychmiast poszło na dno jak kamień. Ciało dziecka pły-

nęło po powierzchni nieruchome, unoszone przez powolny nurt strumienia, jakby po plastrze zastygłego wosku.

W samochodzie deski stuknęły o siebie przy każdym podskoku na wybojach drogi.

## XV

Pokój Zmara znajdował się na pierwszym piętrze, na samym końcu wyłożonego kafełkami korytarza i wychodził na morze. Szywne włosy draceny wpisywały się w kadr dolnej części szyby. Ponad ich zielonymi klingami widać było morze. Kwadratowy pokój, niezbyt wysoki, całkowicie wyłożony ściśle dopasowanymi deskami z lakierowanej sosny, pachniał żywicą. Pod sufitem długie, sosnowe bale, również polakierowane, kreśliły szkielet dachu, lekko pochylonego, podstemplowanego w rogach pobieżnie ociosanymi, pochylonymi podporami. Umeblowanie składało się z niskiego łóżka z drzewa cytrynowego, dość obszernego biurka o wierzchu wyściełanym czerwonym safiąnem, stosownie dobranego fotela i kombinowanej szafy, której lustro odbijało okno. Podłoga była wyłożona płytkami, tak jak i cała reszta domu, lecz w kształcie małych rombów – porowatych i jasnożółtych, na poły zakrytych przez grubego dywan z czarnej wełny. Na ścianach nie było nic: ani zdjęć, ani obrazów. Niskie drzwi prowadziły do łazienki.

Zmar skończył toaletę i ubrał się wyjściowo. Zrzucił swój zawodowy garnitur psychiatry i wdział teraz dość dopasowane spodnie z miękkiej skóry, koszulę z purpurowego jedwabiu i dość obszerną marynarkę z kasztanowego aksamitu, dobraną do koloru spodni. Zawiązał sznurówki przy swych purpurowych sandałach i wyszedł z pokoju. Musiał się udać do wsi, by umówić się z księdzem co do niedzielnej ceremonii, dlatego też ubrał się niewyszukanie.

Na korytarzu dostrzegł Klementynę wracającą do swego pokoju. Wstała po raz pierwszy i zrobiła sobie małą przechadzkę po ogrodzie. Nim zamknęła drzwi, machnęła do niego ręką.

Zszedł po schodach. Angel jeszcze spał. Nie czekając na śniadanie, Zmar udał się do ogrodu. Liście dzikich melodiowców skrzypiały targane chłodnym wiatrem poranka.

Ziemia była sucha jak azbest. Tak jak poprzedniego dnia, woda w studniach wrzała, a niebo, przezroczyste aż do kości nie zawierało w sobie najmniejszej obietnicy deszczu. Zmar ruszył drogą wiodącą do wioski, która wskutek przyzwyczajenia stała się krótsza.

Nie widział jeszcze kościoła, którego dzwonnica niewiele wystawała ponad domy i sąsiednie fermy. By do niego dojść, dość długo musiał podążać wzdłuż czerwonego strumienia. Patrzył na gęstą wodę i włos mu nieco stawał na głowie na myśl o tym, co się kryło pod tą napiętą powierzchnią.

Droga zakręcała, strumień również. Szare budynki stojące na jego lewym brzegu kryły przed Zmarem to, co znajdowało się za zakrętem.

Jeszcze pięćdziesiąt metrów i w dość dużej odległości przed nim pojawił się kościół. A na czerwonym strumieniu nieruchoma łódź. Wiosła zwisały z obydwu stron. Za dziobem, który prezentował mu się w trzech czwartych, dostrzegł jakiś ciemny kształt wykonujący nieokreślone ruchy, więc podszedł bliżej, chcąc zrozumieć.

Kiedy był już na wysokości łodzi, dostrzegł mężczyznę uczeplonego burty i usiłującego się na nią wspiąć. Woda z czerwonego strumienia spływała po jego ubraniu jak żywe perły, nie moczając go. Jego głowa ukazała się nad burtą. Łódź poruszała się, kołysała zależnie od jego ruchów. Zmar zauważył wreszcie twarz mężczyzny, któremu przy ostatniej próbie udało się przrzucić ramię i nogę oraz zwalić się do łodzi. Był to człowiek dość wiekowy. Twarz miał zapadniętą i nieobecne, błękitne oczy. Był dokładnie ogolony, a jego długie i białe włosy nadawały mu wygląd jednocześnie godny i dobrotniwy. Lecz jego nieruchome usta znaczyła gorycz. W tym momencie trzymał w zębach jakiś przedmiot, którego psychiatra nie mógł zidentyfikować.

Zmar przywołał go.

– Ma pan kłopoty? – zapytał.

Człowiek wyprostował się i udało mu się usiąść. Upuścił to, co właśnie wydobyl zębami.

– Co pan mówi? – zapytał.

Pochylił się nad wiosłami i podpłynął łodzią do brzegu. Po kilku machnięciach dobił do niego. Tym sposobem Zmar stwierdził, że brzeg opada pod wodą pionowo, jak urwisko.

– Potrzebuje pan pomocy? – zapytał Zmar.

Człowiek przyjrzał mu się. Był ubrany w worek i jakieś bezkształtne łachmany.

– Pan jest obcy? – zapytał.

– Tak – odrzekł Zmar.

– W przeciwnym razie nie mówiłby pan w ten sposób – zauważył mężczyzna prawie wyłącznie na swój użytek.

– Mógł się pan utopić – stwierdził Zmar.

– Nie w tej wodzie – odparł mężczyzna. – Jest dość zmienna. Niekiedy nie unosi drewna, kiedy indziej kamienie mogą pływać po powierzchni, ale ciała zawsze unoszą się i nie toną.

– Co się stało? – zapytał Zmar. – Wypadł pan z łodzi?

– Wykonuję moją pracę – powiedział mężczyzna. – Do tej wody wrzuca się martwe rzeczy, żebyśmy je wyłowili. Własnymi zębami. Za to mi płacą.

– Ale przecież sieć załatwiłaby sprawę – zauważył Zmar. Czuł jakiś niepokój, miał wrażenie, że rozmawia z kimś z innej planety. Doznanie powszechnie znane, pewnie, pewnie.

– Muszę je wyławić zębami – rzekł mężczyzna. – Rzeczy martwe albo zgniłe. Po to je wrzucają. Często pozwalają im gnić specjalnie, żeby potem je wrzucić. A ja muszę brać je w zęby. Żeby się rozłaziły między nimi. Żeby mi umazały twarz.

– Drogo za to panu płacą? – zapytał Zmar.

– Dają mi łódź – powiedział człowiek – a płacą mi wstydem i złotem.

Na dźwięk słowa „wstyd” Zmar uchylił się i miał to sobie za złe.

– Mam dom – powiedział mężczyzna, który dostrzegł odruch Zmara i uśmiechnął się. – Dają mi jeść. Dają mi złoto. Mnóstwo złota. Lecz nie mam prawa go wydawać. Nikt nie chce mi nic sprzedać. Mam dom i mnóstwo złota, lecz muszę pochłaniać wstyd całej wsi. Płacą mi, żeby to mnie a nie ich gryzły wyrzuty sumienia. Za wszystko, co zrobią złego lub podłego. Za wszystkie ich przywary. Za ich zbrodnie. Za jarmark starców. Za torturowane zwierzęta. Za czeladników. I za odpadki.

Przerwał na chwilę.

– Lecz wszystko to nie może pana interesować – podjął.

– Nie ma pan zamiaru zostać tutaj?

Nastała długa cisza.

– Owszem – odrzekł wreszcie Zmar. – Zostanę tutaj.

– Więc będzie pan taki jak inni – stwierdził mężczyzna.

– Pan również będzie żył z czystym sumieniem zrzuci pan na mnie cały ciężar swego wstydu. I będzie mi pan dawał złoto. Lecz niczego mi pan nie sprzeda za moje złoto.

– Jak pan się nazywa? – zapytał Zmar.

– Gloria – odrzekł mężczyzna. – Nazywają mnie Gloria. Tak brzmi imię łodzi. Ja moje go już nie mam.

– Jeszcze się z panem spotkam... – powiedział Zmar.

– Będzie pan taki jak oni – rzekł mężczyzna. – Nie będzie pan ze mną więcej rozmawiał. Będzie mi pan płacił. I będzie mi pan rzucał swoje ścierwo. I swój wstyd.

– Ale dlaczego pan to robi? – zapytał Zmar.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Przedemną był ktoś inny – powiedział.

– W jaki sposób go pan zastąpił? – dopytywał się Zmar.

– Pierwszy, który będzie czuł większy wstyd niż ja, zajmie moje miejsce – powiedział mężczyzna. – Zawsze tak się zachowywali w tej wiosce. Są bardzo wierzący. Mają

swe sumienie dla siebie. Nigdy żadnych wyrzutów. Lecz ten, który słabnie... Który się buntuje...

– Wsadza się go na „Glorię” – dokończył Zmar. – A pan się zbuntował.

– Och! To nie zdarza się zbyt często... – rzekł mężczyzna. – Być może będę ostatni. Moja matka nie pochodziła stąd.

Ponownie zajął miejsce i pochylił się nad wiosłami.

– Muszę pracować – rzucił. – Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedział Zmar.

Popatrzył, jak tamten oddala się powoli, płynąc po czerwonej wodzie gładkiej jak mora i ruszył swoją drogą. Kościół, kurze jajo w gnieździe, był już niedaleko. Kiedy do niego dotarł, szybko pokonał siedem stopni i wszedł do środka. Przed rozmową z księdzem chciał rzucić okiem na wnętrze.

## XVI

Skomplikowana płatanina podłużnych i poprzecznych belek podtrzymywała nad jajowatą nawą pokrycie dachu, wykonane z czarnego łupku. Przed Zmarem wznosił się ołtarz z ciemnego granitu z zielonymi akcesoriami kultu. Po prawej, między dwiema belkami, całkiem nowa ambona kryła swą białą sylwetkę z szeroko otwartymi okiennicami.

Po raz pierwszy w życiu Zmar widział kościół skonstruowany w tak przebiegły sposób – w kształcie jaja, bez kamiennych kolumn, bez łuków, bez arkad, bez skrzyżowania żeber, bez bębneków oraz trąbek i bez troski o jutro. Ciekawie dopasowane kawałki drewna wiły się wzdłuż potężnych murów, dla których stanowiły geodezyjny szkielec. Największe pokrywały głębokie płaskorzeźby, na których – jak się domyślił – znajdowały się polichromie: oczy świętych, węży i demonów lśniły w mroku. Wewnętrzna przestrzeń nawy była całkiem pusta. Owalny witraż ponad ołtarzem zalewał go barwną dominantą w kolorze zamorskiego błękitu. Bez tego witraża w kościele pannaowałyby noc. Po dwóch stronach ołtarza dwa wieloramienne świeczniki wysyłały migocące płomienie i dziurawiły mroki ich wycieniowaną poświatą.

Drogę do ołtarza pokrywał gruby, słomiany kobierzec. Zmar ruszył nim. Ponieważ jego oczy przyzwyczały się do ciemności, zauważył po prawej, za ołtarzemszary prostokąt otwartych drzwi i udał się tam, mając nadzieję dotrzeć do zakrystii i prezbiterium.

Przeszedł przez drzwi i stanął w małym, podłużnym pomieszczeniu pełnym szaf i wszelkiego rodzaju przedmiotów. W głębi znajdowały się kolejne drzwi. Przez nie dobiegał szmer głosów. Zmar trzykrotnie zastukał kostkami w drewno ściany.

– Można? – zapytał półgłosem.

Szmer rozmowy uciął.

– Wejść! – usłyszał.

Skorzystał z zaproszenia i przekroczył drugie drzwi.

Był tam ksiądz, który rozmawiał z zakrystianem. Powstali, widząc Zmar.

– Dzień dobry – rzekł ten ostatni. – Pan niewątpliwie jest proboszczem?

– Dzień dobry panu – odrzekł proboszcz.

Był to sękaty mężczyzna o twarzy przebitej parą czarnych oczu, nad którymi rosły gęste, czarne brwi. Miał długie, suche ręce, które mówiąc trzymał skrzyżowane. Kiedy się przemieścił, Zmar stwierdził, że lekko chroma.

– Chciałbym z księdzem porozmawiać – rzekł.

– Niech pan mówi... – odrzekł proboszcz.

– Chodzi o chrzest – wyjaśnił Zmar. – Może ksiądz w niedzielę?

– To mój zawód – odpowiedział proboszcz. – Każdy ma swój.

– W domu na urwisku urodziły się trojaczki – rzekł Zmar. – Joël, Noël i Citroën. Wszystko musi być zakończone w niedzielę wieczorem.

– Proszę przyjść na niedzielną mszę – powiedział proboszcz. – Podam panu godzinę.

– Ależ ja nigdy nie chodzę na mszę... – zaprotestował Zmar.

– To dodatkowy powód – stwierdził ksiądz. – Będzie pan miał rozrywkę. Przynajmniej będzie jedna osoba, której to, co powiem, wyda się nowością.

– Jestem przeciwny religii – rzekł Zmar. – Nie tracąc z oczu faktu, że na wsi może być użyteczna.

Proboszcz zaśmiał się szyderczo.

– Użyteczna!... Religia jest luksusem – powiedział. – Tylko prostytutki chcą z niej uczynić coś użytecznego.

Wyprostował się dumnie i zaczął przemierzać pomieszczenie szybkim, utykającym krokiem.

– Lecz ja odmawiam – powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Moja religia pozostanie luksusem!

– Chciałem podkreślić – wyjaśnił Zmar – że na wsi proboszcz może mieć coś do powiedzenia. Nakierować proste umysły wieśniaków, wytknąć im palcem błędy, jakie popełniają, otworzyć im oczy na niebezpieczeństwa nazbyt ziemskiego żywota, odgrywać rolę hamulca wobec niecznych instynktów... Nie wiem, czy orientuje się ksiądz w sprawach, jakie mają miejsce w wiosce... Ja... hmm... dopiero co przyjechałem i nie chciałem zajmować stanowiska sędziego, ani zaszokować księdza moją reakcją na rzecz, która niewątpliwie zdaje się księdzu naturalna od początku jej istnienia... hmm...

ksiądz na przykład piętnuje gwałt z wysokości swej ambony i potępia przedwczesne kontakty seksualne młodzieży, chcąc zapobiec temu, by bałagan i rozpisanie zapanowało nad jego powiatem.

– Nad jego parafią... – uściślił zakrystian.

– Nad jego parafią... – poprawił się Zmar. – Na czym to ja stanąłem?

– Nie mam pojęcia – uciął proboszcz.

– Bo tego – rzekł Zmar zdecydowawszy się – ten jarmark starców. To bez sensu!

– Żyje pan w takich czasach! – zakrzyknął ksiądz. – Ten jarmark starców? Jakie ma znaczenie jarmark starców, drogi panie! Ci ludzie cierpią... a ci którzy cierpią na ziemi, zdobywają sobie miejsce w raju. Zresztą cierpienia same w sobie nie są niepotrzebne, a w rzeczywistości martwią mnie jedynie źródła tego cierpienia. Moje zmartwienie bierze się z tego, proszę pana, że nie cierpią w Bogu. To prostacy. Mówiłem to panu przed chwilą. Religia jest dla nich środkiem Materialistyczni prostacy...

Ożywił się mówiąc, a jego oczy miały błyskawice.

– Przychodzą do kościoła jako władcy. Z krwi i kości. Czy wie pan, czego się ode mnie domagają? Żeby rosła koniczyna. Pokój duszy, drogi panie, mają gdzieś! Mają go! Mają Głorię! Będę walczył aż do końca i nie ugnę się. Nie sprawię, żeby rosła koniczyna. Dzięki Bogu... mam wiernych przyjaciół. Niewielu, lecz takich, co mnie wspomagają.

Zaśmiał się szyderczo.

– Proszę przyjść w niedzielę, to pan zobaczy... Zobaczy pan, jak ściera się materia z materią. Postawię tych prostaków wobec nich samych... Ich inercja zderzy się z jeszcze większą inercją... Zaś z tego zderzenia zrodzi się niepokój, który przywiedzie ich do religii... do luksusu!... Do tego luksusu, do którego Bóg w swej pobłażliwości zechciał dać im prawo.

– No więc – zapytał Zmar – co z tym chrztem? Będzie w niedzielę po południu?

– Podam panu godzinę pod koniec mszy – powtórzył proboszcz.

– Dobrze – zgodził się Zmar. – Do widzenia księżę proboszczu. Przed chwilą podziwiałem księdza kościół. To ciekawa konstrukcja.

– Ciekawa – przyznał proboszcz z nieobecną miną.

Usiadł, tymczasem Zmar wyszedł tak jak wszedł. Odczuwał lekkie zmęczenie.

– Klementyna zawraca mi głowę tymi swoimi robótkami – pomyślał na głos. – Będę zadowolony, kiedy ta trójka się odchowa. No i ta historia z przymusową mszą...

Zapadał zmierzch.

– Historia z przymusową mszą, uważam, jest oburzająca!

– Oburzająca – potwierdził gruby, czarny kot siedzący na murku.

Zmar spojrział na niego. Kot zaczął mrużyć i zmrzył swe żółte oczy z pionowymi kreskami źrenic.

– Oburzająca! – podsumował Zmar, zrywając okrągłe źdźbło trawy, walcowate i miękkie.

Kawałek dalej odwrócił się. Spojrzął na kota, zawahał się, po czym ruszył w dalszą drogę.

## XVII

*Niedziela 2 września*

Zmar, gotów do wyjścia, błąkał się po korytarzu. Przywdział swe poważne ubranie i czuł się skrupowany jak aktor w kostiumie na pustej scenie. Niania wreszcie nadeszła.

– Długo to trwało – powiedział Zmar.

– Bo robiłam się na bóstwo – wyjaśniła.

Miała na sobie stosowną, niedzielną sukienkę z białej piki, czarne buciki, czarny kapelusz i białe rękawiczki z filozeli. W rękę trzymała mszalik ze zniszczonej skóry. Twarz jej była lśniąca, a usta źle pomalowane. Jej wielkie piersi napinały górę, a solidne krzywizny bioder wypełniały skrupulatnie resztę sukienki.

– Idziemy – powiedział Zmar.

Wyszli. Ona wyglądała na onieśmiałoną i przez szacunek starała się nie robić hałasu przy oddychaniu.

– Więc jak – zapytał Zmar sto metrów dalej – kiedy będę mógł cię spsyoanalizować?

Zaczerwieniła się i spojrzała na niego spod oka. Przechodzili koło gęstego żywopłotu.

– Nie można tego zrobić teraz, przed pójściem na mszę... – rzekła pełna nadziei.

Psychiatra poczuł, że zdrzała mu ruda broda, pojawiwszy, jak ona to zrozumiała, więc stanowczym gestem zaprowadził dziewczynę w stronę krawędzi drogi. Zniknęli za żywopłotem, przechodząc wąskim przejściem, pełnym cierni, o które Zmar pozahaczał swój piękny garnitur.

Teraz znajdowali się na dobrze osłoniętym polu. Służąca zdjęła ostrożnie swój czarny kapelusz.

– Nie mogę go zniszczyć – powiedziała. – A w ogóle to przecież będę miała zielone ślady, jeśli się tu położymy...

– Ustaw się na czworakach – odrzekł Zmar.



– Oczywiście – powiedziała, jakby uważała, że jest to jedyny możliwy sposób.

Chędożąc ją psychiatra widział, jak krótki kark dziewczyny podnosi się i opada. Ponieważ była kiepsko uczesana, kilka jasnych pasemek powiewało na wietrze. Pachniała ostro, ale Zmar nie operował od chwili przybycia do domu, więc ten nieco zwierzęcy zapach nie był mu niemiły. W dobrze pojętej trosce o ludzkość uniknął zrobienia jej dziecka.

Dotarli do kościoła zaledwie w dziesięć minut po rozpoczęciu mszy. Sądząc po ilości wozów i powozików, jajowata nawa była zapewne pełna ludzi. Przed wstąpieniem na stopnie Zmar popatrzył na dziewczynę jeszcze zaczerwienioną i lekko zawstydzoną.

– Mampryjść wieczorem? – szepnęła.

– Tak – odpowiedział. – Opowiesz mi swoje życie.

Zdziwiona spojrzała mu prosto w oczy, stwierdziła, że nie żartuje i przytaknęła nie rozumiejąc. Wszli do środka i zmieszali się z porządnie umyтым, napierającym tłumem. Zmar został przyciśnięty do niańki i zwierzęcy zapach wypełnił mu nozdrza. Koliście pociła się pod pachami.

Proboszcz kończył swoją preambułę i gotował się do wstąpienia na ambonę. Duszący upał chwycił ludzi za gardła i kobiety rozpinają staniki. Mężczyźni jednak zachowali swe czarne marynarki i pomięte kołnierzyki zapięte na ostatni guzik. Zmar spoglądał na twarze wokół siebie; wszystkie wyglądały zdrowo i solidnie, spalone przez słońce i wiatr robiły wrażenie jakby były czegoś pewne. Ksiądz wszedł po schodach na białą ambonę, której skrzydła były rozchylone. Ciekawy rodzaj kazalnicy. Zmar przypomniał sobie stolarza oraz małego czeladnika i zadrżał. Gdy pomyślał o czeladniku, zapach służącej wzbudził w nim obrzydzenie.

W chwili gdy proboszcz pojawił się między dwoma skrzydłami z jasnego dębu, jakiś mężczyzna wszedł na ławkę i mocnym głosem poprosił o ciszę. Szmer umilkły. W nawie panował teraz uważny spokój. Oczy Zmara dostrzegały niezliczone światła zawieszane u sklepienia, które ukazywały teraz bezwład splątanych ciał wyrzeźbionych w samych potężnych wiązaniach, oraz niebieski witraż nad ołtarzem.

– Chcemy deszczu, księżę! – krzyknął mężczyzna.

A tłum podjął jednym głosem

– Deszczu!...

– Koniczyna wysycha! – ciągnął mężczyzna.

– Deszczu! – ryknął tłum.

Całkowicie ogłuszony Zmar zobaczył, jak proboszcz rozkłada ramiona, żeby zabrać głos. Szeptu ucichły. Poranne słońce płonęło za błękitnym witrażem. Ledwo można było oddychać.

– Wieśniacy! – zawołał proboszcz.

Zdawało się, że jego potężny głos dochodzi zewsząd i Zmar odgadł, że to system wzmacniaczy pozwolił mu na osiągnięcie takiego natężenia dźwięku. Głowy odwróciły się w stronę ścian i sklepienia. Ani jeden głośnik nie był widoczny.

– Wieśniacy! – powtórzył proboszcz. – Żądacie ode mnie deszczu i nie dostaniecie go wcale. Przyszedliście dzisiaj aroganccy i dumni jak leghorn, ufni w swe życie cielesne. Przyszedliście jak bezczelni żebracy, żądać tego, na co wcale nie zasłużyliście. Nie będzie padać. Bóg kpi sobie z waszej koniczyny! Pochylcie wasze ciała, pochylcie wasze głowy, ukorcie wasze dusze, a dam wam słowo Boże. Ale nie liczcie nawet na kroplę wody. Tu jest kościół, nie konewka!

W tłumie dał się słyszeć szmer sprzeciwu. Zmar uznał, że proboszcz dobrze mówi.

– Deszczu! – powtórzył mężczyzna stojący na ławce.

Po burzy dźwięków spowodowanej przez głos księdza, jego krzyk wydał się po prostu śmieszny, a inni, świadomi swej czasowej niższości, zamilkli.

– Twierdzicie, że wierzycie w Boga! – zagrział proboszcz. – Bo przychodzicie w niedzielę do kościoła, bo ciężko traktujecie swoich bliźnich, bo obcy jest wam wstyd, bo sumienie was nie dręczy...

Gdy tylko proboszcz wymówił słowo „wstyd”, tu i ówdzie wybuchły protesty, wzmocniły się echem, wezbrały w przeciągłe wycie. Mężczyźni tupali w miejscu, zaciskając pięści. Kobiety milcząc zaciskały usta i obrzucały proboszcza złym spojrzeniem. Zmar zaczął tracić grunt pod stopami. Gdy tumult ucichł, ksiądz pociągnął dalej.

– Co mnie obchodzą wasze pola! Co mnie obchodzi wasze bydło i wasze dzieci! – ryknął. – Prowadzicie życie materialne i niechlujne. Nie wiecie co to luksus!... Ja wam ofiaruję ten luksus: ja wam ofiaruję Boga... Lecz Bóg nie lubi deszczu... Bóg nie lubi koniczyny... Bóg nie dba o wasze rabatki i robótki. Bóg to piernat ze złotego brokatu, to diament oprawiony w słońce, to cenna ozdoba wyczelowana w miłości, to jedwabne sutanny, wyszywane skarpety, naszyjniki i pierścienie, nieużyteczność, niezwykłość, monstrancje elektryczne... Nie będzie padało!

– Niech pada! – zawył mówca, tym razem wsparty przez cały tłum, który zaczął grzmieć jak burzowe niebo.

– Wróćcie na wasze fermy! – ryknął zwielokrotniony głos proboszcza. – Wróćcie na wasze fermy! Bóg to rozkosz zbytku. Wy myślicie tylko o rzeczach niezbędnych. Dla niego jesteście ludźmi straconymi.

Sąsiad Zmara odsunął go gwałtownie i nabrawszy siły cisnął ciężkim kamieniem w kierunku ambony. Lecz dębowe skrzydła już się zamknęły z trzaskiem, a głos księdza ciągnął dalej, podczas gdy brukowce z głuchymłomotem uderzały w masywne płyty.

– Nie będzie padało! Bóg nie jest do użytkowania. Bóg jest świętecznym prezentem, bezinteresownym darem, sztabką platyny, artystycznym obrazem, drobnym smakoły-

kiem. Bóg to coś ekstra. Nie jest ani za, ani przeciw. To nadwyżka!

Grad kamieni spadł na daszek ambony.

– Deszczu! Deszczu! Deszczu! – skandował teraz tłum w zgodnym rytmie.

I Zmar porwany przez pasję emanującą z ludzi, złapał się na tym, że śpiewa wraz z nimi.

Na jego oczach, po prawej i lewej, wieśniacy maszerowali w miejscu, a huk ich butów wypełniał kościół takim hałasem, jak krok żołnierzy na żelaznym moście. Napór przesunął do przodu kilku ludzi najbliższych ambony, którzy zaczęli potrząsać czterema masywnymi filarami oddzielającymi kazalnicę od ziemi.

– Nie będzie padać! – powtarzał proboszcz, który, jak łatwo było odgadnąć, padł za swoimi okiennicami ofiarą totalnego transu. – Będą padały anielskie skrzydła! Będzie padał szmaragdowy puch, alabastrowe naczynia, cudowne małowidła... ale nie woda! Bóg drwi z koniczyny, owsa, pszenicy, żyta, jęczmienia, chmielu, gryki, salsefii, lucerny, białego rozchodnika i szaławii...

Zmar był przy tej okazji pełen podziwu dla erudycji księdza, lecz cztery dębowe nogi złamały się jednocześnie i dało się słyszeć wzmocnione przez głośniki grube przekleństwo proboszcza, który padając zszedł się w głowę.

– Dobra! Dobra! – wrzasnął. – Będzie padać! Już pada, już pada!

W tym momencie tłum odpłynął w kierunku drzwi kościoła, których oba skrzydła stanęły otworem. Niebo gwałtownie pociemniało i pierwsze krople klasnęły o schody jak miękkie żaby. Później nastąpił prawdziwy potop, który bębnił o łupkowe płytki na dachu. Ambonę ustawiono o tyle o ile i ksiądz ponownie otworzył oba skrzydła.

– Msza skończona – powiedział po prostu.

Ludzie przeżegnali się, później mężczyźni założyli swoje czapki, kobiety podniosły się i wszyscy wyszli.

Zmar chciał udać się w stronę zakrystii, lecz musiał się przytrzymać drewnianej ławki, żeby nie zostać pociągniętym przez tłum.

W przejściu został potrącony przez stolarza, którego poznał po wielkich ustach i kluchowatym kinolu. Mężczyzna uśmiechał się do niego niesympatycznie.

– Widziałeś? – zapytał. – Tu się wierzy w Boga. I żaden ksiądz nie będzie nam w tym przeszkadzał. On po prostu nie wie, do czego Bóg służy.

Wzruszył ramionami.

– E tam! – podsumował. – Pozwalamy mu działać. Nie robi nam krzywdy. Można się rozerwać. My tu bardzo lubimy msze. Z księdzem czy bez. W każdym razie moje okiennice wytrzymały.

Przeszedł. Zmar nie wiedział, gdzie się podziała niańka, lecz postanowił nie zajmo-

wać się nią więcej. Strumień ludzi zmaleł, mógł więc postępować w kierunku drzwi zakrystii. Wszedł i bez pukania wkroczył do drugiego pomieszczenia.

Proboszcz chodził wzdłuż i w poprzek utykając, rozpromieniony pod wpływem komplementów, których nie szczędził mu zakrystian, człowieczek o czerwonej twarzy, tak pospolity, że Zmar musiał się mocno natężyć, by przypomnieć sobie, że już go widział przy ostatniej wizycie.

– Był ksiądz wspaniały! – wołał zakrystian. – Był ksiądz doskonały! Co za kreacja! To proboszcza najpiękniejsza rola!

– Ach! – westchnął proboszcz. – Sądzę, że ich dopadłem.

Na czole miał potężnego guza.

– Był ksiądz fantastyczny! – rzekł zakrystian. – Co za natchnienie! I jaka znajomość retoryki! Słowo daję, chyliłemczoło i nadal je chyłę!

– Ależ – powiedział ksiądz. – Przesadasz... Byłem dobry. Ale naprawdę?... Aż do tego stopnia?

– Proszę mi pozwolić – wtrącił Zmar – dołączyć moje wyrazy uznania do słów tego pana.

– Ach! – westchnął zakrystian. – Co za talent!... Był ksiądz... wzniosły!

– Dajcie spokój – powiedział proboszcz. – Naprawdę, schlebiacie mi.

Napuszył się i przyjaźnie uśmiechnął do Zmara.

– Proszę, niech pan spocznie.

Zmar wziął krzesło.

– Ach! – zakrystianowi zapierało dech w piersiach. – Kiedy im ksiądz powiedział: „To kościół, nie konewka!...” – zemdlałem. Formalnie. Cóż za talent, drogi księże proboszczu, cóż za talent! I: „Bóg nie lubi koniczyny”. Co za artyzm!

– A na dokładkę szczerą prawdą! – stwierdził proboszcz. – Ale nie zatrzymujmy pana na próżno.

– Przyszedłem w sprawie chrztu – wyjaśnił psychiatra.

– Pamiętam, pamiętam – odrzekł rozmownie ksiądz. – No więc... zrobimy to wkrótce. Bądźcie tutaj o czwartej. Uderzę w dzwony za dwadzieścia czwarta. Wkrótce. Na pewniaka.

– Dziękuję, księże proboszczu – powiedział Zmar wstając. I jeszcze raz moje gratulacje. Był ksiądz... epicki!

– Ach! – stęknął zakrystian. – Epicki, oto właściwe słowo. Epicki. Ach, księże proboszczu!

Proboszcz, uszczęśliwiony, wyciągnął dłoń do Zmara i energicznie potrząsnął tą, którą otrzymał w zamian.

– Bardzo mi przykro, że musi pan tak szybko odejść – powiedział. – Chętnie bym pana zatrzymał na obiedzie... Lecz nie chciałbym zabierać panu czasu...

– Dość mi się spieszy – odrzekł Zmar. – Może kiedy indziej. Dziękuję. I brawo!

Odszedł wydłużonym krokiem. Nawa była mroczna i cicha. Deszcz prawie przestał padać. Na zewnątrz wracało słońce. Ciepła mgła podnosiła się z ziemi.

## XVIII

„Tym sposobem zaliczę swoją działkę” – pomyślał Zmar. – „Dwa razy w kościele w ciągu jednego dnia i, być może, przez dziesięć lat nawet nie postanie tam moja noga. Albo może przez dziewięć i pół.”

Siedział w hallu i czekał. Liczne odgłosy kroków niańki, Angela i Klementyny rozbrzmiewały na pierwszym piętrze, przytłumione wskutek grubości podłogi i kamionkowych płytek. Od czasu do czasu przenikliwy wrzask jednego z dwóch paskudztw przeszywał to wszystko bez najmniejszego wysiłku i okręcał się wokół skroni Zmara. Noël albo Joël. Citroën nigdy nie krzyczał.

Białodupska miała na sobie sukienkę do chrztu z różowej tafty z wielkimi, liliowymi wstążkami, czarne buciki i czarny kapelusz. Ledwie śmiała się poruszać. Wszystko brała czubkami palców. Stłukła już trzy naczynia.

Angel ubrał się jak co dnia. Klementyna w czarne spodnie i dopasowaną marynarkę. Trzy paskudztwa promieniały w swych futerałach z wyszywanego celofanu.

Angel poszedł wyprowadzić samochód.

Klementyna niosła Noëla i Joëla, Citroëna powierzywszy niańce. Ten od czasu do czasu spoglądał na matkę, a jego delikatne usteczka drżały. Bynajmniej, nie miał się rozpłakać. Citroën nigdy nie płakał. Klementyna czasem rzucała ku niemu ironiczne spojrzenie i manifestacyjnie całowała Noëla i Joëla.

Samochód stanął przed schodami i wszyscy wyszli. Zmar jako ostatni. Niósł worki drażetek, żetonów i skwarek, które miały zostać rozdane wiejskim dzieciom i zwierzętompo ceremonii.

Niebo, jak zwykle, było niewzruszenie błękitne, zaś ogród lśnił swą purpurą i złotem.

Samochód ruszył. Angel prowadził delikatnie, z powodu dzieci.

Przy każdym poruszeniu się niańki słychać było głośny szmer tafty. To była bardzo piękna suknia. Jednak Zmar wołał tamtą, z piki, która bardziej ją opinała. W tej zaś wyglądała po prostu wsiowo.

## XIX

Mrok gęstniał wokół Zmara. Siedział za swoim biurkiem i medytował. Jakieś zmęczenie powstrzymywało go przed zapaleniem światła. Był to ciężki dzień, ostatni po ciężkim tygodniu i psychiatra usiłował odzyskać spokój duszy. Przez wszystkie te gorące pełne ruchu dni ledwie odczuł potrzebę psychoanalizowania, lecz teraz, gdy był sam, odprężony, w swym pokoju, poczuł jak powraca namacalna i przerażająca pustka i brak uczuć, maskowane do tej pory przez nadmiar obrazów. Niepewny, pozbawiony pragnień czekał, żeby bona zapukała do jego drzwi.

W jego wylakierowanym pokoju było gorąco i przyjemnie pachniało drewnem; pobliskie morze łagodziło palące tchnienie powietrza, czyniło je spokojnym i delikatnym. Na zewnątrz słychać było jakieś ptasie krzyki i przenikliwe brzęczenie insektów.

A potem ktoś zaskrobał w drzwi. Zmar podniósł się i poszedł otworzyć. Młoda wieśniaczka weszła i stanęła w bezruchu, sparaliżowana przez nieśmiałość. Zmar uśmiechnął się. Pokręcił wyłącznikami zamknął starannie drzwi.

– No jak tam? – zapytał. – Boimy się?

Wyrzucił sobie natychmiast własne prostactwo, lecz w kilka chwil później wybażył je sobie, pomyślawszy, że nie mogło zaszokować osoby prostej.

– Usiądź... – zaproponował. – Tam... Na łóżku.

– Nie śmiem... – powiedziała.

– No, no – rzekł Zmar. – Nie bądź przy mnie taka onieśmielona. Połóż się i odpręż.

– Czy mam się rozebrać? – zapytała.

– Rób, co zechcesz – odrzekł Zmar. – Rozbierz się, jeśli masz na to ochotę, w przeciwnym razie – nie. Czuj się swobodnie... To wszystko, czego od ciebie wymagam.

– Czy pan się również rozbierze? – zapytała nieco ośmielona. – Ależ posłuchaj – zaprotestował Zmar – przyszedł tu na seans psychoanalityczny czy na różnicę?

Zawstydzona opuściła głowę i Zmar poczuł się lekko podniecony przez taką ilość ignorancji.

– Nie rozumiem pana wielkich słów – powiedziała – lecz chętnie zrobię to, co mi pan każe.

– Przecież każę ci robić, co tylko zechcesz – upierał się Zmar.

– Lubię, kiedy mi się mówi wszystko, co mam zrobić... W końcu nie ja tu dowodzę...

– W takim razie połóż się tak jak stoisz – rzekł Zmar.

Wrócił, by zasiąść za biurkiem. Spojrzała na niego spod oka, po czym zdecydowawszy się, zgrabnym gestem ściągnęła sukienkę. Była to jedna z jej codziennych sukienek, którą ubrała po powrocie z chrztu – nieciekawa bawełna w kwiaty.

Zmar przyjrzał się uważnie wszystkim szczegółom: była nieco przyciężka, dobrze rozrośnięta, o okrągłej, pulchnej piersi i brzuchu jeszcze nie zniekształconym przez pracę. Poszła położyć się na łóżku i pomyślał, że kiedy już odejdzie, a on pójdzie spać, będzie go niepokoił zapach tej kobiety.

Szła nieco pokracznie, lecz kryła się w tymniewątpliwie jeszcze resztką wstydu.

– Ile masz lat? – zapytał Zmar.

– Dwadzieścia – odrzekła.

– Skąd jesteś?

– Ze wsi.

– Jak byłaś wychowywana? Jakie jest twoje najstarsze wspomnienie?

Mówił lekkim tonem, by wzbudzić w niej zaufanie.

– Pamiętasz swoich dziadków?

Zastanawiała się przez minutę.

– To dlatego kazał mi pan przyjść? – zapytała. – Żeby mnie wypytywać o takie rzeczy?

– Po to również – odparł Zmar ostrożnie.

– To są sprawy, które pana nie obchodzą – powiedziała.

Podniosła się i usiadła nogi spuszcwszy z łóżka.

– Dosiada mnie pan, czy nie? – zapytała. – Ja przyszedłam tu po to. Dobrze pan o tym wie. Nie umiem mówić, ale nie jestem aż taka głupia, żeby pozwolić panu nabijać się ze mnie.

– Och! Wynoś się – rzekł Zmar. – Masz nazbyt paskudny charakter. Przyjdiesz jutro.

A jednak wstała. Przeszła przed psychiatrą i profil jej biustu poruszył go.

– No dobra – powiedział. – Zostań na łóżku. Już idę.

Szybko powróciła na miejsce, lekko zdyszana. Kiedy Zmar podszedł, odwróciła się i wypięła do niego tyłem. Posiadł ją w tejże pozycji, jak poprzedniego poranka za żywopłotem.

## XX

Angel leżał wyciągnięty przy Klementynie. W potrójnym łóżku trójka dzieci spała, nie śniąc o niczym, cicho i niespokojnie posapując. Klementyna nie spała. On wiedział o tym. Już od godziny leżeli tak tuż koło siebie, w mroku.

Zmienił pozycję, próbując znaleźć chłodniejszy kąt. W tym geście jego noga weszła w kontakt z nogą Klementyny. Ona aż podskoczyła i gwałtownie zapaliła światło. An-

gel, nieco rozespany, wsparł się łokciem o jasek, by na nią popatrzeć.

– Co się stało? – zapytał. – Żle się czujesz?

Ona usiadła i pokręciła głową.

– Dłużej nie mogę – powiedziała.

– Czego dłużej nie możesz?

– Dłużej nie mogę cię ścierpieć. Nie mogę spać koło ciebie. Nigdy więcej nie będę mogła spać, wiedząc, że w każdej chwili możesz mnie dotknąć. Zbliżyć się do mnie. Kiedy czuję, jak włosy rosnące na twoich nogach tylko mnie muskają, ogarnia mnie szaleństwo. Najchętniej bym wyła.

Miała głos napięty, drżący, pełen zdławionych krzyków.

– Idź spać gdzie indziej – powiedziała. – Miej litość nade mną. Zostaw mnie.

– Już mnie nie kochasz? – zapytał idiotycznie Angel.

Spojrzała na niego.

– Nie mogę cię więcej dotykać – rzekła. – Gorzej. Mogłabym. Lecz nie mogłabym sobie wyobrazić, że ty mnie dotykasz, choćby przez chwilę. To straszne.

– Oszalałaś? – rzucił Angel.

– Nie oszalałam. Wszelki kontakt fizyczny z tobą napawa mnie obrzydzeniem. Bardzo cię kocham... To znaczy, chciałam, żebyś był szczęśliwy... ale nie w ten sposób... To mnie zbyt wiele kosztuje. Nie za tę cenę.

– Ależ – powiedział Angel – ja nie chciałem nic ci zrobić. Zmieniałem pozycję i musnąłem cię. Nie doprowadzaj się sama do takiego stanu.

– Nie jestem w żadnym stanie – odparła. – Teraz to mój stan normalny. Idź spać do swojego pokoju!... Proszę cię, Angel. Miej litość nade mną.

– Z tobą coś niedobrze – szepnął kręcąc głową.

Przesunął jej dłoń po ramieniu. Zadrżała, lecz pozwoliła na to. Pocałował ją delikatnie w skroń i wstał.

– Idę do siebie, koteczku – powiedział. – Nie martw się...

– Posłuchaj – dodała jeszcze – ja... ja nie chcę... jak by ci to powiedzieć... ja już nie chcę i nie sądzę, bym znowu kiedykolwiek chciała... Spróbuj sobie znaleźć jakąś inną kobietę. Nie jestem zazdrosna.

– Już mnie nie kochasz... – powiedział smutno Angel.

– Już nie w ten sposób – odrzekła.

Wyszedł. Nadal siedziała na swym miejscu i patrzyła na zagłębienie, które zrobił Angel w dolnej części poduszki, tuż koło niej. Zawsze spał na dolnej części poduszki.

Jedno z dzieci poruszyło się przez sen. Czujnie nasłuchiwała. Niemowlę ponownie



zapadło w sen. Uniósłszy dłoń, zgasiła światło. Teraz miała całe łóżko dla siebie i wiedziała, że nigdy więcej nie dotknie jej żaden mężczyzna.

## XXI

Zmar również właśnie zgasił światło w swym pokoju. W oddali ucichło delikatne skrzypienie siennika niańki, która kładła się nasycona. Przez kilka chwil leżał nieruchomo na plecach. Sprawy ostatnich dni tańczyły mu przed oczami aż do zawrotu głowy, a serce waliło gwałtownie. Powoli rozluźniał się i zapadał w nieświadomość, opuściwszy umęczone powieki na siatkówki poharatane przez ostre rzemienie niezwykłych wizji.

# CZĘŚĆ DRUGA

## I

*Wtorek 7 maja*

Na urwisku, daleko za ogrodem, jeszcze za poszarpanym cyplem, któremu nocą i dniem morze przyprawiało brodę, stała wysoka kamienna bryła – nieregularny grzyb, potężny i odstrasający, targany wiatrem, odwiedzany jedynie przez kozy i porośnięty paprociami. Z domu był niewidoczny. Nazywano go Człowiekiem Ziemi w odróżnieniu od Człowieka Morza, jego brata, który wynurzał się z wody nieco po lewej, dokładnie naprzeciw. Do Człowieka Ziemi był łatwy dostęp z trzech stron. Jednak północna część zastawiała na ewentualnego gościa całą sieć pułapek i forteli prawie nie do pokonania; rzec by można, że wymyślił je jakiś złośliwy Corbusier, czyniąc niepewnymi jakiegokolwiek usiłowania z tej strony.

Czasami celnicy przychodzili tu trenować i codziennie, opinani przez bawełniane kostiumy w zielono-białe paski, wszczepiali zasady wspinaczki swym czeladnikom, bez których kontrabanda stałaby się istną plagą.

Lecz tego dnia Człowiek był pusty. Dla Klementyny, która przywarłszy do skały wspinała się powoli, uważnie sprawdzając każdy punkt zaczepienia.

W ciągu poprzednich dni dziecięcą igraszka było wejście na szczyt zboczem wschodnim, zachodnim, czy południowym. Dzisiaj musiała dać z siebie wszystko. Czepiając się skały, nie mając pod ręką nic prócz zbocza Człowieka, gładkiego, zwartego granitu.

Leżała na płask, brzuchem przywarłszy do prawie pionowego stoku. Trzy metry ponad nią widniała szczelina pozwalająca na zaczepienie. Dopiero tam miała zacząć się prawdziwa praca, gdyż cała górna część Człowieka była w kształcie nawisu. Na razie jednak należało pokonać te trzy metry.

Czubki espadryli, wsunięte w długą szparę biegnącą ukosem przez całą długość stoku, podtrzymywały ją nad otchłanią. Z ziemi zgromadzonej w tej szczelinie czerpały soki jakieś drobne roślinki. Tworzyły zieloną linię odcinającą się od szarości granitu, jak medal za zasługi dla rolnictwa od klapy wykładowcy.

Klementyna oddychała powoli, głęboko. Wdrapać się jak mucha po ścianie. Trzy metry. Tylko trzy metry. Mniej niż jej dwukrotny wzrost.

Przyjrząwszy się z bliska, można było dostrzec kilka nierówności. Po prostu, aby to zauważyć, należało się przyglądać z dostatecznie małej odległości; nie za bliskiej jednak, żeby nie zdać sobie sprawy, że nie było to wcale wystarczające, by przeszkodzić w upadku.

Położyła dłonie na dwóch spośród tych fałszywych nierówności i jakoś sobie poradziła.

Przez suchy materiał spodni, które miała na sobie, skała pieściła jej kolana. Stopy jej uniosły się o trzydzieści centymetrów ponad zieloną linię.

Westchnęła głęboko, rozejrzała się dookoła i kontynuowała wspinaczkę. Dziesięć minut później poprawiała ubranie, stojąc na gzymsie poprzedzającym ostatni etap. Czoło miała mokre, a delikatne na skroniach włosy kleiły się do nich. Sama czuła, jak bije od niej roślinny zapach własnego potu.

Nie mogła się wcale poruszać, gdyż przestrzeń miała ściśle ograniczoną. Odwróciwszy głowę, widziała pod niespotykanym kątem Człowieka Morza i otaczający go pas piany. Słońce, stojące już wysoko na niebie, strząsało z chmur cekiny na poskręcane skały wybrzeża.

Ponad nią Człowiek Ziemi kończył się jak okap ze stojącej książki, w trzech czwartych zamkniętej, na dokładkę lekko pochylonej w kierunku otchłani. Ostry, nikiący gdzieś kąt, po którym trzeba było się posuwać.

Klementyna odrzuciła głowę w tył, zmierzyła wzrokiem kąt i aż zamruczała z rozkoszy. Miała mokro między nogami.

## II

Trzy paskudztwa galopowały na czworakach po sali, gdzie je zamykano przed fajfokłowym karmieniem. Zaczęły tracić zwyczaj spania przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i czerpały przyjemność z rozrywki osiąganey przy pomocy tylnych kończyn.

Noël i Joël skamlali, Citroën, bardziej godny, kręcił się powoli wokół niskiego stolika na jednej nodze.

Zmar przyglądał się im. Częściej spotykał się z nimi teraz, gdy bardziej byli podobni do istot ludzkich niż do jakichś larw. Dzięki klimatowi i trosce, jaką ich otaczano, byli zadziwiająco, jak na swój wiek, rozwinięci. Dwaj pierwsi mieli gładkie, jasnoblonde włosy. Trzeci brązowe i poskręcane, jak w dniu swych urodzin; zdawał się być o rok starszy od swych braci.

Oczywiście ślinili się. Każdy ich postój na dywanie był zaznaczony małą, wilgotną plamką, łączącą się przez chwilę z ustami autora długą krótkotrwałą nitką, sprężystą, delikatną i krystaliczną.

Zmar czuwał nad Citroënem. Ten, z nosem skierowanym ku ziemi kręcił się teraz resztką energii. Potem jego ruchy uległy jeszcze większemu spowolnieniu i usiadł. Jego spojrzenie uniosło się ku stolikowi.

– Co myślisz? – zapytał Zmar.

– Buee!... – powiedział Citroën.

Wyciągnął rękę w stronę obiektu. Za daleko. Przybliżył się, nie porzucając pozycji siedzącej i – rezolutnie chwyciwszy za krawędź palcami – stanął.

– Wygrałeś – powiedział Zmar. – Tak się to właśnie robi.

– O! Buee... – odrzekł Citroën, który puścił krawędź, upadł nagle na pupę i wyglądał na zdziwionego.

– A widzisz – powiedział Zmar – nie trzeba było puszczać. To proste. Za siedem lat pójdziesz do pierwszej komunii, za dwadzieścia skończysz studia, a po następnych pięciu ożenisz się.

Citroën pokręcił głową z miną niezbyt przekonaną i po krótkiej chwili znów stał na nogach.

– Dobrze – stwierdził Zmar. – Cóż, trzeba będzie zawiadomić szewca, albo kowala. Twardo się tu traktuje dzieci, wiesz. A poza tym konie się podkuwa i nie mają się one gorzej z tego powodu. Będzie, jak zechce twoja matka.

Przeciągnął się. Co za życie. I nikogo do spsyoanalizowania. Służąca nadal była nieustępliwa. Żadnego postępu.

– Ja was zabiorę, moje ptaszki – powiedział. – Już od tygodni moja noga nie postąła we wsi.

Citroën nadal kręcił się wokół stolika, lecz teraz w pozycji pionowej.

– No proszę – stwierdził Zmar. – Szybko się uczysz. Być może nawet wyprzedzisz mój program. Wreszcie będę miał z kim chodzić na spacer.

Noël i Joël przejawiali oznaki poruszenia i Zmar popatrzył na zegarek.

– No tak, już pora. A nawet po. Ale co chcesz, takie spóźnienie może się zdarzyć każdemu.

Joël zaczął płakać. Noël mu zawtórował. Ich brat, nieruchomy, obserwował ich chłodnym okiem.

Było prawie pół do czwartej, kiedy nadeszła Klementyna. Znalazła Zmarę siedzącego w tym samym miejscu. Był nieprzenikniony i zdawał się nie słyszeć serii wrzasków, jakie wydawały bliźniaki. Citroën, siedząc na jego kolanach, również nieprzenikniony co Zmar, zabawiał się pociąganiem go za brodę.

– Wreszcie! – zawołał Zmar.

Lewa nogawka spodni Klementyny była całkiem rozdarta. Ona sama miała rozległy

krwiał na policzku.

– Z tego co widzę, nieźle się pani ubawiła? – powiedział.

– Nieźle – odrzekła chłodno. – A pan?

Jej udawany ton kontrastował z fizycznym podnieceniem, które najwyraźniej przesycało jej członki.

– Ależ harmider! – stwierdziła obiektywnie minutę później.

– Cóż – rzekł Zmar – chce im się pić. Wie pani, potrzebują pani, tak jak i te pani karmienie.

– Nie mogłam przyjść szybciej – odrzekła. – Najpierw wezmę najgrzeczniejszego.

Zdjęła Citroëna z kolan psychiatry i zasiadła w drugim fotelu. Zmar odwrócił się dyskretnie, gdyż widok podającej pierś kobiety wprowadził go w zakłopotanie z powodu niebieskich żyłek pokrywających siateczką bardzo białą skórę. Poza tym karmienie piersią zdawało się sprawiać, że biust tracił swe prawdziwe przeznaczenie.

– Wie pani, że on chodzi... – kontynuował psychiatra.

Podskoczyła i tym gestem wyrwała sutek z ust niemowlęcia...

Dziecko czekało w ciszy.

– Chodzi?

Postawiła go na ziemi.

– Idź!...

Citroën uczeplił się jej spodni i stanął. Podniosła go nieco zbity z tropu.

– A tamci? – zapytała.

– Tamci nie – powiedział psychiatra.

– Dobrze – stwierdziła.

– Rzec by można, iż panią martwi to, że on chodzi? – zasugerował Zmar.

– Och! – szepnęła Klementyna. – Daleko na razie nie zajdą, moje małe kurczaczki.

Citroën skończył. Złapała Joëla i Noëla za kaftaniki i posadziła na kolanach.

Zmar wstał.

– Więc w sumie – zapytał – nadal je pani kocha?

– Wyglądają na bardzo dzielnych – odrzekła Klementyna. – A poza tym potrzebują mnie. Pan wychodzi?

– Muszę się trochę odprężyć – stwierdził Zmar.

– Niech pan pójdzie do kowala – rzekła. – W sprawie Citroëna.

– Czemu zależy pani, by byli oni wychowywani jak dzieciaki wieśniaków?

– Czemu nie? – odparła oschle Klementyna. – Przeszkadza to panu?

– Przeszkadza mi – odpowiedział Zmar.  
– Snob! – powiedziała Klementyna. – Moje dzieci będą proste.  
Opuścił pomieszczenie. Citroën patrzył na niego, a jego buzia była ponura jak oblicze kamiennego świątka po bombardowaniu.

### III

Pojawiła się bona.  
– Pani mnie wołała? – zapytała.  
– Weź tę trójkę, przebierz i połóż – powiedziała Klementyna. Przyjrzała jej się uważnie i stwierdziła:  
– Coś podle wyglądasz.  
– Ach! – westchnęła tamta. – Tak pani uważa?  
– Nadal sypiasz ze Zmarem? – spytała Klementyna.  
– Owszem – odrzekła bona.  
– Co on ci robi?  
– Och! – rzekła służąca. – Ujeżdża mnie.  
– Wypytuje cię?  
– Nawet – przyznała bona. – Nawet kiedy nie mam czasu, żeby sobie czymkolwiek głowę zawracać, zaraz mnie wypytuje.  
– Nigdy nie odpowiadaj – rzekła Klementyna i przestań z nim sypiać.  
– Mnie to rajcuje.  
– Wzbudzasz we mnie wstręt. Będziesz załatwiona, jak ci zrobi bobasa.  
– To się jeszcze nie zdarzyło.  
– To się zdarza – szepnęła Klementyna zadrżawszy. – W sumie, lepiej byś zrobiła, nie sypiając z nim więcej. Wszystko to jest obrzydliwe.  
– No cóż – powiedziała dziewczyna. – W tej pozycji, w jakiej to robimy, nic nie widać.  
– Spływasz stąd – rzekła Klementyna.  
Białodupska wzięła trójkę dzieci i wysłała.  
Klementyna powróciła do swojego pokoju. Rozebrała się, natarła wodą kolońską, przemyła tłuczoną ranę na twarzy i rozciągnęła się na plecach na ziemi, żeby się trochę pogimnastykować.  
Po gimnastyce przeniosła się z podłogi na łóżko. Następnym razem zdąży z karmieniem. Takie oczekiwanie dla dzieci to niedobra sprawa. Niemowlęta powinny jeść wte-

dy, kiedy trzeba. Reszta się nie liczy.

Angel rozłożony na łóżku w pozycji wyrażającej najdoskonalsze strapienie, podniósł oczy, słysząc trzy puknięcia w drzwi.

– Tak! – zawołał.

Wszedł Zmar i zaraz skomentował:

– Oczywiście, jak zwykle bezczynność...

– Jak zwykle – odrzekł Angel.

– Wszystko w porządku? – zapytał psychiatra.

– W porządku – rzekł Angel. – Mam gorączkę.

– Zobaczymy.

Podszedł do niego i zbadał mu puls.

– Faktycznie – przyznał.

Usiadł na łóżku.

– Posuń pan nogi.

Angel przeniósł się na drugą stronę, a Zmar usiadłszy zaczął gładzić swoją brodę.

– Co pan jeszcze zrobił? – zapytał.

– Dobrze pan wie – odrzekł Angel.

– Szukał dziewczyny?

– Znalazł dziewczynę.

– Przespał się z nią?

– Nie mogę... – powiedział Angel. – Gdy tylko kładziemy się razem do łóżka, zaraz mnie łapie gorączka.

– Klementyna nic już nie chce? – zapytał Zmar.

– Już nic – odparł Angel. – A od innych dostaję gorączki.

– Ma pan wyrzuty sumienia – zauważył Zmar.

Angel uśmiechnął się złośliwie.

– Nie podobało się to panu, kiedy to panu powiedziałem – stwierdził.

– No cóż – rzekł Zmar – nie słucha się tego przyjemnie... zwłaszcza kiedy się wcale nie ma sumienia.

Angel nie odpowiedział. Najwyraźniej marnie się czuł. Rozpiął kołnierzyk i łapczywie wdychał majowe powietrze.

– Właśnie widziałem się z pańską żoną – powiedział Zmar, który sam chciał go trochę rozerwać. – Dzieciaki rosną jak diabli. Citroën już trzyma się prosto.

– Biedna kruszynka – rzekł Angel. – W jego wieku... nogi mu się od tego wykoślawią.

– Ależ skąd – sprzeciwił się Zmar. – Skoro trzyma się prosto, to znaczy, że nogi są wystarczające, by go unieść.

– Pozwólmy działać naturze... – westchnął Angel.

– Pańska żona kazała mi iść do kowala – rzekł Zmar. – Nie obawia się pan, że wychowuje ich w sposób nieco brutalny?

– Nie mam prawa nic mówić – odparł Angel. – To ona cierpiała, nie ja. A to jej daje prawo.

– Nie zgadzam się – powiedział Zmar – aby równie niepotrzebna rzecz jak cierpienie mogła komukolwiek, do czegokolwiek dawać jakiegokolwiek prawa.

– Naprawdę tak źle ich traktuje? – zapytał Angel nie zmieniając tematu.

– Nie – rzekł Zmar. – Twardsza jest dla siebie samej. Ale to również żaden powód. Wszystko to jest to prostu zła wiara i spółka.

– Sądzę, że ich kocha – powiedział Angel.

– Hmm... tak... – odparł Zmar.

Angel zamilkł. Nie czuł się dobrze. Było to widać.

– Powinien pan znaleźć coś dla odwrócenia uwagi – stwierdził Zmar. – Niech pan popływa łodzią.

– Nie mam łodzi... – odrzekł Angel.

– Zbuduj pan łódź.

– To jest myśl – mruknął tamten.

Zmar zamilkł i wstał.

– Idę do kowala – powiedział. – Skoro jej na tym zależy.

– Niech pan pójdzie jutro – zasugerował Angel. – Niech pan zostawi jeszcze jeden dzień temu biedaczce.

Zmar pokręcił głową.

– Samnie wiem – powiedział. – Jeśli jest pan przeciw, niech pan to powie.

– Jestem w stanie niepełnowartościowości – rzekł Angel. – A poza tym, uważam, że ona ma rację. To ona jest matką.

Zmar wzruszył ramionami i wyszedł. Szerokie schody wyłożone płytkami drżały pod jego szybkim krokiem. Przemierzył hall i wyszedł na zewnątrz. Wiosna rozpychała ziemię tysiącem cudowności, które wybuchały tu i ówdzie w postaci różnobarwnych ogní, jak wspaniałe skazy na bilardowym stole barw.



8 maja

Ponieważ następnego dnia była środa, Zmar, udając się do wioski, uniknął przejścia główną ulicą i przez plac, na którym odbywał się jarmark starców. Przed przejściem przez skupisko domów skręcił na ścieżkę biegnącą tyłami zabudowań, gdzie rosły dziki, zielone rośliny, parzące i pakulaste, zwane przez wieśniaków złokrzywami.

Koty wyciągnięte na szczytach murków lub na krawędziach parapetów nasłoneczniały się gnuśnie. Wszystko było spokojne i martwe. Psychiatra mimo dręczącej go permanentnie nudy odprężył się i czuł – mówiąc komórkowo – że funkcjonuje.

Wiedział, że za domami po prawej stronie czerwony strumień płynie pełen aż po brzegi, wiedział również, że nieco dalej strumień skręca w lewo. Toteż nie był zaskoczony, widząc wąską drogę, która robiła to samo, pod tym samym kątem i nagle poczuł się w prawie stwierdzić, że zespół ferma mniej więcej stałą głębokość.

Kilka dekametrów dalej grupa ludzi zdawała się zajęta jakąś skomplikowaną pracą. Kiedy szybko przemieszczał się w kierunku miejsca akcji, jakiś krzyk uderzył go we wrażliwe skronie. Krzyk bólu przemieszanego ze zdziwieniem, dość bliski wrzaskowi wściekłości z odcieniem bierności, który również mu nie umknął.

Przyspieszył kroku i podkręcił puls. Wieśniacy stojący przed wysoką bramą z nieokrzesanego dębu trudzili się ukrzyżowaniem konia. Zmar podszedł. Sześciu mężczyzn przypierało zwierzę do drewnianego skrzydła wrot. Siódmy i ósmy byli zajęci przybijaniem gwoździ do przedniej, lewej nogi. Gwóźdź przebił już pęcinę – potężny, ciesielski gwóźdź o lśniącym łebku – i strumyczek krwi spływał po brunatnej sierści zwierzęcia. Było to wyjaśnienie okrzyku bólu dosłyszanego przez Zmara.

Wieśniacy kontynuowali robotę, nie przejmując się psychiatrą bardziej, niż gdyby ów znajdował się gdzieś bardzo daleko, na Wyspach. Jedyne koń wbił w niego swe wielkie, brązowe oczy, lśniące od łez i obnażył swe długie zęby, by wykonać marny, przepraszający uśmiech.

– Co on zrobił? – zapytał cicho psychiatra.

Jeden z pięciu lub sześciu wpatrujących się w niego ludzi odpowiedział bez żenady:

– To ogier. Podpuścił się.

– To chyba nic poważnego – rzekł Zmar.

Jego rozmówca splunął na ziemię bez słowa. Teraz przybijano prawą nogę ogiera i Zmara przeszył dreszcz, gdy ujrzał, jak gwóźdź wbity jednym uderzeniem młota rozdziera sierść zmatowiałą ze strachu. Jak chwilę wcześniej, koń wydał krótki, przerażający krzyk. Jego ramiona trzeszczały, nienormalnie naprężone przez katów, którzy zadali sobie mnóstwo trudu, by przytwierdzić kończyny do ciężkich drzwi. Zwierzę miało

lekką zagiętą łokcie. Łapy tworzyły ze sobą ostry kąt, okalając jego pełną ekspresji głowę. Już muchy podniecone krwią przylatywały, by unurzać swe łapki tuż przy gwoździach.

Ci, którzy trzymali zadnią część konia, rozdzielili się i przytwierdzili kopyta wewnętrzną stroną do kwadratowej poprzecznicy, wzmacniającej dolną część wrót. Zmar, zastygły, nie tracił z oka najmniejszego szczegółu operacji. Czuł, jak w gardle tworzy mu się ostrze brzozy i przełknął je z wielkim trudem. Brzuch ogiera drżał, a jego członek, wielkich rozmiarów, zdawał się kurczyć i kryć w fałdach skóry.

Z drugiej strony drogi dobiegł szmer głosów. Zbliżali się dwaj mężczyźni, których Zmar wcześniej nie dostrzegł, jeden dorosły, drugi młody. Starszy szedł, trzymając ręce w kieszeniach. Był rostry i owłosiony, z jerseyowego trykotu wystawały mu ramiona, zaś fartuch z poprzypalanej skóry tłukł mu się o nogi. Młodszy, wynędzniały i chlerlawy czeladnik ciągnął ciężki, żelazny kociołek wypełniony rozżarzonymi węglami, skąd wystawała rękojeść rozgrzanego do czerwoności haka.

– Idzie kowal... – powiedział ktoś.

– Naprawdę – Zmar nie mógł się powstrzymać przed rzuceniem cichego komentarza – jesteście surowi dla tego zwierzęcia.

– To nie jest zwierzę – powiedział wieśniak – to ogier.

– Nie zrobił nic strasznego.

– Był wolny – rzekł mężczyzna. – Mógł się nie podpuszczać.

– Ależ to jego obowiązek – stwierdził Zmar.

Czeladnik postawił kociołek na ziemi i rozniecił ogień przy pomocy miecha. Jego mistrz pogrzebał przez chwilę w węglach przy pomocy haka, po czym stwierdziwszy, że już się nadaje, odwrócił się w stronę ogiera.

Zmar zawinął się i uciekł. Przycisnąwszy pięści do uszu, biegł niezgrabnie, gdyż przedramiona miał przyciśnięte do szyi i wrzeszczał na całe gardło, żeby nie słyszeć rozpaczliwych krzyków konia. Zatrzymał się, dobiegłszy do małego placu, który, jak wiedział, znajdował się tuż przy kościele. Ręce opadły mu wzdłuż ciała. Czerwony strumień, który właśnie przekroczył po lekkim, drewnianym mostku, płynął bez zmarszczek, nieruchomy i przejrzysty. Nieco dalej płynął Gloria, zdyszany, usiłując wciągnąć na swą łódź strzęp białego ciała, który rozpadał mu się w zębach.

## V

Zmar, wahając się, rozejrzał się wokół siebie. Nikt nie zauważył jego panicznej ucieczki. Kościół stał na miejscu, podobny do jajka, z błękitnym witrażem, jakby to była dziurka, przez którą można by je wypić. Wewnątrz rozlegał się szmer śpiewów.

Zmar obszedł kościół i nie spiesząc się wspiął się po schodach. Wszedł do środka. Proboszcz, stojąc przed ołtarzem, wybijał takt. Jakaś dwudziestka dzieci śpiewała kantyczkę do pierwszej komunii, której sprytnie słowa mocno zafrapowały psychiatrę i, by je lepiej usłyszeć, podszedł bliżej do ołtarza.

Tłustość to jest łój  
Dzika róża to jest kwiat  
G... to jest szczęścia rój  
Jezus jest lepszy niż cały świat.  
Trawa to jest bydła smak  
Mięso to dla taty kwiat  
Włosy to jest głowy znak  
Jezus jest lepszy niż cały świat.  
Jezus to jest dodatkus  
Jezus to jest nadwyżkus  
Jezus to jest luksus...

W tym momencie psychiatra stwierdził, że autorem kantyczki musiał być proboszcz i przestał zwracać uwagę na poemat licząc na to, iż łatwo będzie mógł otrzymać jego kopię. Muzyka wprowadziła odrobinę spokoju do jego poruszonej duszy. Nie chcąc przeskadzać proboszczowi w jego ćwiczeniach powtarzających, usiadł po cichu. W kościele było chłodno; głosy dzieci rezonowały w obszernym budynku zaczepiając się echem o ząbkowane ściany. Pozwoliwszy oczom błędzić tu i ówdzie, Zmar dostrzegł, że ustawiono na miejscu ambonę z okiennicami, i że dwa, potężnych rozmiarów, przeguby pozwalały jej się teraz przewrócić tak, by nic nie uległo złamaniu. Zdał sobie sprawę, że nie był w tym miejscu od czasu chrztu trzech paskudztw i pomyślał: „jak ten czas szybko płynie”, zaś czas płynął faktycznie, gdyż mrok już łagodził ostrość błękitnego witraża, zaś głosy dzieci stawały się coraz cichsze; tak to się dzieje dzięki muzyce i ciemności, które w połączeniu stają się prawdziwym balsamem lejącym się na rany duszy.

Wyszedł ukojony i pomyślał, że powinien się spotkać z kowalem, by nie narazić się po powrocie na połajanki Klementyny.

Nadchodził zmierzch. Zmar udał się w stronę wiejskiego placu, kierując się węchem za zapachem przypalanego rogu, który niewyraźnie unosił się w powietrzu. Zamknął oczy, żeby się nie zgubić i nozdrza zawiodły go aż do mrocznego kramiku, gdzie czeladnik podsyczał ogień w palenisku, przy wydatnej pomocy miecha. Przed drzwiami koń czekał na swą ostatnią podkowę. Właśnie przejechano go maszynką do strzyżenia, za wyjątkiem dolnej części czterech kończyn i Zmar podziwiał jego piękne, krągłe pośladki, lekko wklęsły grzbiet, wydatną pierś i grzywę podobną do twardej szczotki ryżowej.

Kowal wylażł z czarnej dziury. Był to ten, którego godzinę wcześniej Zmar widział, jak przyszedł drogą, by torturować ogiera.

– Dzień dobry – powiedział Zmar.

– Dzień dobry – odpowiedział kowal.

W prawej dłoni, w długich szczypcach trzymał kawałek rozżarzonego do czerwoności żelaza. Na końcu jego lewego ramienia zwiisał ciężki młot.

– Podnieś nogę – powiedział do konia.

Ten ostatni usłuchał i został podkutty w mgnieniu oka. Ze zwęglonego rogu wydobył się ostry, niebieski dym i zasmrodził powietrze. Zmar zakaszał. Koń postawił nogę na ziemi i wypróbował podkowę.

– Pasuje? – zapytał kowal. – Nie za mała?

Koń dał znak, że nie i położył głowę na ramieniu kowala, który polechtał go po chrapach. Potem zwierzę odeszło spokojnym krokiem. Na ziemi leżały małe kłęбки sierści, jak w gabinecie fryzjerskim.

– Cho no! – wrzasnął kowal do czeladnika. – Pozamiatać mi to!...

– Tak – odrzekł głos czeladnika.

Kowal szykował się do odejścia i Zmar położył mu rękę na ramieniu.

– Niech pan posłucha...

– Czego? – zapytał kowal.

– Czy mógłby pan przyjść do domu na urwisku? Jedno z dzieci chodzi.

– Czy to pilne? – zapytał mężczyzna.

– Tak – odparł Zmar.

– Samnie może przyjść?

– Nie.

– Się zobaczy – powiedział kowal.

Wszedł do kuźni, mijając czeladnika uzbrojonego w starą miotłę, który zaczął zmiatać rozsypane włosy w jedną kupę o paskudnym wyglądzie. Zmar podszedł aż do progu. W środku było bardzo ciemno i człowiek natychmiast został oślepiiony przez ogień, którego pomarańczowa plama ochłapywała wszystkie przedmioty różnorodnymi cieniami. Tuż przy płamie Zmar rozróżnił kowadło, a na żelaznym warsztacie, leżącą na boku, niewyraźną postać o kształtach ludzkich, do której światło wpadające przez drzwi przyczepiało szary, metaliczny odbłask.

Lecz kowal już się odwrócił sprawdzwszy coś w swoim notesie i wracał ku niemu. Zmarszczył brwi widząc, że Zmar podszedł bliżej.

– Zostań pan na zewnątrz – powiedział. – Tu nie obora.

– Bardzo przepraszam – szepnął Zmar żywo zaintrygowany.

– Przyjdę jutro – powiedział kowal. – Jutro rano, o dziesiątej. Wszystko ma być gotowe. Nie mam czasu na trwonienie.

– Jasne – odrzekł Zmar. – I dziękuję.

Mężczyzna wszedł do kuźni. Czeladnik skończył gromadzenie sierści i wrzucił ją do ognia. Zmar, który omal nie padł wobec takiego smrodu, odszedł szybkim krokiem.

W drodze powrotnej zauważył sklepik pasmanteryjno-krawiecki. Za witryną znajdowała się starsza pani, którą wyraźnie było widać w oświetlonym pomieszczeniu. Właśnie kończyła biało-zieloną sukienkę, przyozdobioną angielskim haftem. Zmar zatrzymał się, zastanowił i ruszył w dalszą drogę. Tuż przed wejściem do domu przypomniał sobie, że kilka dni wcześniej Klementyna nosiła dokładnie taką samą. Sukienkę w paski, zielono-białą, z kołnierzykiem i mankietami wykonanymi haftem angielskim. A przecież Klementyna nie ubierała się w wiosce? Tak czy nie?

## VI

9 marca

Zmar wstawał. Całą noc spędził usiłując nakłonić bonę do mówienia, lecz bez rezultatu. I jak zwykle skończyło się to kopulacją, nadal w tej dziwnej, czworonożnej pozycji, jedynej jaką tolerowała. Zmara zmęczyło to wyczerpujące milczenie i potrzebował zapachu własnych rąk, zapachu sromu tej dziewczyny, by się pocieszyć po tym, że udawało mu się jedynie wyciągnąć z niej jakieś niejasne odpowiedzi na konkretne pytania. Pod jej nieobecność oburzał się na nią, przygotowywał jakieś dziecięce argumenty, które, gdy tylko się z nią spotkał, traciły wszelką moc w zderzeniu z milczeniem i inercją, zbyt naturalnymi, by mógł je zwalczyć, zbyt prostymi, by mogły w nim wzbudzić cokolwiek, prócz totalnego zniechęcenia. Powąchał swą dłoń i w myśli ujrzał siebie kierującego swą własnością, czyniąc ją jeszcze twardszą – na to wspomnienie jego ciało pomimo zmęczenia prawie się poruszyło.

Skończywszy toaletę, unikając przy tym umycia rąk, postanowił udać się do Angela. Potrzebował rozmówcy.

Angela nie było w pokoju, czego ostateczny dowód stanowił brak odpowiedzi na trzy sukcesywnie po sobie następujące serie pukań. Tą samą metodą zbadał kilka innych pomieszczeń i wysnuł z tego wniosek, że zainteresowana osoba wyszła.

Z ogrodu dochodziły odgłosy piły. Udał się tam.

Skręciwszy w alejkę, ukradkiem powąchał swe palce. Zapach trzymał się.

Zgrzyt piły stawał się coraz wyraźniejszy. Koło garażu ujrzał Angela bez marynarki, ubranego w spodnie z niebieskiego płótna, piłującego ciężki bal, rozłożony na dwóch

koziółkach.

Zmar podszedł. Końcówka bala, nieregularna i rozłupana upadła na ziemię z głuchym odgłosem. Kupka żółtych trocin, całkiem świeżych i pachnących żywicą, leżała już pod koziółkami.

Angel wyprostował się i odłożył piłę. Wyciągnął rękę do psychiatry.

– Widzi pan – powiedział. – Postępuję zgodnie z pańską radą.

– Łódź? – zapytał Zmar.

– Łódź.

– Umie pan robić łódź?

– Nie będę od niej oczekiwał jakichś strasznych wyników – powiedział Angel. – Byle tylko pływała.

– To zrób pan tratwę – rzekł Zmar. – Jest kwadratowa. I łatwiejsza do wykonania.

– Owszem – przyznał Angel. – Lecz nie jest tak piękna.

– Jak akwarela? – zauważył Zmar.

– Jak akwarela.

Angel położył piłkę i uniósł bal, który właśnie przepiłował.

– A ten posłuży do czego? – zapytał Zmar.

– Nie wiem – odrzekł Angel. – Na razie odcinam marnie końcówki. Chcę pracować na czystym materiale.

– Dwukrotnie wykonuje pan tę samą pracę.

– To bez znaczenia. I tak nie mam nic innego do roboty.

– To ciekawe – szepnął psychiatra. – Nie mógłby pan pracować, gdyby nie zaczął pan od regularnego przygotowania materiałów?

– Mógłbym, ale nie chciałbym.

– Już od dawna jest pan taki?

Angel spojrział na niego z chytrym błyskiem w oku.

– No proszę, to regulaminowy wywiad?

– A skąd!... – zaprotestował Zmar, przesuwając palcami pod nosem, pod pretekstem dmuchnięcia jedną dziurką w celu jej odetkania.

– Pański zawód się odzywa?

– Nie – rzekł Zmar. – Gdybym się nie interesował innymi, to czym chciałby pan, bym się interesował?

– Ależ samą sobą – odpowiedział Angel.

– Dobrze pan wie, że jestem pusty.

– A gdyby się pan zastanowił, dlaczego? To by już wystarczyło, żeby choć trochę zapełnić.

– Błahostki – rzucił Zmar.

– Nadal nikogo do spsyoanalizowania?

– Nikogo...

– Niech pan spróbuje ze zwierzętami. Tak się teraz robi.

– Skąd pan wie? – zapytał Zmar.

– Czytałem.

– Nie można wierzyć we wszystko, co się czyta – powiedział sentencjonalnie psychiatra.

Wewnętrzna strona jego prawego palca wskazującego naprawdę zachowała charakterystyczny zapach.

– Niech pan jednak spróbuje – rzekł Angel.

– Powiem panu... – zaczął psychiatra i nagle urwał.

– Co mi pan powie?

– Nic – uciął Zmar. – Nie powiem panu tego. Najpierw samsprawdzę, czy to prawda.

– To jakieś przypuszczenie?

– Hipoteza.

– Dobrze – stwierdził Angel. – W końcu to pańska sprawa.

Skierował się w stronę garażu. Przez otwarte drzwi można było dostrzec tył samochodu, a po prawej, oparte pod ścianą, sterty powiązanych desek, które wyginały się miękko.

– Nie brak panu drewna – stwierdził Zmar.

– Mimo wszystko będzie to dość duża łódź – rzekł Angel.

Wszedł do środka i wybrał deskę. Zmar spojrzał w niebo. Nie było ani jednej chmurki.

– Zostawiam pana – powiedział. – Idę do wioski.

– Powodzenia!

Nieco później znów rozległ się głos piły i cichł w miarę jak Zmar oddalał się od garażu. Dotarłszy do ogrodowej bramy, nie słyszał go już. Ruszył pokrytą kurzem drogą. Tam, kiedy rozmawiał z Angelem, przypomniał sobie nagle wielkiego czarnego kota, siedzącego na murku przy wejściu do wsi. Jedna z nielicznych osób, które go uznały.

Murek był niewątpliwie ulubionym miejscem kota. Przyspieszył kroku, by się o tym upewnić. Jednocześnie podsunął palec pod nos i wykonał głęboki wdech. Zapach materializował kształty, mocne plecy służącej i jego samego, uczipionego zaokrąglonych

łędźwi, wyginających się pod ciosami jego rylca. Kształty, które pomagały w marszu.

## VII

24 marca

Wiatr włóczył po drodze słomki wyrwane ze ściółki, które wylatywały przez wąskie szczeliny w drzwiach, ulotne słomki z okolic stodoły, stare słomki ze stogów zapomnianych na słońcu. Wiatr zerwał się rano i oskrobał powierzchnię morza, by mu odebrać biały cukier mgieł, wdrapał się po urwisku, rozdzwonił przenikliwie dźwięczące wrzosa, kręcił się wokół domu, robiąc sobie gwizdek z najmniejszych zakamarków, podrywając w górę to i owo, jakąś bardziej obruszoną dachówkę, tocząc liście pozostałe po minionej jesieni, zbrązowiały filigran, któremu udało się wymknąć z wszystkożernego kompostu, wymiatając z kolein całe draperie szarego pyłu, zdzierając swą tarką wyschniętą skórę ze starych kałuż.

Na skraju wsi tworzyła się trąba powietrzna. Gałązki, dzikie trawy zaczęły wirować na szczycie dziwnego stożka. Jego czubek przemieszczał się kapryśnie, jak grafit ołówka podążający po poziomicy; w górnej części szarego murku znajdowała się jakaś czarna rzecz, gąbczasta i plastyczna; czubek zbliżył się do niej jakimś nieprzewidzianym zygzakiem. Była to lekka i pusta powłoka czarnego kota, kota pozbawionego substancji, nieuchwytna i wyschnięta. Trąba potoczyła ją po ziemi, wychudzoną i rozczłonkowaną, wyglądającą jak stara gazeta tocząca się po plaży wielkimi, niezgrabnymi skokami. Wiatr rozpiął ostre nitki dźwięków na czubkach wysokich traw – widmo kota opuściło ziemię jednym groteskowym skokiem i opadło ukośnie. Poryw wiatru rozpostarł je na żywopłocie, później poderwał, jak pozbawioną kości kukiełkę, do następnego walca. Kot wyskoczył nagle poza nasyp, gdyż właśnie w tym miejscu droga skręcała i ruszył przez pola; pędził pomiędzy zielonymi czubkami młodziutkich kłosów, elektryzując się w kontakcie z nimi, szybując z miejsca na miejsce, jak jakiś pijany kruk, pusty pustką doskonałą wyschniętej rośliny, jak stara słoma ze stogów zapomnianych na słońcu.

## VIII

30 marca

Zmar jednym skokiem wypadł na drogę i wciągnął świeże powietrze. Postrzegał rozliczne nowe zapachy rozbudzające w nim jakieś nie do końca rozpoznane wspomnienia. Już od tygodnia, to jest od chwili, gdy pochłonął całość substancji mentalnej czarnego kota, przechodził od niespodzianki do niespodzianki i z wielkim trudem uczył się radzić sobie w tym skomplikowanym i niezwykle afektywnym świecie. Nieprawdą było, że odziedziczył całkiem nowy sposób zachowania; jego fizyczne przyzwyczajaje-



nia i podstawowe odruchy były już zbyt głęboko przyswojone, by się istotnie zmienić w kontakcie z kocimi cechami, których intensywność, proporcjonalnie dość słaba, wyjaśniała znikomość efektu. Śmiał się teraz ze swych usiłowań do skłonienia, by uwierzono – i do przekonania samego siebie – że odczuwa potrzebę drapania się nogą za uchem, lub przysiadania w kucki, z pięściami pod brodą. Lecz pozostał mu zespół pragnień i doznań, a nawet myśli, których wielką atrakcyjność odczuwał przy niezbyt dużej intensywności; na przykład waleriana: czuł, że kilka metrów dalej rośnie krzak kozłka. Jednak z rozmysłem odwrócił się do niego plecami i poszedł w kierunku przeciwnym niż wieś, ścieżką po urwisku. Wiodła go myśl, którą uważał za niezwykle dobrą.

Dotarł do krawędzi skarpy i bez trudu odnalazł ledwie zarysowaną ścieżkę, prawdopodobnie wyznaczoną przez spadające kamienie. Bez wahania ruszył nią, odwróciwszy się plecami w stronę przepaści, pomagając sobie przy schodzeniu rękami. Doznał pewnych emocji, kiedy spod jego nóg oderwało się kilka kamieni, lecz niewątpliwie jego ruchy przejawiały pełne swobody bezpieczeństwo, jakiego nigdy u siebie do tej pory nie dostrzegał. Po kilku chwilach znalazł się u podnóża urwiska. Płytkie morze ukazywało wąską wstążkę gładkich kamieni, otoczone przez potraskane skały i podziurawione przez głębokie laguny. Zmar szybkim krokiem udał się w stronę jednej z nich. Dotarł na brzeg, znalazł wygodny kącik i przykucnął z zawiniętym rękawem. Jego zakrzywione palce muskały wodę.

Upłynęło kilkanaście sekund. A potem mała, żółta rybka wynurzyła łepkę zza zielonej trawy. Ledwie ją można było dostrzec na roślinnym tle laguny, lecz Zmar widział, jak drżą jej delikatne skrzela i jego serce radowało się.

Nagle jego ramię wyprostowało się, pochwycił zwierzątko i unióśł je do nozdrzy. Pachniało naprawdę przyjemnie.

Oblizawszy wargi otworzył usta i bez wahania schrupał łepkę podrygującej rybki.

Była wyśmienita. I mnóstwo ich siedziało w lagunie.

## IX

16 kwietnia

Angel odłożył na stół niciarkę oraz kowadełko i otarł sobie czoło rękawem. Właśnie skończył poszycie prawej burty. Gwoździe z czerwonej miedzi tworzyły piękną linię kropek na jasnym tle wygiętego drewna. Łódź nabierała kształtów. Spoczywała na dębowej kołysce skierowanej ku morzu, od której odchodzi zaczątek dwóch szyn zsuwających się po urwisku.

Niedaleko od tego miejsca trójka dzieci zabawiała się kupką wiórów i trocin znajdującą się w kącie warsztatu. Ich rozwój był zadziwiająco szybki; teraz chodziła już cała trójka w małych żelaznych sabotach, jedynie stopy Citroëna krwawiły jeszcze trochę

wieczorem, lecz Joël i Noël, posiadający naturę bardziej rustykalną, byli odporniejsi, a ich skóra rogowaciała.

Angel dziwił się, była już stosowna pora, a bona nie pojawiała się. Dzieci jednak powinny zjeść podwieczorek. Przypomniawszy sobie nagle, że służąca miała wychodne. Westchnąwszy spojrzął na zegarek. Prawdę mówiąc, Klementyna coraz rzadziej zapomniała nakarmić je, a kiedy czynił jej z tego powodu najmniejszy wyrzut, odpowiadała beczelnie z czymś w rodzaju nienawistnej i nieomal usprawiedliwionej pewności w głosie. Angel czuł się nieswojo widząc, że dzieci przyglądają mu się w takich chwilach prawie ironicznie, stając po stronie swej matki.

Przyjrzał im się i napotkał czarne spojrzenie Citroëna, które go zaniepokoiło. Z odzieniem złości rzekł do siebie, że mają to, na co zasługują. On sam nie domagał się niczego więcej, prócz tego, by móc je rozpieszczać, całować, lecz nigdy o to specjalnie nie zabiegał.

„One lubią być dręczone” – pomyślał z wyrzutem

Jednak poszedł w ich stronę.

– Chodźcie na podwieczorek, robaczki – powiedziano.

Joël i Noël podnieśli głowy i burknęli pod nosem

– Cię Antinę – powiedział Joël.

– Antinę – powtórzył Noël.

– Klementyny nie ma – rzekł Angel. – Chodźcie, pójdziemy jej poszukać.

Citroën przedelfował przed nim godnym krokiem. Angel wyciągnął rękę do dwóch bliźniaków. Nie podejmując jej, stanęli na równe nogi w chmurze wiórów i trocin, i biegnąc niezgrabnie dołączyli do brata. Angel poczuł, że jest mokry i zdenerwowany. Podążył jednak za nimi w oddaleniu, gdyż rozciągający się na skarpie ogród krył wiele pułapek, zaś on, pomimo swego zirytowania, nie chciał, by im się przydarzył jakikolwiek wypadek.

Dotarł do wejścia do domu w sekundę po nich i dopadł ich w środku. Noël ostrym głosem nawoływał matkę, zaś Joël wtórował mu jak echo.

– Dość – powiedział Angel z pewną energią w głosie.

Przerwali zdziwieni.

– Chodźcie do kuchni – dodał Angel.

Był nieco zaskoczony, nie znalazłszy niczego przygotowanego. Mogła jednak przygotować ten podwieczorek. Posadził ich niezgrabnie przed kubkami mleka i kanapkami, i udał się do drzwi, podczas gdy oni napychali się hałaśliwie. Omal nie zderzył się ze Zmarem.

– Nie widział pan Klementyny? – zapytał.

Psychiatra kocim gestem przyłożył dłoń do oka.

– Hmm... – odpowiedział unikając kompromitacji.

– Skończ pan z tymi kocimi manierami – rzekł Angel. – Nie ma pan na to większej ochoty niż ja. I proszę mi powiedzieć, gdzie jest moja żona.

– Bardzo mi przykro – odparł Zmar – lecz przez nieuwagę wszedłem do jadalni. Ona tam jest.

– No i co? – burknął Angel.

Odsunął Zmara i przeszedł wściekły. Tamten podążył za nim. Angel pragnął przemienić w złość odrazę do swej niekompetencji wobec własnych dzieci, to było wyraźne, lecz Zmar uniknął podkreślenia tego.

Angel przygotowywał jakieś raniące zdanie. Rzadko się unosił i zawsze z powodu dzieci. Powinien się nimi bardziej zajmować. Był zdenerwowany. Jego serce łomotało. Ona kpiła sobie ze wszystkich.

Gwałtownie popchnął drzwi i stanął w miejscu. Rozciągnięta na stole w jadalni Klementyna, ze spodniami opuszczonymi do kolan, dyszała i szamotała się jak opętana. Jej dłonie opuszczone wzdłuż ciała zaciskały się konwulsyjnie. Na lakierowanej powierzchni stołu jej łędwie falowały, podrygiwały, uda rozchyłały się lekko, zaś z ust wydobywał się cichy jęk. Angel stał tam przez chwilę oniemiały i zaczął się cofać. Jego twarz powoli purpurowiała. Zamknął drzwi i szybkim krokiem powrócił do ogrodu. Zmar zatrzymał się na schodach i zobaczył, jak tamten znika za zakrętem alejki. Zawrócił się samą drogą i znowu wszedł do kuchni.

– Zastanawiam się... – szepnął.

Kilkoma precyzyjnymi gestami naprawił szkody wyrządzone przez paskudztwa. Te zaś, nazarte, szczebiotały radośnie. Wylał imbuzie i wypchnął na zewnątrz.

– Idźcie bawić się z tatusiem... – powiedział.

– Cię Antinę... – rzekł Joël.

– Antinę... – dodał Noël.

Citroën nic nie powiedział, lecz ruszył w kierunku warsztatu, a za nim podążyli bracia. Zmar postąpił przez chwilę, marszcząc brwi. Zawahał się, po czym powrócił do jadalni. Tym razem leżąc na brzuchu, Klementyna kontynuowała swoją obsceniczną gestykulację. Zmar wdychał zapach pomieszczenia. Później z żalem oddalił się i powrócił do swojego pokoju. Wyciągnął się na łóżku i bez przekonania zaczął mruzczyć. Mimo wszystko musiał przyznać, że nie jest zdolny robić tego w zadowalający sposób. A czy czarny kot, którego spsyoanalizował kilka tygodni wcześniej, umiał aby mruzczyć? A potem znów zaczął myśleć o interesującym temacie, o Klementynie. Być może powinien był jej dotknąć. Powąchał palce. Była na nich jeszcze odrobina zapachu bony, lecz pochodziła jeszcze z wczoraj i była dość niewyraźna. Było mu dobrze na łóżku, to ja-

sne. Lecz kobieta na dole nadal niewątpliwie nie przestawała poruszać się. Usiadł na łóżku, wstał, szedł i stanął przed drzwiami do jadalni. Nadstawił ucha. Cisza. Wszedł.

Klementyna, na wpół naga, spała teraz; a przynajmniej przestała się poruszać i odpoczywała z policzkiem przyciśniętym do stołu, z wystawionym zadkiem. Zmar cosik poczuł. Podeszedł. Słyszając go poruszyła się i uniosła na łokciu. Znieruchomiał.

– Przepraszam – powiedział. – Zdawało mi się, że pani woła.

Oczy miała zmęczone i zmętniałe.

– Co ja robię na tym stole? – zapytała.

– Hmm... – szepnęła Zmar. – Nie wiem. Musiało być pani zbyt gorąco.

Wówczas dostrzegła nieład w swej toalecie.

– Śniło mi się – zaczęła.

A potem, jak Angel chwilę wcześniej, zaczerwieniła się aż po korzonki włosów.

– Czy... – podjęła.

Usiadła nie próbując ukryć swych nagich ud.

– W końcu – szepnęła – pan wie, jak jestem zbudowana.

Speszony Zmar nie szepnął ani słowa.

– Wydaje mi się, że się poruszałam – powiedziała zabrawszy się do ubierania.

– Obawiam się, że tak...

– No cóż – powiedziała Klementyna – nie wiem. Miałam przygotować podwieczorek dla dzieci i... cóż, znalazłam się tutaj.

Pomacała się po czaszce.

– Wydaje mi się, że zostałam przewrócona na ten stół? Mam guza.

– Jakiś sukkubus... – rzekł Zmar.

Wciągnęła spodnie i teraz przyglądała włosy.

– No cóż, zdarza się – podsumowała. – Sądziłam, że będę się mogła obejść bez tego. Idę przygotować podwieczorek.

– Już są po podwieczorku – sprecyzował Zmar.

Twarz Klementyny zachmurzyła się.

– Kto im dał podwieczorek?

– Pani mąż – rzekł Zmar. – A ja im wytarłem fizjonomie.

– Angel tu był?

– Tak – rzekł beznamiętnie Zmar.

Przemknęła koło niego i szybkim krokiem weszła do ogrodu. Na zakręcie alejki prawie biegła. Zmar wszedł na górę myśląc. A więc był. Ale tylko on.

Angel ponownie wziął nitownicę i zajął się drugą burtą. Przystawiał kowadełko do wewnętrznej strony, kiedy pojawiła się Klementyna zaczerwieniona z tego powodu, że stało się to tak szybko. Widząc ją bliźniaki wydały radosne kwiknięcie, a Citroën podszedł do niej i wziął ją za rękę. Angel podniósł oczy, zarejestrował to wszystko i skulił się.

– Kto im dał podwieczorek? – zapytała.

– Ja – odparł oschle Angel.

Coś w jego tonie zaskoczyło ją.

– A jakim prawem?

– Dość! – zawołał Angel brutalnie.

– Pytam się, jakim prawem dałeś podwieczorek tym dzieciom, którymi, co jest oczywiste, nie powinieneś się zajmować?

Nim miała czas, by zamknąć usta, trafiły ją wymierzone z rozmachem ciosy w twarz. Zakołysała się pod wpływem szoku. Angel, blady jak prześcieradło, drżał z wściekłości.

– Dość! – mruknął.

Zdawał się uspokajać, podczas gdy ona podnosiła niepewną dłoń do policzka.

– Żałuję – powiedział wreszcie – lecz zbyt daleko się posuwasz.

Dzieci zaczęły krzyczeć, a Citroën pochylił się i podniósł gwóźdź. Podszedłszy do Angela wbił mu go w nogę ze wszystkich swych małych sił. Angel ani drgnął. Klementyna zaczęła się śmiać szlochającym śmiechem.

– Dość – powtórzył Angel napięty.

Przestała.

– W gruncie rzeczy – ciągnął dalej – nie żałuję. Żałuję, że nie uderzyłem mocniej.

Klementyna pokiwała głową i odeszła. Trójka dzieci podążyła za nią. Od czasu do czasu Citroën odwracał się i rzucał swemu ojcu ponure spojrzenie. Angel pozostawał zamyślony. Odtwarzał sobie scenę, która właśnie się rozegrała i drgnął, zażenowany; potem ujrzał w duszy swą żonę rozciągniętą na stole w jadalni i ruchliwa czerwień zalała jego skronie i czoło. Wiedział, że nie wróci już do siebie. W hangarze dość było wiórów i trocin, by się tam można było wypaść do woli, zaś noce były ciepłe. Czuł lekkie świerzbiecie w lewej nodze. Pochylił się i wyciągnął gwóźdź, cienki złocisty szpi-kulec; na jego spodniach z zielonkawego drelichu pojawiła się brunatna plamka, wielkości pluskwy. Chciało mu się śmiać. Biedne larwy.

20 maja

Zmar unikał przebywania w domu od chwili, gdy Angel postanowił zamieszkać w swoim warsztacie. Wcale nie czuł się dobrze w obecności Klementyny. Zbytńio matkowała, na całkiem innej płaszczyźnie. Nie, żeby w tym widział jakiegokolwiek zło, gdyż nie kłamał twierdząc, że jest pusty, a co za tym idzie, że nie posiada pojęcia o wartościach etycznych. Lecz to go krępowało fizycznie.

Rozciągnięty w kącie ogrodu, gdzie rósł obficie napędzistrach, który daje istocie korzystającej z niego dyskretnie odwagę i zdecydowanie, przeżuwał w roztargnieniu kilka jego kanciastych łydzynek. Czekał na Białodupską, która miała przyjść i spędzić z nim końcówkę tego niczym nie odznaczającego się dnia. Owa myśl o odznaczaniu się kazała mu sprawdzić dłonią poprawność kształtu własnych spodni. Jak zwykle miało się to niewątpliwie skończyć końcówką psychiatry.

Usłyszał skrzywienie żwiru i usiadł. Pojawiła się bona, niezgrabna i bujna, płaskostopa i sutobiusta, i usiadła koło niego.

– Robota skończona? – zapytał.

– Skończona – westchnęła. – Dzieciaki śpią.

Rozpinała już sukienkę, lecz Zmar powstrzymał ją.

– A gdybyśmy tak porozmawiali trochę? – zaproponował.

– Nie po to tu przyszłam – zauważyła. – Mam ochotę na tamto, a nie na pogaduszki.

– Chcę cię zapytać tylko o jedną rzecz – powiedział.

Ściągnęła ubranie i usiadła na trawie. W tym oddalonym zakątku ogrodu byli jak w małym pudełku. Zresztą nie było najmniejszego ryzyka, że ich ktoś zaskoczy. Nie przyszedłby ani Angel, ani Klementyna. Zmar, chcąc wypróbować jej cierpliwość, rozebrał się również. Starła się na niego nie patrzeć. Nadzy w trawie, byli trochę śmieszni oboje. Położyła się na brzuchu, a potem stanęła na czworakach.

– Czekam na pana – powiedziała.

– Do licha – sprzeciwił się Zmar. – A w ogóle, to przede wszystkim mam dość tej idiotycznej pozycji.

– No, no – powiedziała.

– To nie do zniesienia – rzekł Zmar.

Jednym gwałtownym pchnięciem pozbawił ją równowagi.

Zanim udało jej się ją odzyskać, przygwoździł ją do ziemi plecami i rozciągnął się na niej. Wirywała się wściekle.

– Nie! – krzyczała – nie tak! Tylko nie tak! Satyr.

Zmar trzymał ją solidnie.

– Chętnie cię puszczę – powiedział. – Lecz najpierw powiedz mi, dlaczego nie chcesz tego robić inaczej.

– Nie chcę – odburknęła.

Podkreślił swą przewagę. Mógł ją osiąść, kiedy by tylko zechciał.

– Jeśli mi nie powiesz, zrobię to w ten sposób.

Zacząła płakać z wściekłości bełkocząc:

– Nie... Niech pan sobie idzie. Nie chcę. Jest pan zbyt odrażający.

– Daj spokój! – zaprotestował Zmar. – Jesteś kompletnie stuknięta!

– Nie chcę mówić – rzekła.

– Będziesz mówić – powiedział Zmar.

Pochylił głowę i pochwycił zębami czubek jednej z piersi.

– Jeśli mi nie powiesz, odgryzę kawałek – zapewnił z pełnymi ustami i z niejakim trudem.

Strasznie mu się chciało śmiać, co odbijało się na jego możliwościach. Jednak musiał ugryźć ją dość mocno, gdyż krzyknęła i rozpląkała się na dobre. Bezlitosny, skorzystał z tego, żeby ją przymusić.

– Powiem panu – jęknęła. – Lecz niech pan ze mnie wyjdzie. Natychmiast. Natychmiast.

– Powiesz mi wszystko? – zapytał Zmar.

– Obiecuję – odrzekła. – Niech pan się zabiera... Niech pana... Och!...

Zmar puścił ją i odsunął się dysząc. Trudno z nią było dać sobie radę. Usiadła ponownie.

– Teraz mów – powiedział. – Albo zacznę znówu. Dlaczego to robisz w ten sposób? O co tu biega?

– Zawsze to tak robiłam – powiedziała.

– Od kiedy?

– Od początku.

– Z kimto zrobiłaś pierwszy raz?

– Z ojcem.

– A dlaczego w ten sposób?

– Mówił, że nie chce na mnie patrzeć. Że nie ma śmiałości.

– Wstydził się?

– U nas się tego nie zna – powiedziała twardo.

Trzymała piersi w dłoniach, lecz nadal miała uda zadarte i rozchylone. „Tak się objawia skromność” – pomyślał Zmar.

– Ile miałaś lat?

– Dwanaście.

– Rozumiem, dlaczego nie śmiał na ciebie patrzeć.

– Nie, nie rozumie pan – powiedziała. – Nie chciał, bo mówił, że jestem zbyt paskudna. A ponieważ mówił to mój ojciec, to miał rację, a teraz oto zmusił mnie pan do nieposłuszeństwa wobec ojca i jestem wyrodną córką.

– Czy ty to lubisz? – zapytał Zmar.

– Co?

– Tak jak to robisz?

– To nie podlega kwestii – powiedziała. – Chce pan to robić, czy nie?

– Ale nie ciągle w ten sposób – rzekł Zmar. – Nawet najlepsze smakołyki mogą się znudzić.

– A więc jest pan jak te zwierzęta – stwierdziła.

Podniosła się i szukała sukienki.

– Co robisz? – zapytał Zmar.

– Odchodzę. Wstydzę się samej siebie.

– To nie twoja wina – zauważył Zmar.

– Owszem – powiedziała. – Nie powinnam była. Od samego początku.

– Gdybyś mi powiedziała więcej na ten temat – rzekł Zmar – mógłbym spróbować naprawić twoją wrażliwość. Ale wcale nie jesteś gadatliwa.

– Pani mi dobrze mówiła – mruknęła niańka. – Nie chcę pana więcej widzieć.

– Trudno – rzekł oschle psychiatra. – Zemszczę się w ten sam sposób.

– I nic panu nie powiem. Nie jestem tu po to, żeby zaspokajać pańskie wstrętne marzenia.

Zmar zaśmiał się szyderczo i zaczął się ubierać. Nigdy nie miał nadziei na poważne spsyoanalizowanie tej nieszczęsnej. Znajdą się lepsze. Włożył buty i wstał. Ona popłakiwała jeszcze.

– Spływaj – rzucił z powagą.

Usłyszała siąkając nosem. Zapewne nienawidziła go. Uśmiechnął się myśląc, że z tego punktu widzenia była to udana analiza. A potem jednym lekkim skokiem pochwycił jakiegoś zapóźnionego, przelatującego motyla i połknął go usatysfakcjonowany.



Przed schodami prowadzącymi do domu znajdowała się rozległa, wysypana żwirem przestrzeń, gdzie chętnie bawiła się trójka dzieci po skończonym posiłku, lub w oczekiwaniu na niańkę, która podawała w tym momencie potrawy dorosłym i miała przyjść po nich, by zabrać do łóżka na sjęstę. Tym sposobem z okien jadalni również można było nad nimi czuwać. To na Zmarę, siedzącego twarzą w tę stronę spadała ta troska. Naprzeciw niego Klementyna w roztargnieniu kręciła w palcach kulki z ośródkami biskwitów, zajęcie niewdzięczne, chyba żeby było inaczej (i było). Widywali się wyłącznie przy posiłkach. Ona zdawała się życzyć sobie, by nadal u niej mieszkał, lecz na ogół ograniczała się do rozmawiania z nim o rzeczach pozbawionych znaczenia; on zaś ze swej strony nie śmiał poruszać tematów osobistych.

Białodupska, nadąsana i milcząca, przyniosła półmisek, który postawiła przed Zmarą. Odkrył go i rzekł układnie:

– Częstuj się, Klementyno, bardzo proszę.

– To dla pana – powiedziała. – Wyłącznie dla pana. Łakocie.

Uśmiechnęła się z odrobiną złośliwości. Przyjrzał się uważniej.

– Ależ... to szperka! – zakrzyknął radośnie.

– Właśnie – powiedziała Klementyna.

– Wolałbym ją na surowo – skomentował Zmar – lecz troska jest tak wzruszająca...

Klementyno, prawdziwy z siebie anioł.

– Bardzo pana lubię – powiedziała – lecz mimo wszystko nie mogłabym patrzeć jak pan ją je na surowo.

– Jasne – rzekł Zmar, nakładając sobie solidną porcję. – Proszę mi mówić o szperce! Niech się przy niej schowają wszystkie myszy i ptaszki na ziemi.

– Jestem szczęśliwa, że pan to docenia – powiedziała.

– Taki ptaszek – zauważył Zmar – nie jest zły, oczywiście; ale te paskudne pióra!

– To prawda – przyznała Klementyna. – To druga strona medalu. A myszy?

– Czysta rozrywka – rzekł Zmar. – Ale nic nadzwyczajnego.

– No tak – powiedziała. – To poszerza zakres pańskich smaków. To rzecz pożądana. A nad kimpan teraz pracuje?

– Bardzo miło z pani strony – powiedział Zmar – bo wie pani, że służąca mnie porzuciła.

– Tak – odrzekła. – Przyznaję, że sprawiło mi to przyjemność. Co znalazł pan we wsi? Często pan tam chodzi, jak mi się zdaje?

– Och! – powiedział Zmar. – Nic wielkiego, wie pani. Dość często spotykam się z Glorią.

– Mamna myśli kobiety – rzekła Klementyna.

– Wcale nie szukam – odparł Zmar. – Wie pani, że ten kot był wychlastany? Ja osobiście nie jestem przekonany, lecz jednak wpływa to na mnie w jakiś sposób.

Kłamał.

– Wiem, że pan szuka – powiedziała Klementyna.

Zmar popatrzył na trójkę dzieci, które kręciły się jeden za drugim, aż do zawrotu głowy.

– Mówmy o czymś innym – zaproponował.

– Czy pan grzebie w moich szafach? – zapytała nagle.

Zmar zrobił zdziwioną minę i zawahał się.

– Słucham?

– Dobrze pan słyszał.

– Nie – odrzekł. – To nie ja. Czegóż miałbym szukać w pani szafach? Mam wszystkie niezbędne ubrania.

– Och!... To bez znaczenia – zapewniła. – Być może się mylę. Miałam wrażenie, że ktoś od czasu do czasu dotykał wszystkiego. Oczywiście brak najmniejszych dowodów, by to miał być pan.

Wykonał gest brodą w stronę służącej, która była do nich odwrócona plecami.

– Och! Nie – powiedziała Klementyna. – Z pewnością nie. Zresztą dlaczego miałyby się z tym kryć? Mnie jest wszystko jedno. Nie wkładam tych ubrań nigdy. Prawie nigdy.

### XIII

*24 lipca*

– Dobra – powiedział Angel wstając.

Właśnie przepiłował do połowy klin przytrzymujący łódź na szynach. Wszystko było zakończone. Dziesięciometrowa barka, z jasnego drewna, o dziobie zadartym w górę jak fenicki pałac, wyposażona w lekki wahacz. Na razie widać było jedynie jego wsporniki wykonane z lśniącego brązu i przymocowane do kadłuba. Mostek, znacznie uwypuklony, wyposażony był jedynie w występ niskiej pokładówki. Zmar pochylił się i obejrzał kadłub. Jedenaście par członowatych nóg wystawało na całej jego długości.

– Będzie szybko płynęła – zauważył.

– Nie najgorzej – rzekł Angel.

– Jak na amatora – ciągnął Zmar – poradził sobie pan wyjątkowo dobrze.

– Nie jestem amatorem – odrzekł Angel.

– W takim razie – podjął Zmar – jak na zawodowca poradził sobie pan z tym wyjątkowo dobrze.

– Nie jestem zawodowcem – odrzekł Angel.

– Kim więc pan jest? – zapytał nieco rozzłoszczony Zmar.

– Nie zaczynaj pan z tymi pytaniami, to wstrętna mania.

Zmar mógł się pogniewać, to jasne, lecz temperament wcale go do tego nie skłonił. Szukał czegoś, co mógłby powiedzieć człowiekowi, który wkrótce odjedzie. Na długo. W niezbyt pewnej łodzi. W sumie. I pomimo jedenastu par nóg.

– Nadal jest pan w tych samych stosunkach z żoną?

– Owszem – odparł Angel. – To jest...

Urwał.

– To nic. Nie mam nic do powiedzenia. Kobiety i mężczyźni nie żyją na tej samej płaszczyźnie. Lecz niczego nie żałuję.

– Nawet dzieci?

– Na szczęście – powiedział Angel – nie znam ich jeszcze. Nie będzie mi żal.

– Będzie im pana brakowało – zapewnił psychiatr.

– Wiem – odrzekł Angel. – Zawsze jest coś, czego człowiekowi brakuje. Zwłaszcza jeśli to coś ważnego.

– Dzieci wychowywane bez ojca... – zaczął Zmar.

– Niech pan posłucha – powiedział Angel. – Nie warto do tego wracać. Odchodzę, odchodzę. I tyle.

– Utopi się pan – powiedział Zmar.

– Nie będę miał aż tyle fartu.

– Ależ pan jest banalny – stwierdził Zmar pogardliwie.

– Rozkosznie banalny – odrzekł Angel.

– Nie wiem, co panu powiedzieć.

– To widać – skomentował sarkastycznie Angel. – Teraz moja kolej na stawianie pytań. Na czym pan stanął w realizacji swoich wielkich projektów?

– Na niczym – odparł Zmar. – Do tej chwili miałem jednego kota i to wszystko. Próbowałem psa, lecz ten przedwstępny kot powoduje niemiły konflikt i musiałem przestać. A poza tym chciałbym mężczyznę. Albo kobietę; w każdym razie istotę ludzką.

– Z kim się pan aktualnie spotyka?

– Poznam służącą kowala. Za pośrednictwem właścicielki pasmanterii.

– To pan się teraz spotyka z właścicielką pasmanterii?

– Nie, nie wiem, z krawcową, albo co. W gruncie rzeczy to dziwne. Ona szyje wszystkie suknie dla pańskiej żony, nieprawdaż?

– Nigdy w życiu – odrzekł Angel. – Klementyna wszystko przywiozła. Nigdy nie chodzi do wsi.

– I źle robi – rzekł Zmar – bo to bardzo ciekawe.

– Akurat – zaśmiał się szyderczo Angel. – Wszyscy przyprowadzają pana o chorobę.

– To prawda, lecz to jest bardzo ciekawe. W każdym razie... tak... no cóż!... to dziwne: krawcowa ma wszystkie modele sukien pańskiej żony. Wszystkie, jakie na niej widziałem.

– Tak? – powiedział Angel niezbyt zaskoczony.

Spojrzał na łódź.

– Będę musiał pojechać – powiedział. – Chce pan ją wypróbować ze mną?

– Owszem. Nie dzisiaj, ale chętnie popłynę.

Angel podszedł do na wpół przepiłowanej podpory i podniósł ramię. Dobrze wymierzonym ciosem pięści przełamał do końca kawałek drewna. Rozległo się gwałtowne trzaśnięcie. Łódź zadrżała i zakołysała się. Dębowe szyny, nasmarowane łojem, biegły przez ogród i stromo opadały prosto do morza. Łódź pędziła jak strzała i zanurkowała poza zasięgiem wzroku w chmurze cuchnącego dymu z przypalonego łaju.

– Powinno być wszystko w porządku – powiedział Angel po dwudziestu sekundach. – Niech pan się ze mną zabierze. Zobaczymy, czy działa.

– Pan jest kopnięty – rzekł Zmar. – Spuścić ją z takiej wysokości!

– Wszystko będzie w porządku – zapewnił Angel. – Im wyżej, tym piękniej.

Zeszli, nie tak szybko jak łódź, po stromej skarpie. Była bardzo piękna pogoda i urwisko aż kipiało od zapachów roślin i brzęczenia owadów. Angel ujął serdecznie Zmara za ramiona. Psychiatra poczuł się niepewnie. Bardzo lubił Angela i bał się.

– Będzie pan ostrożny? – zapytał.

– Oczywiście.

– Ma pan zapasy?

– Mam wodę i wędki.

– Nic poza tym?

– Nałapię ryb. Morze dostarczy wszystkiego.

– Ach! Tu pana boli, to jest pański kompleks – zagrzmiął Zmar.

– Niech pan nie będzie wulgarny – rzekł Angel. – Wiem, powrót do morza, powrót do matki, ta sama śpiewka. Idź pan więc psychoanalizować tych swoich cymbałów. Ma-

tek mam po dziurki w nosie.

– Dlatego, że ta jest pańską żoną – powiedział Zmar. – Lecz własnej też jest panu żal.

– Nie. Zresztą nie mam matki.

Stali na krawędzi przepaści i Angel jako pierwszy ruszył po małym, opadającym gzymsie. Łódź było teraz widać u ich stóp. Zmar dostrzegł, że szyny doszedłszy do wody prawie się wyprostowały po tamtym upadku. Biorąc pod uwagę szybkość końcową, łódź powinna znajdować się co najmniej o trzysta metrów od brzegu. Zmar wypowiedział na głos tę uwagę.

– Jest lina holownicza – rzekł Angel.

– Dobrze – pochwalił Zmar, nie rozumiejąc.

Kamienista plaża wypełniła się echem kroków. Angel zwinnie schwycił końcówkę konopnej liny, lekkiej i elastycznej. Powoli łódź przybliżyła się do brzegu.

– Niech pan wsiada – powiedział Angel.

Zmar usłuchał. Łódź zakiwała się. Kiedy już się było na niej, zdawała się większa. Angel również wskoczył i zniknął pod pokładówką.

– Zamontuję wahacz – powiedział – i ruszamy.

– Ale nie na dobre, co? – zaprotestował Zmar.

Głowa Angela pojawiła się ponownie.

– Niech pan się nie obawia – powiedział z uśmiechem – Nie jestem jeszcze całkiem gotów. Nie wcześniej niż za tydzień. Dzisiaj tylko próbujemy.

## XIV

27 czerwipca

Tyle razy Zmar szedł drogą do wsi, że stała się równie płaska jak korytarz w domu wariatów i równie gładka jak wygolony brodac. Zwykła droga, droga jak linia prosta, jest linią prostą, pozbawioną grubości, a co za tym idzie nie istnieje. I skrócona wydawała się ta droga; znane stopy, krok zrobiony (krok marszowy, nie damski). Pogmatwać powinien, poprzestawiać, lecz to nie wystarczy, pomieszać lepiej te pasożyty letryczne i logiczne, by ją przemierzyć bez kłopotu – jego proste myśli. A jednak, za każdym razem docierał do kresu. Śpiewał również.

Pieśń o armacie

Pieśń o odjeździe

Pieśń nosową

Pielesz małżową

Perz marszowy

## Pech marsowy

I wszystkie znane pieśni, nienarodzone, przyszło, biedny Zmar, taki głupiutki, lecz cóż, sam siebie nie widzi. Więc dotarł do wsi tak jak to napisano powyżej i ta ciężka pokrywa wsi spadła na niego, przykryła go i oto znalazł się przed domem właścicielki pasmanterii (jak sądził), w gruncie rzeczy krawcowej i zasługującej na pochwałę, i uczynił „Puk” dwa razy.

– Wejść.

Zmar wszedł. Wewnątrz było mroczno, jak we wszystkich domach we wsi. Różne rupiecie błyszczały w głębi. Podłoga ze zniszczonych płytek, matowoczerwona, była zarzucona kawałkami nici, strzępkami materiału, ziarenkami prosa dla kur, grudkami krwi dla kogutów i dziesięciogroszówkami dla amatorów.

Stara krawcowa była stara i szyła sukienkę.

– No proszę – rzekł do siebie Zmar.

– Czy pani szyje dla Klementyny? – zapytał, żeby mieć czyste sumienie, gdyż wystarczą pytania dla zachowania czystości sumienia – jest to organ dobrze chroniony i łatwy do utrzymania.

– Nie – odrzekła.

Wówczas Zmar dostrzegł kowala.

– Dzień dobry – powiedział grzecznie.

Kowal wyszedł ze swego kąta. Nadal robił wrażenie, lecz w mroku jeszcze większe, gdyż wrażenie to pozostawało niesprecyzowane, w związku z czym rosło.

– Po co pan tu przyszedł? – zapytał.

– Przyszedłem spotkać się z panią.

– Nie ma pan tu nic do roboty – stwierdził kowal.

– Chciałbym wiedzieć, o co biega – rzekł Zmar. – Te suknie są takie same jak suknie Klementyny i to mnie intryguje.

– Niepotrzebnie pan się fatyguje – powiedział kowal. – Nie są to suknie zastrzeżone patentem, każdy może je uszyć.

– Nie kopiuje się w ten sposób wszystkich sukien – stwierdził srogo Zmar. – To bezczelność.

– Tylko bez brzydkich słów – rzekł kowal.

Był naprawdę szeroki w barach. Zmar podrapał się w brodę, spojrzął na sufit – wybrzuszony i udekorowany martwymi muchami przywarłymi do kleistych lepów.

– No więc, krótko – powiedział. – Ona chce wiedzieć.

– To ja je zamawiam – rzekł kowal głosem bezbarwnym i niebezpiecznym – I ja płacę.

– No proszę – rzucił Zmar wytwornie. – Czyżby dla swej czarującej żoneczki?

– Nie posiadam.

– Hmm, hmm... – zaczął Zmar. – Lecz w gruncie rzeczy powiedział zmieniając temat – z jakich modeli ona je kopiuje?

– Ona ich nie kopiuje – odrzekł kowal – ona je widzi. I robi je zgodnie z tym, co widzi.

– Och! Och! – prychnął szyderczo Zmar. – Gadaj pan zdrów!

– Dziękuję za troskę – pochwalił dziękczynią.

W tym momencie Zmar stwierdził, że stara krawcowa faktycznie miała wymalowane fałszywe oczy na zamkniętych powiekach. Kowal podążył za jego spojrzeniem.

– Te namalowane oczy są po to, żeby nikt nie dostrzegł niczego z ulicy – powiedział.  
– Gdyby pan nie wszedł, niczego by pan nie dostrzegł.

– Ale przecież zapukałem – rzekł Zmar.

– Owszem – zareplikował kowal – ale ponieważ ona nie widzi, powiedziała: „Wejść!”, nie zdając sobie sprawy, że to pan.

– A jednak powiedziała: „Wejść!”

– A jak – powiedział kowal – dobrze jest wychowana, stara kurwa.

W tym momencie krawcowa robiła małe, haftowane zmarszczki przy pasku sukni, ładnej jednoczęściówki z białej piki, którą Klementyna miała na sobie poprzedniego dnia.

– Czy ona naprawdę pracuje z zamkniętymi oczami – dopytywał się Zmar zdziwiony, stawiając pytanie tak, jakby chciał przekonać samego siebie.

– Mówi się błędnie „z zamkniętymi oczami” – odkowalił tamten. Nie ma się zamkniętych oczu tylko dlatego, że nachodzą na nie powieki. Pod spodem są otwarte. Jeśli wtoczy pan głaz w otwarte drzwi, to nie zostają one przez to zamknięte, okno zresztą również nie, bo żeby zobaczyć coś w oddali człowiek bynajmniej nie posługuje się oczami, tak więc wcale pan nie rozumie zagadnienia.

– No dobra – powiedział Zmar wyczerpany – jeśli pan myśli, że po tej chińszczyźnie rozjaśni mi się w głowie, to jest pan rzadko spotykanym okazem tupeciarza.

– W ogóle nie jestem spotykany – rzekł kowal. – A już zwłaszcza w pańskim towarzystwie. Niech pan pozwoli pracować w spokoju tej starej dziwce i spieprzaj pan.

– Dobrze – odrzekł Zmar. – Dobrze. Och! Dobrze!... Odchodzę.

– Pomyślnych wiatrów – rzucił kowal.

– Do widzenia, panie Zmar – powiedziała krawcowa.

Odcięła nitkę zębami, jak Parka, która oddała nożyce do naostrzenia. Obrażony Zmar wyszedł z godnością. Wypuścił ostatnią strzałę.

– Przerznąę pańską bonę.

– No i na zdrowie – odrzekł kowal. – Przerznąłem ją przed panem, nic nadzwyczajnego. Nie rusza tyłkiem.

– Ja będę ruszał za dwoje – zapewnił Zmar – i spsyoanalizuję ją.

Znalazł się na ulicy przepelniony dumą. Przechodziły trzy prosiaki pochrumkując sobie do taktu. Wymierzył tęgiego kopniaka trzeciemu, który wydał mu się beczelny, i ruszył w dalszą drogę, ten Zmar.

## XV

*27 czerwipca (później)*

Bona kowala, którą nazywano Krasnonösa, sypiała na poddaszu nad kuźnią z okazjonalnym czeladnikiem. Czeladnicy często zdychali, lecz służąca, stwardniała w robocie, trzymała się nieźle, zwłaszcza od chwili, gdy kowal przestał wślizgiwać się do jej łóżka na modłę wywierzyska. Co do czeladnika, to nie było o tym mowy. Był tak wypłuty, że nie nadawał się do niczego. Nędzna, miękka niedołęga. W żadnym wypadku nie do łóżka. Właśnie spał. Nie, w tym momencie nie spał. Był w kuźni i podtrzymywał ogień. Zmar dostrzegł go przybywszy i wszedł do warsztatu, upapranego sadzą, pomimo wysiłków Krasnonösej.

– Dzień dobry, czeladniku – powiedział Zmar.

Czeladnik bąknął „dzień dobry”, drapiąc się po pysku końcem ramienia, gdyż jowialnym obyczajem gości było dzielenie go w łeb w przelocie: ten czeladnik kuł żelazo, więc słusznym było, by i jemu gębę skuli.

– Twego szefa nie ma – rzucił oznajmiająco Zmar.

– Nie ma – młodziak rozejrzał się kontrolnie dookoła.

– No cóż, w takim razie idę – powiedział Zmar.

Wyszedł i ruszył w lewo, skręcił za domem, wszedł na podwórze, wszedł po schodach wspartych o dom i znalazł się w dziwnym korytarzu z surowych desek. Po prawej pod okapem znajdował się pokój Krasnonösej. Naprzeciw znajdowały się wysokie drzwi i tam mieszkał pryncypał. Po lewej, ściana zamieniała się w róg pokoju szefa, który zajmował trzy czwarte piętra i łączył się po prawej stronie przez cienką ściankę z sypialnią Krasnonösej. Był to układ prosty, lecz praktyczny.

Zmar wszedł bez pukania. Dziewczyna, siedząc na łóżku, czytała gazetę sprzed siedmiu lat. Nowiny potrzebowały mnóstwa czasu, by dotrzeć do wsi.

– Co to – zapytał psychiatra – dokszałcamy się?

Zrobił minę grzecznego dziecka, która wyglądała równie naturalnie jak getry na roztrząsaczu gnoju.



– A juści, mam prawo czytać – rzuciła Krasnonösa agresywnie.

„Ależ z tymi wieśniakami ciężko się dogadać” – pomyślał Zmar.

W pokoju Krasnonösej nie było widać wielkiego komfortu.

Podłoga była zużyta od mycia, ściany pobielone wapnem, zaś belki stropowe, wzmocnione krokiewiami, które z kolei były poprzęplatane szalówkami, podtrzymywały łupkowe dachówki. Wszystko było doskonale zakurzone. Meble: łóżko i stół, na którym stało wiadro służące do wszystkiego, w kącie kufer na niezbyt liczne rzeczy dziewczyny.

Ta iście klasztorna prostota rozbudzała w Zmarze lubieżnego ateistę, żądnego surowego ciała, którym – gdyby się tak dobrze zastanowić – mógłby być.

Usiadł koło niej na żelaznym łóżku, które zaskrzypiało... Nie było innego miejsca.

– Co zrobiłaś ładnego od ostatniego razu? – zapytał.

– Ano nic – odrzekła.

Czytała nadal, dokończyła stronę, złożyła gazetę i wsunęła ją pod poduszkę.

– Rozbierz się i połóż na tym łóżku – powiedział Zmar.

– O do licha! – odparła dziewczyna. – Jeśli wróci mój szef, będę musiała się ubrać, żeby podać zupę.

– Nie o tej porze – stwierdził Zmar. – Poza tym szefa tu nie ma, bo jest u krawcowej.

– No to na pewno potem wróci – odrzekła.

Zastanowiwszy się dodała:

– Ale będziemy mieli spokój.

– Dlaczego? – zapytał Zmar.

– Zawsze tak jest, kiedy stamtąd wraca – odpowiedziała dziewczyna. – Ale dlaczego chce pan, żebyśmy się rozebrała?

– To nieodzowna podstawa porządnej psychoanalizy – rzekł Zmar belferskim tonem.

Zaczerwieniła się. Jej dłoń zacisnęła się na małym kołnierzyku w serek.

– Och!... – szepnęła opuszczając oczy. – Nawet mój szef nie ośmielił się nigdy robić tego ze mną.

Zmar zmarszczył brwi. Co ona miała na myśli? Jak ją o to zapytać?

– Uch... – westchnęła. – Nie wiem, czy jestem dość czysta, żeby... na pewno się panu nie spodoba...

Zmar domyślił się. Zasztyfowany język.

– Psychoanaliza... – zaczął.

– Niech pan zaczeka – szepnęła. – Nie teraz.

Do pokoju światło wpadało przez lufcik w okapie. Podniosła się i w ciągu kilku sekund wyciągnęła z kufra starą zasłonkę, którą przyczepiła przed małą, prostokątną szybą. Odrobina światła przenikała przez niebieskawą tkaninę i całemu poddaszu nadawała wygląd piwnicy.

– Łóżko będzie trzeszczeć – powiedział Zmar postanowiwszy odłożyć swą psychoanalizę na później. – Można raczej położyć twój siennik na ziemi.

– Tak – westchnęła podniecona.

Czuł jak jej pot napełnia zapachem pomieszczenie. Musiała być całkiem wilgotna. To chyba nie powinno być nieprzyjemne.

## XVI

*27 czerwica (jeszcze później)*

Ciężkie kroki rozlegające się na drewnianych schodach wyrwały ich z odrętwienia. Zmar wziął się gwałtownie w garść i wyplątał się z dziewczyny, rozciągniętej częściowo na sienniku, częściowo na ziemi.

– To on... – szepnął.

– Tu nie przyjdzie – odszepnęła tylko. – Idzie do swego pokoju.

Poruszyła się lekko.

– Puść to! – zaprotestował Zmar. – Ja już nie mogę.

Usłyszała.

– Czy przyjdzie pan jeszcze mnie psy... coś tam? – zapytała chrapliwym głosem. – Lubię to. Dobrze mi robi.

– Tak, tak – rzekł Zmar już całkiem nie podniecony.

W końcu potrzeba przynajmniej dziesięciu minut, żeby ochota powróciła. Kobiety pozbawione są wszelkiej delikatności.

Kroki pryncypała rozlegające się całkiem blisko wprawiły w drżenie cały korytarz. Drzwi od jego pokoju otworzyły się skrzypiąc i trzasnęły. Zmar, na kolanach, nadstawił ucha. Na czworakach podszedł powoli do ściany. Nagle mały promyk światła ukłął go w oko. W ścianie musiało brakować sęka. Posuwając się w stronę źródła światła, po którym przesuwiał dłoń, natrafił natychmiast na dziurę w desce i przykleił do niej oko, nie bez pewnego wahania. Miał wrażenie, że jest równie dobrze widziany, jak sam widzi. Lecz własny rozsądek go uspokoił i powrócił na swój posterunek obserwacyjny.

Łóżko kowala znajdowało się dokładnie pod nim. Niskie łoże, dziwna rzecz, pozbawione pościeli. Materac i dobrze naciągnięte prześcieradło, bez obowiązkowej, pucha-

tej czerwonoskórej pierzyny stanowiło jego zasadniczą część. Przystosowawszy wzrok do reszty pokoju dostrzegł najpierw nagi tors kowala od tyłu. Wyglądał na zajętego jakimiś delikatnymi poczynaniami. Nie można było zobaczyć jego rąk. Potem ręce podniosły się i wykonały gest poklepywania czegoś lub kogoś. Powróciły do paska i rozpięły zamek, który ustąpił; spodnie odpadły obnażając potężne, węzlaste nogi, włochate jak odnóża palmy. Miał na sobie brudne, bawełniane kalesony, które również opadły. Zmar słyszał jakiś szept. Lecz nie mógł jednocześnie rzucać okiem i nadstawiać ucha.

Kowal wyplątał swe nagie nogi z kalesonów i spodni i opuściwszy ręce odwrócił się i podszedł do łóżka. Usiadł. Zmar ponownie miał odruch wsteczny, widząc jak tamten się zbliża. Lecz porzuciwszy skrupuły, natychmiast przywarł okiem do otworu. Nawet nie drgnął, czując jak Krasnonösa przysuwa się do niego i rzekł do siebie w duchu, że da jej solidnego kopa w łeb, jeśli ona da mu na poty. A potem już nic do siebie nie mówił, gdyż jego serce stanęło. Przed sobą widział teraz to, co do tej pory kryły przed nim plecy kowala. Był to odziany w sukienkę z białej piki cudowny android z brązu i stali, wyczelowany na obraz i podobieństwo Klementyny, który szedł ku łóżku jakimś nierzeczywistym krokiem. Światło lampy, niewidocznej dla Zmara rozpościerało swe refleksy na jej delikatnych rysach, a lśniący metal jej rąk, wygładzony aż do miękkości atlasu, błyszczał jak bezcenny klejnot.

Automat zatrzymał się. Zmar widział jak kowal aż drży z niecierpliwości. Starannym gestem metalowe ręce uniosły się do kołnierzyka sukienki, którą rozdarły bez wysiłku. Biały materiał, cały w strzępach, opadł na podłogę. Zmar, zafascynowany, przyglądał się szczegółowo piersiom z jędrnej skóry, giętkim biodrom i cudownym stawom kolan i ramion. Powoli android wyciągnął się na łóżku. Zmar rzucił się w tył. Po omacku odsunął brutalnie bonę, która usiłowała go przysposobić do działania i gorączkowo szukała swoich spodni. W kieszeni zostawił swój zegarek na pasku. Popatrzył na niego w niewyraźnym świetle lufcika: za piętnaście piąta.

Od dnia, w którym zaskoczył ją w jadalni, codziennie, o czwartej trzydzieści, Klementyna umykała do swego pokoju, by – jak to mówiła – uciąć sobie małą drzemkę. W chwili gdy stalowe łądzwie posągu wprowadzały kowala w ekstazę, w domu na urwisku Klementyna ścisnęła swymi delikatnymi palcami prześcieradło i również dyszała zaspokojona.

Zmar był coraz bardziej podniecony, kiedy przybliżył się do otworu w ścianie. Bez wahania popatrzył. W tym samym czasie jego ręka szukała ciała Krasnonösej, która zachwycona, nic z tego nie rozumiała. Nie da się ukryć, wieśniacy są cywilizowani w szczególnie sposób – rzekł do siebie Zmar, patrząc na kowala.

Stojąc w wodzie z zawiniętymi nogawkami i z butami w rękach, Zmar bezmyślnie przyglądał się statkowi. Czekał na Angela, statek też na niego czekał. Angel po raz kolejny schodził ze skał niosąc koce i ostatni bidon z wodą. Ubrał się w rybacki strój z przezroczystej, impregnowanej tkaniny. Przemierzył szybko kamienistą zatoczkę i podszedł do Zmara. Ten czuł się przytłoczony.

– Niech pan tak nie stoi z butami w rękę – powiedział Angel. – Wygląda pan jak wieśniak w niedzielę.

– Wisi mi to, jak wyglądam – odparł psychiatra. – I zostaw pan brodę w spokoju.

Zmar wrócił na suchy grunt i postawił swoje buciory na wielkim głazie. Kiedy podnosił głowę, widział wartką strużkę szyn do spuszczenia statku, znikającą poza skałami urwiska.

– Opadnie mnie chandra, kiedy będę na to patrzył – powiedział.

– Ależ skąd – zaprzeczył Angel. – Niech pan się niczego nie obawia.

Przeszedł lekko po sprężystym pomoście prowadzącym na pokład. Zmar nie poruszał się.

– Do czego te doniczki? – zapytał, gdy Angel pojawił się ponownie.

– Nie mam prawa zabrać kwiatów? – zapytał tamten agresywnym tonem.

– Ależ owszem, ależ owszem – powiedział Zmar. I dodał: – Czym je pan będzie podlewał?

– Wodą – odparł Angel. – Tak w ogóle to wie pan, na morzu też czasem pada.

– Pewnie – potwierdził tamten.

– I nie rób pan takiego pyska – rzekł Angel. – Niedobrze mi się od tego robi. Można by powiedzieć, że traci pan przyjaciela!

– Bo tak jest – odrzekł Zmar. – Bardzo pana lubię.

– No, ja pana też – powiedział Angel. – Ale wie pan – jadę tak czy inaczej. Nie zostaje się tylko dlatego, że się lubi pewne osoby; odjeżdża się, gdyż nienawidzi się innych. Tylko to co złe zmusza do działania. Jesteśmy tchórzami.

– Nie wiem, czy to tchórzostwo – odparł Zmar – ale sprawia mi to przykrość.

– Żeby nie było mi za dobrze, dołożyłem parę dodatkowych szczegółów, nieco niebezpiecznych: żadnych zapasów, dziurka w kadłubie i niewiele wody. Pasuje? Równoważy?

– Co za złamas – burknął wściekle Zmar.

– Tym sposobem – ciągnął Angel – pozostaje jedynie tchórzostwo z punktu widzenia moralnego, fizycznie jest to śmiałość.

– To nie jest śmiałe, tylko idiotyczne – odparł Zmar. – Nie mylmy. A poza tym, cóż to ma wspólnego z tchórzostwem na płaszczyźnie moralnej? Nie jest się tchórzem dlatego, że się kogoś nie kocha, bądź dlatego, że się kogoś już nie kocha. To już tak jest po prostu i koniec.

– Znowu się pogubimy – powiedział Angel. – Za każdym razem, kiedy zaczynamy ze sobą rozmawiać, oddalamy się od sedna sprawy. Jest to dla mnie dodatkowy powód do wyjazdu; przestanę panu podsuwać głupie myśli.

– Sądzi pan, że inni podsuwają mi lepsze? – mruknął Zmar.

– To prawda, przepraszam. Zapomniałem o pańskiej sławnej pustce.

Angel zaśmiał się i ponownie zniknął w brzuchu łodzi. Wyskoczył stamtąd prawie natychmiast, tymczasem zaś dał się słyszeć lekki szum.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Mogę wyruszać. Zresztą wolę, żeby wychowywała ich sama. Ja na pewno bym się z nią nie zgadzał, a nienawidzę dyskusji.

Zmar popatrzył na przezroczystą wodę, która powiększała kamyki i wodorosty. Morze, bardzo piękne, ledwie się ruszało, słyhać było jedynie lekki plusk, cichy jak otwierające się, wilgotne usta. Spuścił głowę.

– Ach! Do licha... – powiedział. – Nie rób pan głupstw.

– Nigdy nie udało mi się zrobić prawdziwego głupstwa – odrzekł Angel. – Ale teraz, przynajmniej, jestem zmuszony. Nie mogę się już wycofać.

Zszedł szybko po pomoście i wyciągnął z kieszeni pudełko zapalek. Schylił się, potarł jedną i przypalił końcówkę natłuszczonego lontu, wystającego poza krawędź toru wodowania.

– W ten sposób nie będzie pan musiał o tym więcej myśleć.

Popętnął niebieskawy płomień, który obaj uważnie śledzili. Płomień żółkł, rozrósł się, rozprzestrzenił, a drewno zaczęło czernieć trzeszcząc. Angel wszedł z powrotem i zrzucił pomost na plażę.

– Nie zabiera go pan? – zapytał Zmar odwracając oczy od płomieni.

– Nie ma potrzeby – odparł Angel. – Wyznam coś panu: mam wstręt do dzieci. Do widzenia, mój stary.

– Do widzenia, złamasie – powiedział Zmar.

Angel uśmiechnął się, ale oczy miał błyszczące. Za Zmarem ogień sapał i pohukiwał. Angel zszedł pod pokład. Dało się słyszeć gwałtowne kipienie i członowate nogi zaczęły młócić wodę. Ponownie wyszedł na pokład i złapał za ster. Statek nabrał już prędkości i szybko oddalał się od brzegu osiadając coraz bardziej, w miarę jak przyspieszał. Kiedy osiągnął swoją pełną prędkość, zdało się jakby lekki i wysmukły szedł po spokojnej wodzie pośród bryzgów piany. Angel podniósł rękę w oddali jak mane-

kin. Zmar odmachnął. Była szósta wieczorem. Ogień huczał teraz groźnie i psychiatra musiał się odsunąć ocierając twarz. Niezły pretekst. Gęsty dym postrzępiony pomarańczowymi pasmami wlatywał kołysząc się majestatycznie. Klębiąc się potężnie przeleciał nad urwiskiem i prawie pionowo wznosił się ku niebu.

Zmar zadrżał. Spozrzegł, że miauczy od kilku minut. Było to miauczenie pełne żalu pomieszanego z bólem, jakby to miauczał kot, któremu właśnie zrobiono krzywdę. Zamknął usta i niezgrabnie włożył buty. Ruszył w kierunku urwiska. Zanim zaczął się na nie wdrapywać, rzucił ostatnie spojrzenie w kierunku morza. Promienie słoneczne, jeszcze dość ostre, powodowały, że w oddali lśnił jakiś drobny przedmiot maszerujący po wodzie jak pluskolec. Lub płoszczyca. Albo pająk. Lub coś, co samo szło po morzu z samotnym Anielem na pokładzie.

## XVIII

*39 sierpnia*

Siedząc przy oknie, patrzyła sobie gdzieś w pustkę. Przed nią ogród rozpościerał się na urwisku i pozwalał słońcu, by go lizało pod włos, w ostatniej pieszczocie przed zapadnięciem zmierzchu. Klementyna czuła się zmęczona i czuwała nad swym wnętrzem.

Zagubiona w sobie samej aż podskoczyła, gdy dzwon na odległej dzwonnicy wybił kwadrans na szóstą.

Szybkim krokiem opuściła pomieszczenie. Nie było ich w ogrodzie. Zeszła po schodach pełna podejrzeń i pewnym krokiem udała się do kuchni. Kiedy otwierała drzwi, z pralni dotarły do niej odgłosy prania wykonywanego przez Białodupską.

Dzieci podciągnęły krzesło do kredensu. Noël trzymał je dwiema rękami. Stojąc na krześle, Citroën podawał Joëlowi, jeden po drugim, kawałki chleba z koszyka; słoik po konfiturach leżał jeszcze na siedzeniu krzesła, między nogami Citroëna. Upačkane policzki bliźniaków zdradzały, iż już uczyniły użytek z produktu pochodzącego z ich ekspedycji.

Usłyszawszy, że nadchodzi matka, odwrócili się i Joël rozplątał się we łzach, a w jego ślady zaraz poszedł Noël. Jedyne Citroën ani drgnął. Wziął ostatni kawałek chleba i wgryzł się weń, jednocześnie patrząc wyzywająco i siadając tuż przy słoiku z konfiturami. Przeżuwał nie śpiesząc się, jakby na pokaz.

Pomyślawszy, że po raz kolejny przegapiła godzinę, Klementyna poczuła, jak chwytają ją przepełnione wstydem wyrzuty sumienia, o wiele bardziej niemiłe od uczucia, którego doznawała wracając zbyt późno do domu. Samo zachowanie Citroëna, ta mina pełna prowokacji i potępienia w jakiś sposób stanowiła uzupełnienie zachowania jego braci; skoro ze swej strony patrzył się wyzywająco, to miał podobnie jak i oni uczucie, iż dokonuje czegoś zakazanego; najwyraźniej więc wyobrażał sobie, że jego

matka dokuczała im wszystkim trzem specjalnie, że sprzeciwiała się temu, by jedli podwieczorek. Ta refleksja sprawiła Klementynie taki ból, że omal sama nie zaczęła płakać. Jednak pragnąc uniknąć nabrania przez kuchnię wyglądu łez padołu, udało jej się opanować własne, podrażnione gruczoły łzowe.

Podeszła do nich i wzięła Citroëna w ramiona. Ten zeszytniał z uporem. Bardzo czule ucałowała go w brunatny policzek.

– Mój biedny koteczku – powiedziała łagodnie. – Ta niedobra mamusia zapomina wam podać podwieczorek. Chodźcie, na te smutki wypijemy duży kubek kakao.

Postawiła go na ziemi. Szlochy bliźniaków umilkły natychmiast i zaszczębiotali radośnie, rzuciwszy się ku niej. Ocierali się brudnymi pyszczkami o jej nogi obleczone w czerń, tymczasem ona podeszła do kuchenki, by zdjąć ronderek, który napełniła mlekiem. Citroën, oniemiały, wpatrywał się w nią, trzymając w ręku kawałek chleba. Jego zmarszczone czoło wygładziło się. Oczy błyszczały mu od łez, lecz on nadal był jeszcze niezdecydowany. Uśmiechnęła się do niego pocieszcycielsko. Z kolei on uśmiechnął się również, nieśmiało, jak błękitna wiewiórka.

– Zobaczysz teraz, jak będziesz mnie kochał – szepnęła prawie do siebie samej. – Nigdy więcej nie będziesz mi już miał nic do zarzucenia.

„I proszę, karmią się same, nie potrzebują już mnie” – mówiła jednak do siebie z goryczą. – „Być może kręcą nawet kurkami”.

To bez znaczenia. To można było jeszcze odrobić. Da im tyle miłości. Obdarzy ich taką miłością, że ich całe życie, przepełnione troską i tysięcznymi usługami, straci swój sens pod jej nieobecność.

Ponieważ w tym momencie jej oczy błędziły gdzieś za oknem, ujrzała gęsty dym unoszący się gdzieś koło hangaru. Był to płonący tor, który posłużył do spuszczenia łodzi.

Wyszła, żeby to zobaczyć. Za nią wysypała się trójka szczeniacych maluchów. Czują już, co oznacza ten pożar, nawet nie musiała sprawdzać. Znikała jej ostatnia przeszkoda.

Hangar trzaskał i huczał. Kawałki zwęglonego drewna spadały z dachu. Przed drzwiami Zmar wpatrywał się w pogorzelnisko. Klementyna położyła mu dłoń na ramieniu. Drgnął, lecz nic nie powiedział.

– Angel wyjechał? – zapytała Klementyna.

Pokiwał głową.

– Kiedy już wszystko się wypali – powiedziała Klementyna – zrobi mi tu pan ze służącą porządek. To będzie wspaniały plac zabaw dla maluchów. Zbuduje się dla nich portyk. Pan zbuduje dla nich portyk, chciałam powiedzieć. Będą się bawić jak księżęta.

Wygłądał na zdziwionego, lecz patrząc na nią stwierdził, że to nie podlega dyskusji.

– Pan może to zrobić – zapewniła go. – Mój mąż zrobiłby to bardzo dobrze. Jest sprytny. Mam nadzieję, że dzieci będą to miały po nim.



# CZEŚĆ TRZECIA

## I

55 stycznia

„Już cztery lata i kilka dni minęło, odkąd jestem tutaj” – rzekł do siebie Zmar.  
Jego broda wydłużyła się.

## II

59 stycznia

Padał drobny, niezdrowy deszcz, od którego ludzi łąpał kaszel. Lepki ogród tonął w nim. Ledwo można było dostrzec morze, równie szare jak niebo, zaś w zatoce deszcz pochylał się zgodnie z podmuchami wiatru i zacinął ukośnie.

W czasie deszczu dzieci się nudzą. Można bawić się tylko w pokoju. Noël, Joël i Citroën bawili się w swoim pokoju. Bawili się w plucie. Citroën na czworakach wędrował wzdłuż krawędzi dywanu i zatrzymywał przy wszystkich czerwonych plamach. Pochylał głowę i wypuszczał ślinę. Noël i Joël podążali za nim i usiłowali napluć w tych samych miejscach. To było delikatne zadanie.

Padało mimo wszystko. Klementyna przygotowywała w kuchni kaszkę z mleczkiem. Utyła. Już się nie malowała. Skończywszy pracę weszła na górę, by podjąć nadzór. Kiedy weszła do pokoju, Białodupska czyniła dzieciom wymówki.

– Jesteście obrzydliwi. Małe brudasy.

– Na dworze pada – zauważył Citroën, któremu właśnie udało się pięknie, kleiście napluć.

– Na dworze pada – powtórzył Joël.

– Pada – rzekł Noël zwięźle.

Prawdę mówiąc, musiał się przy tej okazji natężyć.

– A kto posprząta te wasze paskudztwa?

Weszła Klementyna. Usłyszała końcówkę.

– Oczywiście, że ty – powtórzyła. – Po to tu jesteś. Mają prawo się bawić, biedne maleństwa. Może uważasz, że jest aż tak ładna pogoda?

– Przecież to bez sensu – powiedziała Białodupska.

– Wystarczy – rzekła Klementyna. – Możesz wrócić do swojego prasowania. Ja się nimi zajmę.

Bona wyszła.

– Plujcie, moje koteczki – powiedziała Klementyna. – Skoro was to bawi, to plujcie sobie.

– Nie mamy już ochoty – stwierdził Citroën.

Wstał.

– Chodźcie – powiedział do braci. – Zabawimy się w pociąg.

– Dajcie mamusi całuska – poprosiła Klementyna.

– Nie – rzekł Citroën.

– Nie – powiedział Joël.

Noël nic nie powiedział. Była to ostatnia i jedyna możliwość skrócenia wypowiedzi.

– Już nie kochacie mamuńki? – zapytała Klementyna klękając.

– Ależ owszem – powiedział Citroën. – Ale bawimy się w pociąg. Musisz do niego wsiąść.

– No dobrze, to wsiadam – powiedziała Klementyna. – Hop! Do wagonu!

– Krzycz – nakazał Citroën. – Będziesz udawać gwizdek. Ja jestem konduktorem.

– Ja też – dodał Joël, który już zaczął robić czu-czu.

– Ja... – zaczął Noël.

Zamilkł.

– Och! Moje kochane robaczki – powiedziała Klementyna.

Zaczęła ich całować.

– Krzycz! – powiedział Citroën. – Dojeżdżamy.

.....

Joël zwolnił.

– No dobrze – powiedziała Klementyna głosem rwącym się od nadmiernego krzyku – ten pociąg jeździ po prostu kapitalnie. Chodźcie zjeść waszą kaszkę.

– Nie – rzekł Citroën.

– Nie – dodał Joël.

– Żeby mi zrobić przyjemność – powiedziała Klementyna.

– Nie – rzekł Citroën.

– Nie – dodał Joël.

– To ja będę płakać – powiedziała Klementyna.

– Nie umiesz – stwierdził Noël z pogardą, wyrwany ze swego zwyczajowego lakoniczmu wskutek naprawdę zrozumiałej wypowiedzi matki.

– Ach! Ja nie umiem płakać? – zapytała Klementyna.

Wybuchła płaczem, lecz Citroën natychmiast jej przerwał.

– Nie – stwierdził. – Ty nie umiesz. Robisz bu, bu, bu. My robimy aj.

– W takim razie aj, aj, ajajaj! – zaszlochała Klementyna.

– To nie to – powiedział Joël. – Posłuchaj.

Potem, pod wpływem panującej atmosfery Noëlowi udało się uronić łzę. Pobudzony przez zabawę Joël kontynuował. Citroën nie płakał nigdy. Ale był bardzo smutny. Być może nawet zrozpaczony.

Klementyna zatroskała się:

– Ależ wy płaczecie naprawdę! Citroën! Noël! Joël! Skończcie tę komedię, moje ptaszki! Kochane moje! No! Nie płaczcie! Co jest?

– Brzydka! – ryknął Joël żałośnie.

– Niedobra! – zawył Citroën wściekły.

– Ujujuj! – załkał Noël w najlepsze.

– Kochane moje! Ależ nie! To nic, no, to było tylko dla żartu! O rany, ja przez was oszaleję!

– Nie chcę kaszki – powiedział Citroën i zaczął ryczeć.

– Nie cię kaszki! – zawołał Joël.

– Nie cię! – wrzasnął Noël.

Kiedy byli bardzo wzruszeni, Joël i Noël zaczynali się pieścić.

Klementyna głaskała ich i całowała, kompletnie wytrącona z równowagi.

– Moje pchełki – powiedziała. – No dobrze, zjemy ją później. Nie teraz.

Wszystko ucichło, jakby za sprawą magii.

– Chodź się bawić w statek – powiedział Citroën do Joëla.

– Och! Tak, w statek – zawołał Joël.

– W statek – podsumował Noël.

Odsunęli się od Klementyny.

– Zostaw nas – rzekł Citroën. – My się bawimy.

– Zostawiam was – powiedziała Klementyna. – Chcecie żeby zostawała i szydełkowa-  
ła?

– Wała – rzekł Citroën.

– Idź do kowała – powiedział Joël. – Wio, statku!

Klementyna westchnęła i z żalem wyszła. Chciała, żeby nadal byli malutcy i milusi. Jak pierwszego dnia, kiedy zaczęli jeść z piersi. Spuściła głowę i zanurzyła się we wspomnieniach.

### III

73 *luterwca*

Melancholijny Zmar pocziwiec  
Szedł sobie w stronę wioski.  
Dręczyły go starości troski,  
Wyrzuty gniotły go straszliwie.  
Był pusty, fakt to oczywisty;  
Żadnych postępów, nawet mglistych!  
Czas zaś był szary i wilgotny,  
Jak jajecznicza rozmaz błotny  
Buty mu paćkał w sposób sromotny...

Zawył jakiś ptak. „Tam do licha!” – powiedział Zmar. – „Przeszkodziłeś mi. A tak się dobrze zapowiadało. Od tej chwili będę mówił wyłącznie w trzeciej osobie. To mnie inspiruje”. Szedł sobie i szedł. Żywopłoty po obu stronach drogi pokryły się przez zimę kaczkas, kaczkami edredonowymi (które są dziećmi kaczek edredonowych tak jak gentlemen’s są dziećmi gentlemenów) i wszystkie te małe kaczki, zaszywszy się pośród głogów, robiły sztuczny śnieg, mocno skubiąc się po brzuchach dziobami. Przydrożne rowy, zalane wodą, pełne żab, zażywały wywczasów w oczekiwaniu na lipcopadową suszę.

„Dałem się nabrać” – ciągnął dalej Zmar. – „Ten kraj mnie nabrać, byłem młodym psychiatrą, pełnym zapału, a teraz jestem młodym psychiatrą całkiem pozbawionym zapału. A to niewątpliwie bardzo duża różnica. I to wszystko przez tę ohydną wieś. Cholerną, obrzydliwą wiochę. Mój pierwszy pobyt na jarmarku starców. Teraz pozornie kpię sobie z jarmarku starców, z żalem leję czeladników i już źle potraktowałem Głorię, gdyż inaczej byłoby to źle widziane. Dobra! Koniec z tym wszystkim. Energicznie zabiorę się do pracy”. Tak sobie mówił Zmar. Ileż to rzeczy może dziać się w mózgu człowieka, to nie do wiary, to zastanawiające.

Droga skrzybiała pod stopami Zmara. Syczała. Pieśniła. Rezoniała. Gulguła. Wyso-ko w niebie skrzeczały bardzo malownicze kruki, lecz czyniły to bezgłośnie, gdyż wiatr niósł ich głosy w przeciwną stronę.

„Jak to się dzieje – pomyślał nagle Zmar – że nie ma tu rybaków? Morze jest przecież tak blisko, pełne krabów, pajęczonogów i jadalnych, łuskowatych stworzonek. No więc? No więc? No więc? No więc? No więc?”

No więc dlatego, że nie ma tu portu. Był tak zachwycony, że to odkrył, że aż uśmiechnął się do siebie życzliwie.

Zza żywopłotu wystawał wielki krowi łeb. Podeszedł, żeby się mu ukłonić; głowa zwierzęcia była odwrócona w przeciwnym kierunku, więc ją przywołał. Podeszedłszy całkiem blisko, stwierdził, że jest to odcięty łeb, wbity na zaostzony kołek. Należał niewątpliwie do ukaranej krowy. Była tam również tabliczka, lecz wpadła do rowu. Zmar podniósł ją i przeczytał mieszaninę liter i błota: – Następnym – Plama – razem – Plama – będziesz – Plama – dawać – Plama – więcej mleka. – Plama. Plama. Plama.

Pokręcił głową osłabiony. Nie mógł się przyzwyczaić. Jeszcze czeladnicy... Ale nie zwierzęta. Upuścił tabliczkę. Jakieś latające stworzonka wywarły krowie oczy i nozdrza i tak była podobna do chorej na raka, że aż śmiech brał.

„Jeszcze jedna dla Glorii” – powiedział. – „Znów to spadnie na niego. I dostanie złota. Złoto jest bezużyteczne, bo nic nie można za nie kupić. A więc jest jedyną istotną rzeczą. Jest bezcenne.

Tak wyglądała Zmara mózgu robota  
Kiedy wędrując szybkim krokiem  
Rozważał argumenty chłodnym okiem  
Na temat prawdziwej wartości złota.

„No, no – rzekł do siebie Zmar. – Odzyskuję moją początkową werwę. Mimo iż materia tej oczywistości pozbawiona jest jakichkolwiek godnych zainteresowania szczegółów, gdyż jedynie na skutek układów Glorii znajduje się w takiej sytuacji, że jego złoto nadaje się na plaster. A w ogóle, jeśli chodzi o złoto, to mam je gdzieś, ważne, że przeszedłem kolejne sto metrów”.

Ukazała się wieś. Po czerwonym strumieniu błąkała się łódź Glorii w poszukiwaniu odpadków. Zmar przywołał go. Kiedy barka znalazła się tuż przy nim, wskoczył do środka.

– No i jak? – zapytał jowialnie. – Co nowego?

– Nic – odrzekł Gloriã.

Zmar poczuł, jak formułuje się ukryta myśl, która chodziła mu po głowie już od rana.

– A może byśmy tak – zaproponował – poszli do pana. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

– No cóż – rzekł Gloriã – czemu nie? Ruszajmy. Pan pozwoli?

Jak wyrzucony przez sprężynę wskoczył do rzeki. Mimo wszystko drżał z zimna. Tru-

dząc się srodze ruszył ku jakiemuś odpadkowi, który zgrabnie pochwycił ustami. Była to dość mała rączka. Poplamiona atramentem. Wdrapał się ponownie na łódź.

– No proszę – powiedział obejrawszy ją. – Dzieciak Käröla znowu nie chciał ćwiczyć charakteru pisma.

#### IV

*98 kwierpnia*

„Naprawdę coraz większym obrzydzeniem napawa mnie ta wieś” – rzekł do siebie Zmar, patrząc w lustro.

Właśnie podciął sobie brodę.

#### V

*99 kwierpnia*

Klementyna była głodna. Nie jadała już wcale południowych posiłków, gdyż w tym czasie zajmowała się napychaniem dzieci. Poszła sprawdzić drzwi do swego pokoju i przekręciła klucz w zamku. Spokój. Nikomu nie uda się wejść. Powróciła na środek pokoju i lekko opuściła pasek swej płóciennej sukienki. Patrzyła dyskretnie na swe odbicie w lustrze szafy. Podeszła do okna i zamknęła je również, po czym zbliżyła się do szafy. Nie spieszyła się, delektowała mijającymi minutami. Klucz do szafy nosiła przyczepiony do paska na lekkim, skórzanym warkoczku. Spojrzała na niego i wsunęła w zamek. W szafie cuchnęło. A mówiąc całkiem dokładnie, cuchnęło ścierwem. Znajdowało się tam kartonowe pudełko po butach, z którego dochodził fetor. Klementyna pochwyciła je i powąchała. W pudełku, pod pokrywką, resztki befsztyka kończyły proces gnilny. Zgnilizna w czystej postaci, bez much i bez larw. Po prostu robił się zielony i śmierdział. Przerażliwie. Przesunęła palcem po befsztyku, pomacała go. Łatwo ustępował pod palcem. Powąchała go. Porządna zgnilizna. Delikatnie ujęła befsztyk między palec wskazujący a kciuk i ugryzła go starannie, uważając, by odgryźć bardzo równy kęs. Łatwa sprawa, gdyż mięso było miękkie. Przeżuwała powoli postrzegając zarówno nieco mydlastą konsystencję zaściardłego mięsa, wzbudzającą jakieś kwaśne doznania w tylnej części policzków, jak i mocny zapach wydobywający się z pudełka. Zjadła połowę, a resztę włożyła z powrotem do pudełka, które wepchnęła na jego pierwotne miejsce. Obok znajdowała się gomółka sera, w mniej więcej podobnym stanie, całkowicie porzucona na talerzu. Zanurzyła w niej palec. Polizała go, i to wielokrotnie. Z żalem zamknęła szafę i przeszła do toalety, gdzie umyła sobie ręce. Potem wyciągnęła się na łóżku. Tym razem nie zwymiotuje. Była tego pewna. Teraz zachowa wszystko. Wystarczy być dość głodną. Będzie brała to pod uwagę. Tak czy inaczej, zasada powinna zwyciężyć: najlepsze kęski dla dzieci. Zaśmiała się myśląc o początkach, zadowalała

się zjadaniem resztek, wyjadaniem z kotletów i szynki tłuszczu, który zostawał na talerzach i dokańczaniem umaczanych w mleku kanapek, walających się koło kubków po śniadaniu. Ale to może zrobić byle kto. Wszystkie matki. To normalne. Skórki od brzoskwiń, to już trudniejsza sprawa. Z powodu tego łaskoczącego doznania na języku. A jednak skórki od brzoskwiń to również nic takiego; zresztą wielu ludzi zjada je ze skórką. Tylko ona jednak pozwałała zgnić tym wszystkim odpadkom. Dzieci zasługiwały na to poświęcenie i imbyło to okropniejsze, im gorzej śmierdziało, tym silniejsze odnosiła wrażenie, że wzmacnia swą miłość do nich, że ją potwierdza, jak gdyby wszystkie te trudy, jakie sobie zadawała w ten sposób, mogły zrodzić coś czystsze*go* i prawdziwszego – należało odkupić wszystkie te spóźnienia, każdą minutę pomyślaną bez nich.

Lecz nadal pozostawała jakoś dziwnie niezaspokojona, gdyż nie mogła jeszcze zdecydować się na zjedzenie larw. I zdawała sobie sprawę, że oszukuje chroniąc przed muchami resztki ukryte w spiżarni. Niewykluczone, że jakoś się to na dzieciach odbije...

Jutro spróbuje.

## VI

107 kwierpnia

„Ależ się niepokoję” – mówiła do siebie Klementyna wsparta łokciami o parapet okna.

Ogród złocił się w słońcu.

„Nie wiem, gdzie są Noël, Joël i Citroën. W tym momencie mogli wpaść do studni, zjeść zatruty owoc, dostać strzałą w oko, jeśli jakieś dziecko bawi się na drodze kuszą, złapać gruźlicę, jeśli napatoczy się jakiś zarazek Kocha, stracić przytomność, wachając zbyt pachnące kwiaty, zostać ukąszeni przez skorpiona przywiezionego przez dziadka jakiegoś wiejskiego dziecka, sławnego badacza, który niedawno powrócił z krainy skorpionów, spaść z drzewa, biec zbyt szybko i złamać sobie nogę, bawić się nad wodą i utopić się, schodzić z urwiska, potknąć się i skrócić sobie kark, zadrasnąć się starym drutem i dostać tęcza; pójdą w głąb ogrodu i odwrócą kamień, pod kamieniem będzie siedziała mała, żółta larwa, która szybko się przepoczwarzy i uleci do wsi, wślizgnie się do obory złego byka i utnie go koło nozdrzy; byk wypada ze swej obory, niszczy wszystko, pędzi oto drogą w kierunku domu, oszalały, na zakrętach zostawia kępy czarnej sierści zaczepiając się o ciernie berberysów; tuż przed domem puszcza się z pochylonym łbem w kierunku ciężkiego wozu ciągniętego przez starego, na wół ślepego konia. Pod wpływem zderzenia wóz rozsypuje się, a jeden z kawałków metalu zostaje wyrzucony w powietrze na fantastyczną wysokość; być może jest to śruba, albo nakrętka, muterka, gwóźdź, okucie wozu, hak do zaczepiania konia, nit od koła zrobionego przez kołodzieja, później połamanego, naprawionego przy pomocy jesionowych łub-

ków wystruganych ręcznie i kawałek metalu ulatuje z gwizdem w błękitne niebo. Przelatuje ponad ogrodową bramą, o Boże, spada, spada i spadając muska skrzydło latającej mrówki, urywa je i mrówka straciwszy orientację, straciwszy stateczność, przelatuje ponad drzewami jak uszkodzona mrówka, opada nagle w kierunku trawnika, o Boże, tam jest Joël, Noël i Citroën, mrówka spada na...

Klementyna wybiegła z pokoju, krzyczała odchodząc od zmysłów i galopem schodziła po schodach. W westybulu zderzyła się z boną.

– Gdzie oni są? Gdzie są moje dzieci?

– Ależ śpią – odpowiedziała tamta ze zdziwioną miną. – To pora ich sjesty.

„No co, dobrze, tym razem to się jeszcze nie zdarzyło, lecz było to całkowicie prawdopodobne”. Wróciła do swojego pokoju. Serce waliło jej jak młotem. To zdecydowanie niebezpieczne pozwalać im samym chodzić do ogrodu. W każdym razie, należy zabezpieczyć im odwracania kamieni. Nigdy nie wiadomo, co można znaleźć pod takim kamieniem. Jadowite stonogi, pająki, których ukąszenie może być śmiertelne, karaluchy, które mogą przywlec jakieś zamorskie choroby, na jakie nie wynaleziono jeszcze leków, zatrute igły, ukryte tam przez zbrodniczego lekarza uciekającego do wsi po zamordowaniu jedenastu osób w trakcie kuracji, które nakłonił do zmiany testamentu na jego korzyść, które to nieczne oszustwo zostało wykryte przez młodego internistę mającego dyżur, dziwnego typu z rudą brodą.

„A co się dzieje ze Zmarem? – pomyślała przy tej okazji, albo vice versa. – Już go wcale nie widuję. I bardzo dobrze. Pod pretekstem, że jest jednocześnie psychiatrą i psychoanalitykiem mieszałby się być może do edukacji Joëla, Noëla i Citroëna. I jakim prawem, można by się zapytać. Dzieci należą do matki. Ponieważ to ją bolało, gdy się rodziły, więc należą do matki. A nie do ojca. A matki kochają je, w związku z czym muszą robić to, co one im każą. One wiedzą lepiej od nich, czego im trzeba, co jest dla nich dobre, co spowoduje, że zostaną dziećmi możliwie jak najdłużej. Stopy Chinek. Chinkom wsadza się stopy do specjalnych butów. Albo w łubki. Albo specjalnie obwiązuje. Albo w stalowe formy. W każdym razie robi się tak, żeby ich stopy pozostały małe. Tak się powinno robić z całym dziećmi. Przeszkodzić im w rośnięciu. W tym wieku jest imo wiele lepiej. Nie mają trosk. Nie mają potrzeb. Nie mają złych pragnień. Później urosną. Powiększą swe tereny. Zechcą pójść dalej. A ileż to nowego ryzyka. Jeśli wyjdą z ogrodu, spotka ich tysiąc nowych niebezpieczeństw. Co mówię, tysiąc? Dziesięć tysięcy. I wcale nie jestem zbyt rozrzutna. Trzeba za wszelką cenę przeszkodzić im w opuszczeniu ogrodu. I tak już w tym ogrodzie czyha na nich niezliczona ilość niebezpieczeństw. Może się zerwać nieprzewidziany powiew wiatru, który złamie konar i ich ogłuszy. Niech nadejdzie deszcz, a oni będą spoceni po zabawie w konia, w pociąg, w policjantów i złodziei, lub innej popularnej grze, niech nadejdzie deszcz, a złapią wirusowe zapalenie płuc, albo zapalenie opłucnej, albo przeziębienie, albo reumatyzm, albo polio, albo tyfus, albo szkarlatynę, albo odrę, albo ospę wietrzną, czy



jakąś nową chorobę, której nazwy nikt nie zna. Albo jeśli zerwie się burza. Piorun. Błyskawice. Sama nie wiem, mogą nawet wystąpić, jak to powiadają, zjawiska jonizacyjne, ma to już dostatecznie paskudną nazwę, by być niebezpieczne, przypomina słowo „inicjacyjne”. A może się im zdarzyć tyle innych rzeczy. Gdyby wyszły z ogrodu, oczywiście byłoby jeszcze gorzej. Lecz nie myślm y o tym na razie. Wystarczy na początek wyczerpać wszystkie możliwości związane z ogrodem. A kiedy będą duzi, ajajaj! Tak, oto dwie przerażające rzeczy, jasne: że urosną, i że wyjdą z ogrodu. Ileż niebezpieczeństw do przewidzenia! To prawda, matka powinna wszystko przewidzieć. Lecz odłóżmy to na razie na bok. Pomyślę o wszystkim nieco później, nie zapomnę tego: urosnąć i wyjść. Lecz na razie chcę się zadowolić ogrodem. W samym tylko ogrodzie ilość wypadków jest olbrzymia. Ach! Właśnie! Żwir na alejkach. Ileż razy mówiłam, że to śmieszne, żeby pozwalać dzieciom bawić się żwirem. A gdyby tak połąkły? Nie można tego dostrzec od razu. A w trzy dni później zapalenie ślepej кишки. Konieczność natychmiastowego operowania. I któżby miał to zrobić? Zmar? To żaden doktor. Lekarz wiejski? Jest tylko weterynarz. A więc po prostu by umarli. Po strasznych cierpieniach. Gorączce. Krzykach. Nie, nie po krzykach, jęczałyby, to by było jeszcze straszniejsze. I żadnego lodu. Nie można znaleźć lodu, by im położyć na brzuch. A temperatura podnosi się, podnosi. Rtęć wychodzi poza podziałkę. Termometr wybucha. Jeden ze szklanych odłamków przecina oko Joëla, który patrzy na cierpiącego Citroëna. Krwawi. Traci oko. Nikt się nim nie zajmuje. Wszyscy są przejęci Citroënem, który jęczy coraz ciszej. Korzystając z rozgardiaszu, Noël zakrada się do kuchni. Na kuchence kocioł z wrzącą wodą. Jest głodny. Oczywiście nie dostał podwieczorku, jego bracia są chorzy, więc o nim zapomniano. Wchodzi na krzesło stojące przy kuchence. Żeby sięgnąć po słoik z konfiturami. Lecz bona odstawiła je nieco dalej niż zazwyczaj, gdyż zaniepokoił ją ulatujący kurz. To by nigdy nie miało miejsca, gdyby staranniej zamiatała. Pochyla się. Ślizga się. Wpada do kotła. Ma czas, by wydać okrzyk, jeden jedyny, i umiera, lecz jeszcze się szamocze mechanicznie, jak kraby, które żywcem wrzuca się do wrzątku. Robi się czerwony jak kraby. Nie żyje. Noël!”

Klementyna rzuciła się ku drzwiom. Zawołała bonę.

– Tak, proszę pani.

– Zabraniamci podawania krabów na obiad.

– Ależ nie mamy nic takiego, proszę pani. Jest tylko rostbefi piaszczaki.

– Zabraniamci tak czy inaczej.

– Dobrze, proszę pani.

– I nigdy więcej nie gotuj krabów. Ani homarów. Ani raków. Ani langust.

– Dobrze, proszę pani.

Wróciła do swojego pokoju.

„Czy nie lepiej by było wszystko przygotowywać, kiedy śpią i jeść na zimno? Żeby

nie było nigdy ognia, kiedy nie śpią i chodzą? Oczywiście, starannie trzymać zapalki pod kluczem. Już są schowane. Przegotowaną wodę, którą piją, trzeba by gotować wieczorem, dopiero kiedy będą spali. Jakie szczęście, że pomyślała o wrzątku. Mikroby tracą swoją zjadliwość, kiedy się porządnie wygotują. Tak, ale tyle różnych świństw pakują sobie do ust, kiedy są w ogrodzie. Ten ogród. Powinno się właściwie unikać wysyłania ich do ogrodu. Wcale nie jest zdrowszy niż czyste pomieszczenie. Bardzo czyste pomieszczenie, codziennie wysprzątane na mokro, jasne, więcej jest warte od ogrodu. Oczywiście, na tych płytkach mogą się zaziębić. Ale w ogrodzie również. Ież tam przeciągów. I wilgotna trawa. Czyste pomieszczenie. Ach! To prawda. Istnieje niebezpieczeństwo z płytkami. Pokaleczą się. Poprzecinają sobie arterie na przegubach, a ponieważ zrobiły głupstwo, nie ośmielią się przyznać; krew płynie, płynie, a Citroën staje się całkiemblady. Joël i Noël płaczą, a Citroën krwawi. Drzwi są zamknięte na klucz, bo wszyscy poszli po zakupy, a Noël boi się widoku krwi i próbuje wyjść przez okno, żeby wezwać pomoc, i oto wchodzi na ramiona Joëla i zaczepia się nieszczęśliwie, spada i kaleczy się z kolei, w szyję, w tętnicę szyjną, w ciągu kilku minut umiera, jego mała twarzą jest całkiemblada. To niemożliwe, nie, tylko nie zamknięte pomieszczenie”.

Wybiegła z pokoju i jak szalona wpadła do sypialni trzech maleństw. Słońce wpadające przez szczeliny w żaluzjach oświetlało różowe ściany; słychać było jedynie lekki szmer trzech regularnych oddechów. Noël poruszył się i zamruczał. Citroën i Joël uśmiechali się przez sen, z na wpół otwartymi dłońmi, odprężeni i bezbronni. Serce Klementyny waliło bardzo mocno. Opuściła pokój i powróciła do swojego. Tym razem zostawiła otwarte drzwi.

„Jestem dobrą matką. Myślę o wszystkim, co może im się przydarzyć. O wszystkich grożących im wypadkach myślę zawczasu. I nie mówię o niebezpieczeństwach, jakie mogą ich spotkać, kiedy będą więksi. Albo kiedy wyjdą z ogrodu. Nie. Tę trzymam w rezerwie. Powiedziałam, że pomyślę o nich później. Mam czas. Mam czas. Jest już tyle katastrof do wyobrażenia. Tyle katastrof. Kocham ich, ponieważ myślę o wszystkich najgorszych rzeczach, jakie mogą im się przytrafić. Żeby je przewidzieć. Żeby im przeciwdziałać. Nie znajduję upodobania w tych wszystkich krwawych wizjach. One mi się same narzucają. To dowodzi, że zależy mi na chłopcach. Jestem za nich odpowiedzialna. Są ode mnie uzależnieni. To moje dzieci. Muszę robić wszystko co jest w mej mocy, by im oszczędzić rozlicznych nieszczęść, jakie na nie czyhają. Te aniołki. Niezdolne do obrony, nie wiedzące, co jest dla nich dobre. Kocham je. To dla ich dobra myślę o tym wszystkim. Nie sprawia mi to żadnej przyjemności. Drzę na myśl, że mogłyby zjeść jakieś zatrute jagody, usiąść w wilgotnej trawie, dostać gałęzią po głowie, wpaść do studni, stoczyć się z urwiska, połknąć kamienie, dać się pokłuć przez mrówki, przez pszczoły, przez skarabeusze, przez jeżyny, przez ptaki, mogą wachać kwiaty i wachać je zbyt mocno, płatek wpada im do nosa, mają nos zatkany, dostaje się to do mózgu, umierają, są tacy mali, wpadają do studni, topią się, gałąź spada im na głowę, płytka pęka, krew, krew...”

Dłużej już nie mogła. Bezszelestnie wstała i aksamitnym krokiem powróciła do pokoju dzieci. Usiadła na krześle. Ze swego miejsca widziała całą trójkę. Spali snem pozbawionym marzeń. Powoli również i ona zdrzemnęła się, skulona, niespokojna. Od czasu do czasu drżała przez sen, jak pies śniący o smyczy.

## VII

135 kwierpnia

„Uf” – westchnął pod nosem Zmar doszedłszy do wsi. – „Już po raz tysięczny idę do tej przeklętej dziury, a ta droga nie pokazuje mi niczego ciekawego. Inna sprawa, że nie przeszkadza mi ona doszukiwać się ciekawych rzeczy gdzie indziej. Tak czy inaczej, wreszcie można będzie skorzystać z jakiejś rozrywki”.

Afiszę wisały wszędzie. Białe afisze, lekko zafarbowane na fioletowo, niewątpliwie przy pomocy powielacza. „DZIŚ WIECZÓR LUKSUSOWY SPEKTAKL...” itede, itepe. Spektakl ma się odbyć w remizie, za prezbiterium. Miał być, wszystko na to wskazywało, zorganizowany przez proboszcza.

Na czerwonym strumieniu nie było ani śladu Glorii. Musiał znajdować się gdzieś dalej, za zakolem. Z szarych domów wychodzili odświętnie ubrani ludzie, to znaczy odziani jak z okazji żałoby. Czeladnicy, zostali w domach. Żeby im nie było przykro z powodu spektaklu, przez cały dzień byli solidnie kopani w tyłek i teraz czuli się bardzo szczęśliwie, mogąc pozostać w samotności przez cały wieczór.

Zmar znał już teraz wszystkie kąty, zakręty i skróty. Przeszedł przez wielki plac, na którym nadal regularnie odbywały się jarmarki starców, przemaszerował wzdłuż szkoły; kilka minut później obszedł kościół, by kupić bilet w okienku prowadzonym przez jedno z dzieci z chóru proboszcza. Kupił sobie drogie miejsce, żeby dobrze widzieć. Wszedł do remizy. Tuż przed nimi za nim postępowały inne osoby. Przy wejściu do remizy drugi mały chórzysta oddał połowę jego biletu, a dokładniej mówiąc, rozdarł cały bilet na dwie połowy, z których jedną mu zwrócił. Trzeci chórzysta sadzał jakąś rodzinę i Zmar czekał, aż przyjdzie się nim zająć, co wkrótce nastąpiło. Trzej chłopcy z chóru byli odziani w stroje galowe: czerwone spódniczki, małe kapelusiki i koronkowe żaboty. Ostatni złapał bilet Zmara i zaprowadził psychiatrę aż do foteli orkiestry. Proboszcz zgromadził w remizie wszystko, co tylko w kościele służyło za krzesła, tyle krzesel, że w niektórych miejscach były wyłącznie krzesła, jedno na drugich, tak że nie można było usiąść, ale za to można było sprzedać więcej biletów.

Zmar zajął miejsce i wbrew sobie wymierzył policzek małemu chórzystce, który zdawał się czekać na napiwek i odszedł, nie prosząc o resztę. Na tę resztę złożyłoby się niewątpliwie kilka solidnych kuksańców; było rzeczą naturalną, iż w miejscach publicznych Zmar nie występował przeciw zwyczajom panującym w tym kraju, pomimo odrazy, jaką napawały go takie praktyki. Będąc lekko zażenowany i niezbyt dobrze się

czując, zaczął obserwować przygotowania do spektaklu.

Na środku remizy, otoczonym z czterech stron przez kościelne krzesła, wznosił się doskonale ustawiony ring, wykonany z czterech rzeźbionych słupków podtrzymywanych przez mocne metalowe odciążki, pomiędzy którymi rozciągnięto purpurowe, aksamitne liny. Dwa słupy po przekątnej przedstawiały jedynie sceny z życia rodzinnego Jezusa: Jezus drapiący się w nogę na skraju drogi, Jezus walący alpagę, Jezus na rybach, jednym słowem klasyczne streszczenie jarmarcznych obrazków. Dwa pozostałe za to odznaczały się bardziej oryginalnymi cechami. Ten po lewej, najbliższy Zmarę przedstawiał w ogólnym zarysie olbrzymie widły sterczące czubkiem do góry, przyozdobione piekielnymi płaskorzeźbami, w najczystszej (lub najbrudniejszej) postaci, które mogłyby spowodować zaczerwienienie się dominikanina. A nawet kilku dominikanów. A nawet samego pułkownika od Jezuitów. Ostatni słupek w kształcie krzyża był bardziej banalny i prezentował wizerunek nagiego proboszcza od tyłu, w trakcie szukania pod łóżkiem guzika od kołnierzyka.

Ludzie wchodzili bez przerwy i hurgot potrącanych krzeseł, przekleństwa tych, co nie mogli usiąść, gdyż okazali się nazbyt oszczędni, cierpkie wrzaski dzieci z chóru, intensywny fetor nóg publiczności i jęki kilku starców zakupionych na jarmarku, których przyprowadzono, by móc impodokuczać w czasie anraktów, tworzyły banalną atmosferę niedzielnego widowiska. Nagle dał się słyszeć potężny chrobot, jakby startowała stara, zdarta płyta i donośny głos wytrysnął z głośnika, który Zmar uniósłszy oczy dostrzegł uczepony tuż ponad ringiem. Po kilku sekundach rozpoznał głos proboszcza, pomimo kiepskiej jakości dźwięku można było podążać za tokiem jego wypowiedzi,

– Tak nie może być! – ryknął w ramach egzorty.

– Ha ha ha! – zarechotał tłum, zachwycony taką rozrywką.

– Niektórzy spośród was wskutek ohydnych skąpstwa i niegodnej małostkowości zapragnęli natrzasać się z nauki Pisma. Kupili tanie bilety: Nie usiądą! To jest Luksusowy spektakl, sygnowany przez samego Boga, istotę Luksusową i ktokolwiek w tych okolicznościach nie będzie chciał zachowywać się w sposób luksusowy, tego spotka kara ze strony diabłów, które przez całą wieczność będą go przysmażać w piekle na nędznym ogniu z węgla drzewnego, torfu, albo nawet z łajna, o ile nie z suchej trawy.

– Niech kasa zwraca! Niech kasa zwraca! – zakrzyknęli ci, co nie mogli usiąść.

– Nic nie zostanie wam zwrócone. Siadajcie jak możecie, albo nie siadajcie wcale, Bóg kpi sobie z tego. Rozstawiliśmy na waszych krzesłach inne krzesła, nogami w górę, by dać wam do zrozumienia, że przy tej cenie miejsca te są dobre jedynie dla krzeseł. Krzyczcie, protestujcie, Bóg to luksus i piękno, trzeba było kupić droższe bilety. Ci, którzy tego pragną, mogą wykonać dopłatę, lecz zatrzymają swe marne miejsca. Wynagrodzić krzywdy to nie znaczy mieć już odpuszczone.

Powszechnie zaczęto uważać, że proboszcz lekko przesadza. Zmar odwrócił się, słyszając głośne trzaski. Ujrzał kowala stojącego na tanich miejscach. W każdej ręce trzymał jedno krzesło i walił nimi o siebie. Przy drugim zderzeniu krzesła rozpadły się w drzazgi. Rzucił te kawałki całą garścią w kierunku kulis, których obecność wskazywała napięta kurtyna. To był sygnał. Wszyscy, którzy mieli złe bilety, porwali za przeszkadzające im krzesła i zaczęli je łamać. Ci co nie mieli siły, podawali je kowalowi.

Kawałki fruwały pośród zgiełku i gwałtownie torowały sobie drogę przez szczelinę znajdującą się pomiędzy dwiema połowami kurtyny. Cios wymierzony szczęśliwiej niż inne zachwiał całym podtrzymującym je trójkątem. W głośniku słychać było złorzeczącego proboszcza.

– Nie macie prawa! Luksusowy Bóg ma w pogardzie wasze kiepskie maniery, wasze brudne skarpety, wasze poplamione na żółto kalessony, wasze czarne kołnierzyki i próchnicę waszych zębów. Bóg wzbrania wstępu do rajy chudym sosom, nie garnirowanym kogutom, wychudłym szkapom, Bóg to wielki, srebrny łabędź, Bóg to szafirowe oko w lśniącym trójkącie, to diamentowe oko w złotym nocniku, Bóg to rozkosz karatów, wielkie, platynowane tajemnice, sto tysięcy pierścieni kurtyzan z Malampii, Bóg to wiecznie płonąca świeca niesiona przez aksamitnego biskupa, Bóg żyje w szlachetnym metalu, w płynnych perłach kipiącej rtęci, w eterycznych kryształach. Bóg spogląda na was – ćwoki i wstydzi się was...

Na dźwięk zakazanego słowa, tłum, nawet ci co siedzieli, zaczął mrużyć pod nosem.

– Dość tego, księżu! Dawaj ten twój spektakl!

Krzesła latały w najlepsze.

– Wstydzi się was! Prostaki, brudasy, ciemniaki, jesteście ścierą świata, kartoflem z niebiańskiego warzywniaka, pokrzywą boskiego ogrodu, jesteście... uj! ujuj!

Krzesło lepiej skierowane niż pozostałe właśnie całkiem zerwało kurtynę i widać było proboszcza w gaciach jak tańczy wokół mikrofonu trzymając się za czaszkę.

– Spektakl, księżu! – ryknął tłum jednym głosem.

– Dobrze! Uj! Dobrze! – zawołał proboszcz. – Już! Już!

Hałas urwał się natchmiast. Prawie wszystkie krzesła były już teraz zajęte, a dzieci z chóru stłoczyły się wokół proboszcza. Jedno z nich podało mu jakiś brązowy, okrągły przedmiot, w który ksiądz wepchnął dłoń. Z drugą ręką odbyła się ta sama historia. Potem proboszcz wdział wspaniałą, wściekle żółtą podomkę i kulejąc wskoczył na ring. Zabrał ze sobą mikrofon, który zawiesił ponad sobą na przewidzianym w tym celu przewodzie.

– Dzisiaj – oznajmił bez żadnych preambuł – na waszych oczach, przez dziesięć trzeminutowych rund, wykazując maksimum stanowczości i wigoru, będę walczył z diabłem!

W tłumie rozległ się niedowierzający szept.

– Nie śmieście się! – ryknął proboszcz. – Niech patrzą ci, co nie wierzą!

Dał znak i zakrystian wypadł zza kulis jak błyskawica. Rozszedł się ostry odór siarki.

– Tydzień temu – oznajmił proboszcz – odkryłem, co następuje: mój zakrystian jest diabłem.

Zakrystian od niechcienia plunął dość pięknym strumieniem ognia. Pomimo długiego szlafroka bardzo wyraźnie widać było długą sierść na jego nogach i rosochate kopyta.

– Brawo dla niego! – zaproponował ksiądz.

Rozległy się oklaski, raczej mizerne. Zakrystian wyglądał na obrażonego.

– Cóż mogłoby się bardziej podobać Bogu – ryknął proboszcz – niż jedna z tych przepysznych walk, w organizowaniu których przodowali rzymscy imperatorowie, miłośnicy luksusu, par excellence?

– Dość! – krzyknął ktoś. – Krwi!

– Dobra! – zawołał proboszcz. – Dobra! No! Dobra! Dodam już tylko jedno. Jesteście nędznymi ignorantami.

Zrzucił swoją podomkę, dwaj mali chórzyści służyli mu za sekundantów; zakrystian był sam. Dzieci przygotowały kuwetę, taboret i serwetkę, zaś proboszcz włożył ochraniacz na zęby. Zakrystian wypowiedział jedynie jakieś kabalistyczne słowo i jego czarny szlafrok zajął się żywym ogniem i zniknął w chmurze czerwonego dymu. Zaśmiało się szyderczo i dla rozprostowania kończyn wykonał krótką walkę z cieniem.

– Hej, księżu proboszczu, tylko bez ciosów poniżej pasa i to jeszcze przed rozpoczęciem!

Trzecie dziecko z chóru walnęło z całej siły młotkiem w miedzianą brytfannę. Zakrystian, który stał w swoim narożniku, tuż przy rzeźbionych widłach, ruszył na środek ringu.

Na dźwięk gongu do smażenia konfitur rozległo się głośne i pełne satysfakcji ach!

Diabeł natychmiast zaatakował krótkimi hakami z prawej, z których co trzeci przebił się przez gardę proboszcza. Ten ostatni jednak mógł się pochwalić piękną pracą nóg; dwóch nóg, dokładnie mówiąc, bardzo pulchnych, bardzo tłustych i bardzo sprytnych pomimo nierównej długości. Proboszcz kontrował prawymi prostymi, usiłując trzymać przeciwnika na dystans. Korzystając z tego, że diabeł uniósł gardę, by lepiej ocenić serię wyprowadzoną na korpus, wymierzył podwójny lewy w okolice żołądka i zakrystian zaklął szpetnie. Tłum bił brawo. Proboszcz już się napuszył, kiedy prosto w żuchwę trafił go niespodziewany uppercut, który z trudem przełknął. Później szybką serią lewych diabeł dosięgnął go w prawe oko. Wyglądało na to, iż pragnie zaprezentować całą gamę ciosów. Czerwone znaki zaczęły się pojawiać na ciałach obu mężczyzn,

a proboszcz był lekko zdyszany. Ponieważ zakrystiana go sklinczował, rzekł do niego:

– Vade retro!...

To ubawiło zakrystiana, który aż się wziął pod boki, z czego skorzystał proboszcz, by mu zapakować dwie solidne pucky prosto w pysk. Strzyknęła krew. Prawie natychmiast rozbrzmiało uderzenie gongu i obaj przeciwnicy powrócili do swych narożników. Proboszcz został natychmiast otoczony przez trzech małych chórzystów. Tłum bił brawo, bo jatka była niezła. Diabeł pochwycił kanister z benzyną, wypił solidny łyk i wypluł w powietrze wspaniały, pełen sadzy, strumień ognia, który lekko przysmażył kabel mikrofonu. Tłum bił brawo w najlepsze. Zmar uważał, że proboszcz świetnie sobie radzi, zarówno jako organizator jak i jako zawodnik. Pomysł z przywołaniem diabła wydawał mu się wyśmienity.

Tymczasem dzieci z chóru starannie klajstrowały proboszcza. Nie wyglądał nazbyt dobrze i wielkie ślady były teraz widoczne w różnych miejscach jego anatomii.

– Druga runda! – oznajmiło dziecko przy gongu i zrobiło bang!

Tym razem wyglądało na to, że diabeł postanowił skończyć walkę przed czasem. Zatakował jak szalony, nie dając księdzu ani chwili wytchnienia. Był to spływający grad ciosów, o ile o gradzie można powiedzieć, że spływa. Proboszcz bez ustanku dążył do zwarcia, a nawet raz czy dwa razy klinczował, ku wielkiemu niezadowoleniu publiki. Po czym, korzystając z krótkiej przerwy, złapał dwiema rękami zakrystiana za głowę i zadał mu solidny cios kolanem w nos. Teraz diabeł zwał się z proboszczem, rycząc gwałtownie z bólu.

I jednym głosem wszystkie dzieci zakrzyknęły zadowolone:

– On oszukuje! Niech żyje proboszcz!

– To hańba! – twierdził diabeł masując sobie nos i przejawiając wszelkie oznaki najżywszego cierpienia.

Zachwycony proboszcz skręcał się ze śmiechu, ale był to tylko fortel diabła, który gwałtownie rzucił się na niego i wymierzył mu dwa straszne haki w wątrobę, po nich zaś podbródkowy prosto w szczękę, mimochcąc zablokowany przez proboszcza przy pomocy lewego oka. Które się zamknęło.

Na całe szczęście dla proboszcza zabrzmiał gong. Kilkakrotnie przepłukał sobie usta, a do oka kazał sobie przyłożyć wielki surowy befszytk z wydrążoną dziurą, która pozwalałaby mu patrzeć, gdyby jego oko było do tego zdolne. Tymczasem diabeł oddawał się różnym facecjom, które bardzo się podobały; zwłaszcza kiedy ściągnął nagle gacie i pokazał tyłek starej sklepikarce. Osiągnął wielki sukces.

W trakcie trzeciej rundy, która jeszcze gorzej zapowiadała się dla księdza, ten zdradliwie, niby to drapiąc się jedną ręką pociągnął za kabel od mikrofonu, który uprzednio spreparował. Natychmiast urwał się głośnik i spadł na głowę zakrystiana, który

zwalił się ogłuszony. Proboszcz bardzo dumny z siebie obszedł ring dookoła z pięściami skrzyżowanymi ponad głową.

– Zwyciężyłem przez nokaut techniczny – oznajmił. – To Bóg zwyciężył przeze mnie, ten Bóg luksusu i bogactwa! To Bóg! W trzeciej rundzie!

– Och! Ach! Och! – przemknęło przez tłum.

Mieszkańcy wsi oniemieli na chwilę, gdyż wszystko odbyło się zbyt szybko. A potem zaczęli protestować, bo minuta wyszła strasznie drogo. Zmar, lekko zaniepokojony, czuł, że wszystko zaraz się popaprze.

– Oddawaj pieniądze, księżo! – krzyknął tłum.

– Nie! – odrzekł ksiądz.

– Oddawaj pieniądze, księżo!

– Oddawaj pieniądze, księżo! – krzyknął tłum.

– Nie! – odrzekł ksiądz.

– Oddawaj pieniądze, księżo!

Poleciało krzesło, a za nim następne. Proboszcz zeskoczył z ringu. Deszcz krzesel spadł na niego.

Zmar przemykał ku wyjściu, kiedy otrzymał cios w ucho. Instynktownie stawił czoła i zaripostował. Rozpoznał przeciwnika w chwili, gdy właśnie wybił mu pięścią zęby. Był to stolarz, który padł gęsto spluwając. Zmar obejrzał swe palce. Miał przecięte dwie kostki. Polizał je. Zaczęło go ogarniać jakieś zażenowanie. Strząsnął je z siebie jednym wzruszeniem ramion.

– Nie szkodzi... – pomyślał. – Gloria jest tu po to, żeby to wziąć na siebie. I tak musieliśmy z nim zobaczyć w sprawie tego policzka, jaki wymierzył dziecku z chóru.

Nadal miał ochotę bić się. Walił w co się napatoczyło. Walił i wielką ulgę sprawiało mu to, że wali dorosłych.

## VIII

*135 kwierpnia*

Kiedy Zmar popchnął drzwi do mieszkania Glorii, ten ostatni właśnie zaczął się ubierać. Wykąpał się już w swej wannie z litego złota i zawiesiwszy na haku swe stare, robocze ubranie, wdziewał pyszną podomkę ze złotogłowia. Złoto było wszędzie, wnętrze starego domu wydawało się być odlane z jednego kawałka szlachetnego metalu. Złoto wysypywało się z kufrów, z garnków, ze stołów, wszystko było lśniąca i żółta. Ten obraz uderzył Zmarę za pierwszym razem, lecz teraz przyglądał mu się z taką samą obojętnością, jaką przejawiał wobec wszystkich spraw nie związanych bezpośrednio



z jego manią, to znaczy, że nawet go nie dostrzegał.

Gloria przywitał się z nim, zdziwiwszy się widząc go w takim stanie.

– Biłem się – powiedział Zmar. – Na spektaklu proboszcza. Wszyscy się bili. On także, ale nie fair. Dlatego wszyscy się przyłączyli.

– Zachwyceni tym pretekstem – rzekł Gloria.

Wzruszył ramionami.

– Ja... – powiedział Zmar. – Hmm... Jest mi trochę wstyd, bo biłem się również, toteż korzystając z tego, że przyszedłem się z panem spotkać, przyniosłem gotówkę...

Podał mu stosik sztuk złota.

– Oczywiście... – szepnęła Gloria z goryczą w głosie. – Szybko pan załapał. Lecz niech pan trochę poprawi ubranie. Nie przejmuj się pan. Biorę pański wstyd.

– Dziękuję – powiedział Zmar. – A teraz może byśmy tak wrócili do naszego seansu?

Gloria wrzucił stosik sztuk złota do szkarłatnej salaterki i nie mówiąc ani słowa rozciągnął się na łóżku ustawionym w głębi pomieszczenia. Zmar usiadł przy nim.

– Niech pan opowiada – rzekł. – Proszę się odprężyć i opowiadać. Doszliśmy do pańskiej historii w szkole, kiedy pan ukradł tę piłkę.

Gloria przesunął dłonią przed oczyma i zaczął mówić. Lecz Zmar nie słuchał go od samego początku. Był zaintrygowany. W chwili gdy dłoń starca spoczęła na czole, miał wrażenie, lecz być może było to jedynie złudzenie, że widzi poprzez dłoń rozgorączkowane i rozbiegane oczy pacjenta.

## IX

*136 kwierpnia*

W dniach, kiedy Zmar czuł się intelektualnie nastawionym, zamykał się w bibliotece Angela i czytał. Była tam tylko jedna książka, całkowicie wystarczająca – słownik encyklopedyczny, w którym Zmar odnajdywał pogrupowane i ułożone w porządku alfabetycznym, o ile nawet nie logicznym, główne elementy tego wszystkiego, z czego składają się zwykłe biblioteki i to pod postacią jednego tomu, niestety, jakże uciążliwego!

Zatrzymywał się na ogół na stronie z flagami, gdzie było dużo koloru i gdzie tekst, znacznie mniej gęsty niż na pozostałych kartach dawał umysłowi odprężenie i relaks. Jedenasta od lewej, przedstawiająca krwawy ząb na czarnym tle, przywiodła mu na myśl tego dnia małe, dzikie hiacynty, jakie można znaleźć w lesie.

## X

Trójka dzieci, niezbyt widoczna z domu, bawiła się w ogrodzie.

Wybrali sobie to miejsce: można tu było znaleźć kamienie, ziemię, trawę i piasek w odpowiednich proporcjach. Był tu cień i słońce, suchość i wilgotność, twardość i miękkość, mineralność i roślinność, życie i martwota.

Mało mówili. Wyposażeni w prostokątne łopatki drążyli, każdy dla siebie, prostokątne rowki. Od czasu do czasu łopatką napotykała jakiś interesujący przedmiot, który jego posiadacz podnosił, by zaraz go przenieść na kupkę poprzednich odkryć.

Po stu machnięciach łopatką Citroën przerwał kopanie.

– Stop! – powiedział.

Joël i Noël posłuchali.

– Mamzielony – powiedział Citroën.

Pokazał im mały przedmiot lśniący szmaragdowym blaskiem.

– Ja czarny – rzekł Joël.

– Ja złocisty – dodał Noël.

Ułożyli trzy przedmioty w trójkąt. Citroën ostrożnie zgromadził je za pomocą suchych gałązek. Potem usiedli, każdy przy jednym ze szczytów trójkąta i czekali.

Nagle między trzema przedmiotami pękła ziemia. Pojawiła się mała, biała rączka, później druga. Ręce uchwyciły się brzegów otworu i jasna sylwetka wysokości dziecięciu centymetrów postawiła stopy w trójkącie. Była to mała dziewczynka z długimi blond włosami. Przesłała całusa trójce dzieci i zaczęła tańczyć. Tańczyła przez kilka minut nie wychodząc z trójkąta. I nagle, gwałtownie zatrzymała się, spojrzała w niebo i zapadła się w ziemię równie szybko jak stamtąd wyszła. W miejscu kolorowych kamieni pozostały tylko trzy zwykłe kamyki.

Citroën podniósł się i rozgarnął gałązki.

– Mamtego dość – powiedział. – Teraz jakaś inna zabawa.

Joël i Noël już powrócili do kopania.

– Jestem pewien, że znajdziemy jeszcze inne rzeczy – powiedział Noël.

W tym momencie jego łopatką uderzyła w coś twardego.

– Ale wielki kamień – powiedział.

– Daj popatrzeć! – powiedział Citroën.

Był to piękny, żółty kamień z lśnącymi pęknięciami, więc go polizał, żeby sprawdzić, czy był tak dobry, jak na to wyglądał. Prawie. Ziemia chrzęściła mu w zębach. Ale w zagłębieniu kamienia przyklejony był mały ślimak, również żółty. Przyjrzał mu się.

– Ten nie jest dobry – powiedział Citroën. – Możesz go zjeść mimo wszystko, ale ten

nie jest właściwy. Tylko po niebieskich się lata.

– To są też niebieskie? – zapytał Noël.

– Tak – odparł Citroën.

Noël spróbował żółtego. Bardzo zdrowy. W każdym razie dużo lepszy niż ziemia. Miękki. I lepki. W sumie dobry.

Tymczasem z kolei Joël wsadził właśnie ostrze swej łopatki pod ciężki kamień. I nacisnął. Dwa czarne ślimaki.

Podał jednego Citroënowi, który obejrzał go z zainteresowaniem i podał Noëlowi. Tymczasem Joël degustował swojego.

– Nie nadzwyczajny – powiedział. – Coś, jakby tapioka.

– Tak – przyznał Citroën – ale niebieskie są dobre. Jak ananas.

– Naprawdę? – zapytał Joël.

– A potem się lata – dodał Noël.

– Nie lata się od razu – rzekł Citroën. – Najpierw trzeba popracować.

– Można by najpierw popracować – zaproponował Noël. – A potem, jeśli znajdziemy niebieskie, będzie można mimo wszystko latać od razu.

– Och! – zawołał Joël, który w tym czasie kopał – znalazłem piękne, nowiutkie ziarenko.

– Pokaż – powiedział Citroën.

Było to ziarno prawie tak duże jak orzech.

– Trzeba na nie napluć pięć razy, to urośnie – rzekł Citroën.

– Jesteś pewien? – zapytał Joël.

– Jasne – odparł Citroën – ale trzeba je położyć na świeżym liściu. Joël, idź poszukać takiego.

Z ziarna wyrosło małe drzewko o różowych liściach. Pośród gałęzi z cieniutkiej, srebrnej nitki fruwały śpiewające ptaki. Największy z nich był dokładnie tej samej wielkości co paznokieć na małym palcu Joëla.

## XI

*347 lipcopada*

„Minęło już sześć lat, trzy dni i dwie godziny, odkąd zaszyłem się w tym cholernym kraju” – rzekł do siebie Zmar patrząc na własne odbicie w lustrze.

Jego broda utrzymywała teraz średnią długość.

Zmar miał właśnie wyjść, kiedy na korytarzu minął Klementynę. Nie widywał już jej wcale. Od miesiący. Dni upływały w sposób tak nieprzerwany i ulotny, że stracił pojęcie o ich ilości. Przytrzymała go.

– Dokąd pan tak sobie wędruje?

– Jak zwykle – odrzekł Zmar. – Idę się spotkać z moim starym przyjacielem Głorią.

– Nadal go pan psychoanalizuje? – zapytała Klementyna.

– Hmm... tak – rzekł Zmar.

– Długa sprawa.

– Analiza musi być totalna.

– Głowa się panu powiększa – zauważyła Klementyna.

Odsunął się nieco, gdyż mówiła do niego z bardzo niewielkiej odległości, on zaś wyczuł w jej oddechu niepodważalny odór ściervia.

– Możliwe – powiedział Zmar. – W każdym razie on staje się coraz bardziej przezroczysty i zaczynam się tym martwić.

– Nie wydaje się, by czyniło to pana szczęśliwym – stwierdziła Klementyna. – Dość długo szukał pan obiektu!

– Wszystkie moje obiekty wywijały się jeden po drugim – powiedział Zmar. – Musiałem się spuścić na Głorię, bo został tylko on. Lecz wyznam pani, że jego mentalna zawartość nie jest nazbyt odpowiednia, by zachwycić osobę ją przejmującą.

– Daleko pan zaszedł? – zapytała Klementyna.

– Słucham?

– Czy pańska psychoanaliza jest bardzo zaawansowana?

– Mój Boże, nieźle – rzekł Zmar. – W gruncie rzeczy widzę z niepokojem, że zbliżam się do chwili, gdy rozpocznę sondaż najdelikatniejszych szczegółów. Lecz wszystko to jest nieciekawe. A co się dzieje z panią? Nie widać już pani przy posiłkach. Ani w południe, ani wieczorem.

– Jadam w moim pokoju – odrzekła Klementyna z zadowoleniem w głosie.

– Aha! Dobrze – powiedział Zmar.

Przyjrzał się sylwetce młodej kobiety.

– Wygląda na to, że nieźle to pani służy – rzekł po prostu.

– Jadam tylko tyle ile powinnam – powiedziała Klementyna.

Zmar desperacko usiłował podtrzymać rozmowę.

– A morale w porządku? – zapytał banalnie.

– Trudno powiedzieć. I tak i nie.

– Co nie gra?

– Po prawdzie – wyjaśniła – boję się.

– Czego?

– Boję się o moje dzieci. Permanentnie. Może im się stać nie wiadomo co. A ja to sobie wyobrażam. Och! Najprostsze sprawy. Nie łamię sobie głowy nad rzeczami niemożliwymi lub szalonymi pomysłami, nie, lecz pełna lista tego, co mogłoby się im przydarzyć, wystarczy, by mnie przyprawić o zaleństwo. I w żaden sposób nie mogę się powstrzymać przed myśleniem o tym. Oczywiście, nawet nie biorę pod uwagę ryzyka, na jakie mogłyby się narażać poza ogrodem; całe szczęście, do tej pory nie przyszło im do głowy, by z niego wyjść. Lecz na razie unikam rozważań idących w tym kierunku, bo przyprawia mnie to o zawrót głowy.

– Ależ niczym nie ryzykują – stwierdził Zmar. – Dzieci są mniej więcej świadome tego, co jest dla nich dobre i wcale nie za często pakują się w tarapaty.

– Tak pan sądzi?

– Jestem tego pewien – powiedział Zmar. – W przeciwnym razie nie byłoby nas tu, ani pani, ani mnie.

– To właściwie prawda – rzekła Klementyna. – Lecz to są dzieci tak różne od innych.

– Tak, tak – powiedział Zmar.

– I tak bardzo je kocham. Wydaje mi się, że kocham je do tego stopnia, że pomyślałam o wszystkim, co mogłoby im się przydarzyć w tym domu i w ogrodzie, i spędza mi to sen z powiek. Nie może pan sobie nawet wyobrazić, jaką to dało ilość wypadków. Niech pan zrozumie, jakie to ciężkie doświadczenie dla matki, która kocha swoje dzieci tak jak ja. Lecz w domu może się zdarzyć tyle rzeczy, a ja nie mogę przez cały czas siedzieć im na karku i pilnować.

– A bona?

– Ona jest głupia – stwierdziła Klementyna. – Przy niej są w większym niebezpieczeństwie niż same. Brak jej jakiegokolwiek wrażliwości. Niezdolna jest do najmniejszej nawet inicjatywy. Niechby dzieci zaczęły kopać nieco głębiej swym łopatkami w ogrodzie, niechby napotkały szyb naftowy, niechby nafta wytrysnęła i zatopiła nas wszystkich, to ona nie wiedziałaby co robić. W jakiz lęk mnie to może wpędzić! Ach! Jak ja je kocham!

– Faktycznie – powiedział Zmar. – Stwierdzam, że nie zaniedbuje pani niczego w swych przewidywaniach.

– Jest jeszcze inna rzecz, która mnie niepokoi – rzekła Klementyna. Ich edukacja.

Drzę na myśl o wysyłaniu ich do szkoły na wieś. Oczywiście nie byłoby mowy, by miały tam chodzić same. Lecz nie mogę pozwolić, by towarzyszyła im ta dziewczyna. Zdarzy się jakiś wypadek. Będę chodziła sama, pan mnie zastąpi od czasu do czasu, jeśli mi pan obieca, że będzie pan bardzo uważał. Lecz nie sądzę, że będę musiała chodzić sama. Niech pan zauważy, na razie nie należy się zbyt przejmować ich wykształceniem, w końcu są jeszcze bardzo młodzi; sama myśl o ich wyjściu z ogrodu doprowadza mnie do takiego szału, że nie udało mi się jeszcze wyobrazić sobie wszelkich ryzyk, jakie mogłoby to za sobą pociągnąć.

– Należy sprowadzić nauczyciela do domu – stwierdził Zmar.

– Również o tym myślałam – odpowiedziała Klementyna – lecz muszę panu wyznać, że jestem zazdrosna. To głupie i jednocześnie bardzo proste, lecz nie mogłabym znieść, jak przywiązują się do kogokolwiek poza mną. Otóż jeśli to będzie dobry nauczyciel, z pewnością przywiążą się do niego; jeśli będzie zły, to wcale mi nie zależy na tym, by moje dzieci dostały się w jego ręce. Tak czy inaczej, nie mam już zbyt wielkiego zaufania do szkoły, lecz przynajmniej jest tam jakiś wychowawca; tymczasem zaś problem nauczyciela domowego wydaje się praktycznie nierozwiązywalny.

– Proboszcz mógłby być dość tradycyjnym nauczycielem... – zauważył Zmar.

– Nie jestem zbyt religijna i nie widzę powodów, dla których miałabym pragnąć, by takimi stały się moje dzieci.

– Nie wydaje mi się, by przy tym księdzu groziło im jakieś większe ryzyko – rzekł Zmar. – Ma na temat religii raczej zdrowe koncepcje i wydaje się, że nie wzbudza nawet minimum powołania.

– Proboszcz nie będzie chciał sobie zawracać głowy – ucięła Klementyna – i problem nadal pozostaje ten sam. Będą musiały chodzić do wsi.

– Lecz w sumie – powiedział Zmar – jak się tak dobrze zastanowić, to tą drogą nigdy nie jeżdżą samochody. Albo tak niewiele.

– Właśnie – odparła Klementyna. – Jeździ ich tak mało, że człowiek przestaje być nieufny i kiedy przypadkowo jakiś przejeżdża, o ile to bardziej niebezpieczne. Drzę na samą myśl o tym.

– Mówi pani jak święty Delly – rzekł Zmar.

– Niech pan przestanie urządzać sobie ze mnie kpiny – powiedziała Klementyna. – Nie, naprawdę jedyne rozwiązanie, jakie widzę, to że będę im towarzyszyć tam i z powrotem. Co pan chce, kiedy kocha się dzieci, trzeba się poświęcać.

– Aż tak bardzo pani się nimi nie przejmowała, pozostawiając je bez jedzenia, żeby samej wspinać się po skałach – zauważył Zmar.

– Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek coś takiego zrobiła – stwierdziła Klementyna. – A jeśli to zrobiłam, to musiałam być chora. Tak czy inaczej to nieładnie

z pańskiej strony, że pan mi to mówi. Wie pan, że chodzi o okres, kiedy Angel był tu jeszcze, a sama jego obecność wystarczała, by mnie wyprowadzić z równowagi. Lecz teraz wszystko się zmieniło i tylko na mnie spada całkowita odpowiedzialność za ich wykształcenie.

– Nie obawia się pani, że nazbyt je od siebie uzależnia? – zapytał psychiatra lekko zawstydzony.

– Cóż bardziej naturalnego? Te dzieci są dla mnie wszystkim, to jedyna racja mej egzystencji, słuszne jest więc, by również oni przyzwyczaili się do polegania na mnie we wszelkich okolicznościach.

– Lecz mimo wszystko – rzekł Zmar – wydaje mi się, że wyolbrzymia pani niebezpieczeństwo... gdyż w tym momencie może je pani dostrzec wszędzie; proszę, na przykład... dziwię się, że pozwala im pani posługiwać się papierem, papierem mogą się zadrasnąć i ktoś to wie, przypuśćmy, że kobieta, która pakowała rolki, po prostu otruła przy pomocy arseniku całą swoją rodzinę i po przygotowaniu stosownej dawki posłużyła się tym papierem wycierając ręce i rolka może być zakażona i niebezpieczna... przy pierwszym kontakcie jedno z pani dzieci może postradać życie... powinna im pani wylizywać tyłki...

Zastanawiała się przez chwilę.

– Wie pan... – powiedziała. – Zwierzęta robią to swoim małym... być może dobra matka powinna tak robić...

Zmar popatrzył na nią.

– Sądzę, że pani naprawdę je kocha – powiedział bardzo poważnym tonem. – I w gruncie rzeczy, kiedy się tak dobrze zastanowić, to ta historia z arsenikiem, nie wydaje się tak całkiem niemożliwa.

– Od tego można oszaleć – powiedziała Klementyna zdruzgotana.

Zaczęła płakać.

– Nie wiemco robić... nie wiemco robić.

– Proszę się uspokoić – powiedział Zmar. – Pomogę pani. Właśnie zdałem sobie sprawę, że to problem dośrodkowy. Oczywiście wszystko może się ułożyć. Niech pani idzie odpocząć.

Poszła.

„Oto prawdziwe uczucie” – rzekł Zmar do siebie ruszając w dalszą drogę.

Zawsze chciał tego doświadczyć. Lecz z braku takich możliwości, mógł cały czas obserwować.

Jednak jakaś niejasna myśl, której nie udawało mu się sformułować, dręczyła go nadal. Niejasna myśl. Myśl niejasna. W każdym razie ciekawym by było poznanie punktu

widzenia dzieci.

Lecz pośpiech nie był potrzebny.

### XIII

*7 października*

Bawili się na trawniku, pod oknami matki. Z coraz większą trudnością tolerowała ich oddalanie się. Na razie patrzyła na nich, śledząc gesty i starając się odgadnąć, co się kryje w ich oczach. Joël wyglądał mniej żywo niż zazwyczaj, włókł się, jedynie naśladował innych. W pewnym momencie podniósł się, pomacał majteczki i popatrzył na braci. Zaczęli tańczyć wokół niego, jakby powiedział im coś szczególnie śmiesznego. Joël tarł oczy pięściami i płakał, to było widoczne.

Klementyna wyszła z pokoju, zeszła po schodach i w kilka chwil dotarła do trawnika.

– Co ci jest, koteczku?

– Boli brzuch! – zaszlochał Joël.

– Co jadłeś? Ta idiotka znowu ci dała coś niedobrego, mój biedny aniołku.

Joël stał na rozkraczonych nogach, wciągał brzuch i wypinał tyłek.

– Narobiłem w majtki! – ryknął załamany.

Citroën i Noël zrobili pogardliwe miny.

– To dzidziuś! – powiedział Citroën. – Jeszcze robi w majtki!

– Ale dzidziuś! – dodał Noël.

– No, no! – zawołała Klementyna. – Bądźcie dla niego mili! To nie jego wina. Chodź, mój kochany, chodź, założę ci piękne, czyste majteczki i dostaniesz dużą łyżkę eliksiru uśmierającego tve cierpienia.

Citroëna i Noëla ugodziła zazdrość i zdziwienie.

Joël biegł za Klementyną kłusem, całkiem już pocieszony.

– To obrzydliwe – stwierdził Citroën. – Robi w majtki i jeszcze dostaje liksiiry odśnieżające.

– Tak – przyznał Noël. – Ja też chcę.

– Spróbuję się natężyć – powiedział Citroën.

– Ja też – rzekł Noël.

Natężali się ze wszystkich sił, z posiniałymi policzkami, ale nic to nie dawało.

– Nie mogę – powiedział Citroën. – Tylko troszkę zrobięmsiusiu.

– Trudno – rzekł Noël – nie dostaniemy liksirów. Ale schowamy Joëlowi misia.



– O? – powiedział Citroën zaskoczony, słysząc jak Noël wypowiada tak długie zdanie. – To dobry pomysł, ale zrobimy to tak, żeby nie mógł go odnaleźć.

Czoło Noëla zmarszczyło się boleśnie. Szukał. Zwrócił głowę w prawo i w lewo w poszukiwaniu natchnienia. Citroën nie pozostawał w tyle i też gorączkowo zmuszał do pracy swoje neurony.

– Spójrz! – zawołał. – Tam!

Owo „tam” to była wolna przestrzeń, gdzie bona zawieszała bieliznę na wysoko zaczepionych, żelaznych drutach. U stóp jednego z białych słupków podtrzymujących druty rysowała się sylwetka stołka.

– Schowamy go na drzewie – powiedział Citroën. – Weźmiemy stołek Blanki. Szybko, zanim on nie wróci!

Pobiegli całympędemswych nóg.

– Ale – dyszał Noël – przecież będzie mógł go zdjąć...

– Nie – odparł Citroën. – We dwóch możemy podnieść stołek, ale on sam nie będzie mógł.

– Tak myślisz? – zapytał Noël.

– Zobaczysz – odrzekł Citroën.

Dotarli do stołka. Był o wiele większy niż sądzili, widząc go z oddali.

– Trzeba uważać, żeby go nie przewrócić – powiedział Citroën. – Inaczej nie będziemy mogli go później postawić.

Oddalili się ciągnąc przedmiot z trudem.

– Uj! Ależ ciężkie! – zawołał Noël po dziesięciu metrach.

– Pospiesz się – powiedział Citroën. – Ona zaraz wróci.

## XIV

– O! – powiedziała Klementyna. – W ten sposób będziesz całkiem czysty.

Wrzuciła kawałek bawełny do naczynia. Joël stał przed nią odwrócony plecami. Ona klęcząc skończyła właśnie go czyścić. Zawahała się i rzekła do niego:

– Nachyl się, koteczku.

Joël nachylił się opierając łokcie na udach. Złapała go delikatnie za pośladki, nieco je rozchyliła i zaczęła lizać. Starannie.

– Co robisz, mamusiu? – zapytał zdziwiony Joël.

– Czystczę cię, kochanie – odparła Klementyna przerywając swe zajęcie. – Chcę, żebyś był tak czysty jak kociątko, lub pieseczek.

Nie było to nawet poniżające. I, w gruncie rzeczy, całkiem naturalne. Co za kretyn z tego Zmara! Niezdolny do zrozumienia tego. A to w końcu drobiazg. I przynajmniej, w ten sposób, ona będzie pewna, że więcej nie złapią żadnej choroby. Ponieważ ich kocha, nic z tego, co robi, nie może im zaszkodzić. Nic. Prawdę mówiąc powinna ich obmywać w ten sposób w całości.

Podniosła się i w zamyśleniu wciągnęła Joëlowi majtki. Oto nowe horyzonty.

– Idź do braci, najdroższy – powiedziała.

Joël odszedł biegiem. U podnóża schodów przeciągnął palcem przez majtki między pośladkami, bo było mu tamtrochę mokro. Wzruszył ramionami.

Klementyna wróciła powoli do swego pokoju. W sumie nie było to zbyt smaczne. Mały kawałeczek befsztyka zrobiłby jej dobrze.

Obmywać ich w ten sposób w całości. Tak.

Bo – często to sobie sama mówiła – niebezpiecznie jest brać kąpiel. Chwila nieuwagi. Na przykład odwraca się głowę, schyla, żeby podnieść mydło, które się wysliznęło i umknęło za nogę umywalki, poza zasięg ręki. I w tym momencie w rurach powstaje olbrzymie nadciśnienie, gdyż nagle rozżarzony meteoryt wpada do zbiornika i udaje mu się przeniknąć do głównej rury, nie eksplodując z powodu oszałamiającej prędkości, lecz zaklinowawszy się zaczyna powodować parowanie wody w kanalizacji, a fala uderzeniowa (piękne określenie – fala uderzeniowa) przenosi się z wielką szybkością i oczywiście płynie dużo więcej wody niż przedtem, tak że w czasie, gdy się schylamy, by podnieść mydło – zresztą to zbrodnia, żeby sprzedawać mydło w takiej postaci, jajowate i śliskie, mogące wymknąć się przy łada okazji i ulecieć gdziekolwiek, a nawet wpadając do wody wyrzucić jakiegoś mikroba prosto do nosa dziecka. Lecz oto woda napływa masą, poziom wzrasta, dziecko przerażone połyka, dusi się – może od tego umrzeć – jego biedna, zsiniała twarz – uduszona...

Otarła mokre czoło i zamknęła drzwi szafy niczego z niej nie wyjmując. Do łóżka, do łóżka, natychmiast.

## XV

Lekko obrażony Joël dołączył do braci. Z łopatkami w rękach, kopali i nie zrobili najmniejszej uwagi.

– Myślisz, że znajdziemy niebieskiego? – zapytał Noël Citroëna.

Joël podniósł nos z zainteresowaniem

– Nie – odparł Citroën. – Już ci mówiłem, że one są bardzo rzadkie. Znajduje się jednego na pięćset milionów.

– To bujda – zdecydował Joël i zabrał się z wściekłością do pracy.

– Szkada, że go zjadł – powiedział Citroën. – Inaczej być może także byśmy teraz la-  
tali.

– Na szczęście to jego – rzekł Noël. – Ja bym się bardzo martwił, gdyby to mój odle-  
ciał.

Ostentacyjnie objął swego pluszowego niedźwiadka.

– Mój Pysio! – rzekł z czułością.

Joël z uparcie spuszczonym wzrokiem atakował energicznie małą żyłę żwiru.

Aluzja do misia sprawiła, że aż podskoczyło w nim serce. Gdzie był jego? Nie chciał  
podnieść głowy, lecz oczy zaczęły go lekko szczypać.

– Nie wygląda na zadowolonego – zakpił Noël.

– Liksiry nie były dobre? – zapytał ironicznie Citroën.

Joël nie odpowiedział.

– On jeszcze brzydko pachnie – stwierdził Noël. – Nic dziwnego, że Grusio odle-  
ciał.

Joël wiedział, że jeśli odpowie, będzie miał drżący głos i nie chciał się odezwać.  
Trudno mu było patrzeć na to, co robił, oczy coraz bardziej zachodziły mu mgłą, lecz  
skoncentrował się na kamieniach. I nagle zapomniał o misiu, braciach i wszystkim, co  
go otaczało.

Zachwycający ślimak w kolorze najczystszej błękitu kobaltowego pełzł powolut-  
ku po jednym z kamieni pokrywających dno jego dołka. Patrzył na niego bez tchu.  
Drżącymi palcami schwycił go delikatnie i dyskretnym gestem unióś do ust. Kpiny  
braci ledwo do niego docierały poprzez radosną mgiełkę.

Połknął niebieskiego ślimaka i podniósł się.

– Dobrze wiem, że to wy go schowaliście – powiedział głosem pełnym pewności.

– Nigdy w życiu – zaprzeczył Citroën. – Włazł tam na górę całkiem sam, bo nie chciał  
być z tatusiem, który tak brzydko pachnie.

– Mnie tam wszystko jedno – powiedział Joël. – Idę go szukać.

Wkrótce odkrył stołek o kilka kroków od drzewa i samo drzewo, gdzie Gruszuś wy-  
godnie ulokowany pomiędzy dwiema gałęziami spokojnie konwersował z dzięciołem.

Teraz trzeba było pofrunąć. Zdecydowawszy się rozłożył ramiona i poruszył rękami.  
Citroën tak powiedział. Gdy jego pięty przemknęły tuż przy samym nosie Noëla, ten  
złapał za ramię Citroëna.

– Znalazł jednego... – szepnął.

– Dobrze – powiedział Citroën. – To dowodzi, jak widzisz, że miałem rację.

Dzięcioł ani drgnął, widząc nadlatującego Joëla, który rozsiadł się wygodnie obok

niedźwiadka i zawołał swoich braci.

– No jak, idziecie? – zaproponował kpiąco.

– Nie – odparł Citroën – to mało zabawne.

– Owszem, to jest zabawne – powiedział Joël. – Hę? – zwrócił się do dziecięcia.

– To bardzo zabawne – potwierdził dziecięć. – Wiecie, tych niebieskich ślimaków jest pełno w kępie irysów.

– Och! – zawołał Citroën – tak czy inaczej znalazłbym je. W końcu zawsze można je pomalować farbą na niebiesko...

Udał się w stronę kępy irysów, a za nim Noël. Joël dogonił ich po drodze. Zostawił Gruszusia na rozwidleniu drzewa.

– Zjemy ich dużo – powiedział. – W ten sposób będziemy mogli polecieć bardzo wysoko.

– Jeden wystarczy – rzekł Citroën.

Gdy Klementyna wyszła, spostrzegła stołek na trawniku. Podbiegła i przyjrzała się z bliska. Zobaczyła drzewo. A na drzewie wygodnie rozpartego Gruszusia.

Podniósłszy rękę do serca rzuciła się do ogrodu, wielkim głosem wzywając swoje dzieci.

## XVI

*8 października*

Ledwo śmiał się pani sprzeciwić – powiedział Zmar. – Lecz nie spieszymy się z niczym.

– To jedyne rozwiązanie – stwierdziła Klementyna. – Można odwrócić ten problem w dowolną stronę. To by się nie zdarzyło, gdyby nie było tego drzewa.

– A czy nie byłaby to raczej wina stołka? – zasugerował Zmar.

– Oczywiście, ona nigdy nie powinna była tak pozostawić tego stołka, ale to już całkiem inna historia. I zostanie ukarana, tak jak na to zasługuje. Lecz rozumie pan chyba dobrze, że bez drzewa Citroënowi i Noëlowi nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby umieścić misia poza zasięgiem Joëla? To drzewo jest przyczyną wszystkiego. Zresztą, niech pan pomyśli, że mógł próbować wdrapać się na nie bezpośrednio, żeby szukać swojego niedźwiadka, biedaczek.

– Jednak – rzekł Zmar – niektórzy uważają, że dzieciom służy wspinanie się po drzewach.

– Ale nie moim dzieciom! – krzyknęła Klementyna. – Z drzewami może się wydarzyć tyle rzeczy. Nigdy nie wiadomo. Termyty podgryzają korzenie i nagle drzewo przewraca

się na pana, albo odłamuje się martwa gałąź i pana ogłusza, albo piorun w nie trafia, zapala się, wiatr podsycy ogień, unosi płonące strzępy aż do pokoju dzieci i one umierają spalone żywcem!... Nie, to zbyt wielkie niebezpieczeństwo zostawić drzewa w ogrodzie. Toteż proszę, by zechciał pan wziąć na siebie pójście do wsi i poproszenie ludzi, żeby przyszli wyciąć je wszystkie. Będą mogli zabrać połowę. Resztę zatrzymam do ogrzewania.

– Jakich ludzi? – zapytał Zmar.

– Och! Nie wiem – wycinaczy, drwali... drwali, właśnie. Domagam się od pana, by pan poprosił o przysłanie kilku drwali. To bardzo trudne?

– Och! Nie – rzekł Zmar. – Już idę. Nie można niczego zaniedbać.

Wstał. I poszedł.

## XVII

Ludzie przybyli po południu. Mieli ze sobą mnóstwo żelaznych instrumentów, igły, haki, piecyki. Zmar widział, jak wchodzą: wracał ze spaceru i usunął się, by ich przepuścić. Było ich pięciu, poza tym przyprowadzili dwóch czeladników. Pierwszy miał dwanaście lat, był wątyły i rachityczny, drugi zaś, nieco starszy, nosił czarną przepaskę na lewymoku i miał komicznie wykręconą nogę.

Jeden z mężczyzn dał znak Zmarowi; to właśnie z nim Zmar przedyskutował koszt całego przedsięwzięcia; ostatecznie ustalili przyjęcie kombinacji zaproponowanej przez Klementynę: połowa drzew dla drwali, druga połowa dla domu. Koszty przycinania drewna miały być policzone dodatkowo, gdyby Klementyna pragnęła, by je pocięto i zwieziono.

Zmar patrzył ze ściśniętym sercem. Nie przywiązując żadnej wartości uczuciowej do drzew, jak przystało na osobnika zrodzonego jako dorosły pozbawiony wspomnień, otaczał je szacunkiem za ich prawdopodobnie funkcjonalne piękno i anarchiczną jednorodność. Czuł się z nimi dostatecznie intymnie związany, by nie odczuwać potrzeby wspólnych rozmów, bądź pisania dla nich ód, lecz lubił zmienne, słoneczne refleksy na ich werniksoowanych liściach, puzzle cieni powstałych wskutek gry światła i liści, lekkie, żywe szmer gałęzi i zapach ich parowania wieczorem, po gorącym dniu. Lubiał spiczaste jęzory dracen, członowate pnie wielkich, krępych palm, gładkie i chłodne członki eukaliptusów podobnych do wysokich, niezgrabnych dziewcząt, które nazbyt szybko urosły i które niezręcznie stroją się w bezwartościowe klejnoty z pozieleniałej miedzi, po wylaniu na swe głowy flaszki perfum mamusi. Podziwiał sosny, pozornie surowe, lecz gotowe do wydzielenia przy najmniejszej pieszczocie nasienia z wonnej żywnicy, kochał również jednakowo poskręcane dęby, jak i dęby potężne i rozczochrane. Wszystkie drzewa. Wszystkie miały własną osobowość, własne obyczaje, własne ma-

nie, lecz wszystkie były sympatyczne. Jednak zaskakująca miłość macierzyńska Klementyny usprawiedliwiała ich poświecenie.

Mężczyźni zatrzymali się na środku trawnika i rozłożyli swe narzędzia. Dwóch spośród nich złapało za motyki i zaczęło drążyć, podczas gdy czeladnicy pochwycając wielkie szufle uprzętały rozpulchnioną ziemię. Wykop poszerzał się błyskawicznie. Zmar zawrócił i przyglądał się tym poczynaniom z ostrożnością. Czelnicy sypali ziemię na kupę na krawędzi rowu i deptali energicznie, chcąc ją ubić na kształt grubego i niskiego muru.

Kiedy robotnicy stwierdzili, że dół jest wystarczająco głęboki, przestali machać motykami i wyszli. Ruchy mieli powolne, a ich brunatne, umazane ziemią ubrania sprawiały, że byli podobni do wielkich chrząszczy zakopujących własną progeniturę. Czelnicy zaś nadal usuwali ziemię. I ubijali ją nawiedzeni i spoceni. Każdy otrzymywał okresowego klapsa w ucho tytułem zachęty. Tymczasem trzej pozostali robotnicy, udawszy się uprzednio w stronę bramy, powrócili ciągnąc dwukołowy wózek ręczny, na którym leżała sterta okrągłaków długości jednego metra. Zatrzymali prymitywny wehikuł tuż przy wykopie. Zaczęli rozkładać okrągłaki w poprzek, na podstawach z ubitej ziemi, które przed chwilą przygotowali czelnicy. Nałożyli je starannie, tak, by do siebie przylegały, wymierzając każdej końcówce solidny cios młota, żeby całość trzymała się kupy. Kiedy schówek był zakończony ponownie pochwytili motyki i zaczęli okrągłaki przykrywać ziemią. Zmar dał znak jednemu z czelników i ten podszedł.

– Co oni robią? – zapytał dając mu, pomimo odczuwanego niesmaku, kopa w pizczel.

– To schówek – powiedział czelnik kryjąc twarz i popędził, by dołączyć do towarzyszy, którzy nie zapomnieli również go obdzielić.

Tego dnia nie było słońca i ołowiane niebo lśniło trupiosinym, nieprzyjemnym blaskiem. Zmar odczuwał lekki chłód, lecz chciał zobaczyć.

Schówek wyglądał na skończony. Jeden po drugim pięciu mężczyzn weszło na łagodnie opadającą rampę wykonaną na jednym końcu wykopu. Mieścili się wszyscy. Czelnicy nawet nie próbowali za nimi podążyć wiedząc zawczasu, jaki byłby wynik tego rodzaju próby.

Mężczyźni wyszli. Pobrali z kupy narzędzi haki i łomy. Dwaj czelnicy uwijali się przy piecykach dmuchając w żar ze wszystkich sił. Na polecenie szefa ekipy pośpiesznie unieśli ciężkie naczynia z rozpalonej blachy i poszli za mężczyznami w stronę pierwszego drzewa. Zmar czuł coraz większy niepokój. To mu przypominało dzień, kiedy ukrzyżowano na drzwiach rozwiązłego ogiera.

U stóp wysokiego dwunastometrowego daktylowca postawiono pierwszy piecyk i każdy wsunął tam po jednym narzędziem. Drugi został ustawiony w ten sam sposób

pod sąsiednim eukaliptusem. Czeladnicy zabrali się do dmuchania na żar, tym razem przy pomocy wielkich, skórzanych miechów, na które wskakiwali obiema nogami. Tymczasem szef ekipy ostrożnie przykładając ucho do pnia daktylowca, to tu, to tam. Nagle zatrzymał się i zrobił czerwony znak na korze. Najbardziej krępy spośród czterech drwali wyciągnął z ognia swój hak; był to raczej grot strzały niż prawdziwy hak, ostry szpic, którego jasnoczerwone ząbki dymiły w gęstym powietrzu. Stał mocno na nogach, wziął zamach i zdecydowanym gestem wbił swój harpun w gładki pień, dokładnie w sam środek czerwonego znaku. Czeladnicy pędem zabierali piecyk, a jeden z jego towarzyszy już powtarzał ten sam gest przy eukaliptusie. Potem obaj harpunnicy używając całej szybkości swych nóg dopadli do schowka i zniknęli w nim. Czeladnicy skulili się przy wejściu, koło piecyków.

Kępa liści daktylowca zaczęła drżeć, najpierw niepostrzeżenie, potem silniej i Zmar zacisnął zęby. Rozlegała się skarga tak ostra i przenikliwa, że omal nie zatkał sobie uszu. Pień daktylowca kiwał się, a przy każdym ruchu rytm krzyku ulegał przyspieszeniu. Ziemia u stóp daktylowca pękła i otworzyła się. Jakaś niemożliwa nuta świdrowała powietrze, rozrywała bębunki, rezonowała w całym ogrodzie i zdawała się odbijać od niskiego sufitu chmur. Nagle drzewo oderwało się od ziemi, a długi, wykrzywiony pień padł w kierunku schowka. Teraz podskakiwał i tańczył po ziemi zbliżając się powoli do wykopu, nadal wydając owo nieznośne wycie. Kilka sekund później Zmar poczuł, że ziemia drży po raz drugi. Tym razem przewracał się eukaliptus. On nie krzyczał; dyszał jak oszalały miech kowalski, a jego srebrzyste gałęzie skręcały się wokół niego, głęboko orały ziemię usiłując osiągnąć wykopu. W tym momencie daktylowiec dotarł do dachu wykonanego z okrągłaków i zaczął go grzmocić, podrygując i drżąc gwałtownie; lecz już mało natężenie krzyku, a jego rytm zwalniał, zwalniał. Eukaliptus, bardziej delikatny przestał ruszać się pierwszy, jedynie jego liście w kształcie ostrzy sztyletu podrygiwały jeszcze trochę. Mężczyźni wyszli z wykopu. Daktylowiec wykonywał ostatnie podrygi, lecz mężczyzna, którego jeszcze usiłował dopaść, uskoczył zwinnie i zadał gwałtowny cios siekierą. Wszystko zamilkło. Jedynie długie dreszcze przebiegały po szarej kolumnie. Nim się to skończyło drwale ruszyli ku sąsiednim drzewom.

Zmar z nogami przyrośniętymi do ziemi, z głową przepełnioną przerażeniem i zgiełkiem, patrzył na nich martwym wzrokiem. Kiedy ujrzał jak harpun po raz trzeci wbija się w delikatne drzewo, nie mógł tego ścierpieć, odwrócił się i uciekł w stronę urwiska. Biegł, biegł, a powietrze wibowało wokół niego od dochodzących z miejsca mąsakryków wściekłości i bólu.

## XVIII

11 października

Teraz była już tylko cisza. Wszystkie drzewa spoczywały korzeniami ku górze, a olbrzymie leje dziurawiły ziemię, jak po bombardowaniu wykonanym od wewnątrz. Wielkie, opróżnione ropnie, zaschłe, smutne. Pięciu mężczyzn wróciło do wsi, zaś dwaj czeladnicy mieli pociąć trupy na bierwiona, a rezultat sekcji ułożyć w sągi.

Zmar patrzył na całą tę katastrofę. Pozostało jedynie kilka krzewów i niskie zarośla. Nie było już nic między oczami a niebem, nagle dziwnie nagim i pozbawionym cieni. Po prawej stronie słychać było brzęk sierpa – przeszedł młodszy z dwóch czeladników ciągnąc za sobą długą i giętką, dwuręczną piłę.

Zmar westchnął i powrócił do domu. Wszedł po schodach. Na pierwszym piętrze skręcił w stronę pokoju dzieci. Klementyna szydełkowała na siedząco, dotrzymując im towarzystwa. W głębi pokoju Noël, Joël i Citroën oglądali książki z obrazkami ssąc cukierki. Torba z cukierkami leżała pomiędzy nimi.

Zmar wszedł.

– Koniec – powiedział. – Wszystkie ścięte.

– Ach! Tym lepiej – odrzekła Klementyna. – O ileż bardziej będę spokojna.

– Aż tyle pani zrobiła? Pomimo tego hałasu? – zapytał Zmar.

– Wcale nie zwróciłam uwagi. Sądzę, że to normalne, że drzewa hałasują padając.

– Oczywiście... – rzekł Zmar.

Spojrzał na dzieci.

– Pilnuje ich pani? Już od trzech dni nie wychodzą. Już niczym nie ryzykują, wie pani!

– Czy ludzie już nie pracują? – zapytała Klementyna.

– Zostało tylko pocięcie drewna – odparł Zmar. – Lecz jeśli się pani o nich boi, to ja ich będę pilnował. Sądzę, że trzeba pozwolić imłyknąć trochę świeżego powietrza.

– Och tak! – zawołał Citroën. – Przejdziemy się z tobą!

– Naprzód! – dodał Noël.

– Niech pan bardzo uważa! – poleciła Klementyna. – Proszę ich nie spuszczać z oka nawet na sekundę. Umarłabym ze zmartwienia myśląc, że pan nad nimi nie czuwa.

Zmar opuścił pokój; dzieciaki podskakiwały tuż przed nim. Wszyscy czterej zeszli biegiem po schodach.

– Proszę uważać, żeby nie wpadli w dziury! – krzyknęła jeszcze Klementyna. – I niech się nie bawią narzędziami!

– Tak, tak! – odrzyknął Zmar będąc w połowie drogi.

Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, Noël i Joël pogalopowali w stronę miejsca, skąd dochodził brzęk sierpa. Zmar podążył za nimi bez pośpiechu, w towarzystwie Citroëna.



Młodszy z czeladników, ten który miał około dziesięciu lat, usuwał gałęzie z sosny. Stał wznosiła się i opadała, po każdym uderzeniu tryskały delikatne wióry, zaś żywica wypełniała powietrze swym przenikliwym zapachem. Joël znalazł sobie wygodny punkt obserwacyjny i stał zafascynowany. Noël był tuż koło niego, lekko z tyłu.

– Jak się nazywasz? – zapytał Noël po chwili.

Czeladnik uniósł swą mizerną twarzyczkę.

– Nie wiem – odrzekł. – Może Jasio.

– Jasio! – powtórzył Noël.

– Ja się nazywam Joël – powiedział Joël – a mój brat, Noël.

Jasio nie odpowiedział. Sierp opadał nadal ze smutną systematycznością.

– Co robisz, Jasiu? – zapytał nadchodzący Citroën.

– To – powiedział Jasio.

Noël podniósł jeden z wiórów i powąchał go.

– To musi być zabawne – powiedział. – Zawsze to robisz?

– Nie – odrzekł Jasio.

– Popatrz – rzekł Citroën. – Czy umiesz pluć równie daleko?

Jasio popatrzył beznamiętnie. Metr pięćdziesiąt. Samspróbował i osiągnął podwójną odległość.

– Och! – zawołał Noël.

Citroën szczerze podziwiał.

– Plujesz okrutnie daleko – powiedział pełen szacunku.

– Mój brat pluje cztery razy dalej – powiedział Jasio, który wcale nie był przyzwyczajony do tego, by go doceniano i chciał skierować te kłopotliwe pochwały na kogoś bardziej godnego.

– No cóż – westchnął Citroën. – On musi również pluć okrutnie daleko!

Gałąź trzymała się już tylko na kilku nitkach. Po następnym uderzeniu oderwała się, a elastyczność gałązek spowodowała, że wyprostowała się gwałtownie i przewaliła na bok. Jasio odsunął ją ręką.

– Uwaga! – zawołał.

– Ależ jesteś silny! – zauważył Noël.

– Och! – powiedział Jasio. – To nic wielkiego. Mój brat jest jeszcze silniejszy.

Jednak następną gałąź zaatakował z niejaką emfazą, co sprawiło, że w powietrze wystrzeliły grube drzazgi.

– Popatrz na to – rzekł Citroën do Joëla.

– Odciął ją prawie jednym uderzeniem – stwierdził Noël.

– Tak – powiedział Citroën.

– Prawie – uściślił Noël. – Jednak nie całkiem jednym uderzeniem.

– Odciąłbym ją jednym uderzeniem, gdybym chciał – rzekł Jasio.

– Wierzę – powiedział Citroën. – Czy zrąbałeś już drzewo jednym uderzeniem?

– Mój brat to zrobił – odrzekł Jasio. – Prawdziwe drzewo.

Wyraźnie się ożywił.

– Czy mieszkasz we wsi? – zapytał Citroën.

– Tak – odparł Jasio.

– My mamy ogród – stwierdził Citroën. – To zabawne. Czy we wsi są inni chłopcy równie silni jak ty?

Jasio zawahał się, lecz uczciwość wzięła górę.

– Och! Tak – zawołał. – Na kopy!

– Ale ty – powiedział Noël – masz przynajmniej dziewięć lat?

– Dziesięć – uściślił Jasio.

– Czy sądzisz, że również będę mógł ścinać drzewa, kiedy będę miał dziesięć lat?

– Nie wiem – odrzekł Jasio. – To dość trudne, jeśli się nie umie.

– Czy pożyczysz mi to? – dopytywał się Citroën.

– Co? – rzekł Jasio. – Sierp?

– Tak, sierp – odparł Citroën delektując się tym słowem.

– Spróbuj – powiedział wspaniałomyślnie Jasio. – Ale to ciężkie, wiesz.

Citroën podniósł go z szacunkiem. Jasio skorzystał z tego, żeby sobie obficie napluć w dłoń. Co widząc Citroën oddał mu sierp z pewnym zakłopotaniem.

– Dlaczego plujesz w rękę? – zapytał Noël.

– Wszyscy mężczyźni tak robią – odrzekł Jasio – od tego twardnieją dłonie.

– Sądzisz, że moje dłonie również by stwardniały? – zapytał Citroën. – Może stałyby się twarde jak drewno!...

– Nie wiem – powiedział Jasio.

Ponownie zabrał się do pracy.

– Czy kopałeś już w swoim ogrodzie szukając ślimaków? – zapytał Citroën.

Jasio, zastanawiając się nad odpowiedzią wciągnął powietrze i odkrztusił obfitą, zielonkawą masę na odległość naprawdę oszałamiającą.

– Och! – zawołał Noël. – Widziałeś?

– Tak – odrzekł Citroën.

Zainteresowani usiedli na ziemi.

– Mój brat znalazł już kość nieboszczyka – powiedział Jasio. – Kopiąc.

Słuchali go, lecz bez przekonania. Zmar stojąc przyglądał się dziwnemu kwartetowi. Był nieco bezradny.

## XIX

*27 października*

Obudził się gwałtownie. Ktoś pukał do drzwi. Nim zdołał odpowiedzieć, Klementyna weszła.

– Dzień dobry – powiedziała z nieobecną miną.

Wyglądała na kompletnie oszalałą.

– Co się dzieje? – zapytał Zmar zaintrygowany.

– Nic! – odrzekła Klementyna. – To głupota. Śnił mi się koszmar.

– Znowu jakiś wypadek?

– Nie. Wyszli z ogrodu. To mnie prześladowe.

– Niech pani wraca do łóżka – powiedział Zmar siadając. – Zajmę się tym.

– Czym?

– Niech się pani o to nie troszczy.

Wydawała się nieco uspokojona.

– Chce pan powiedzieć, że może pan coś zrobić dla ich bezpieczeństwa?

– Owszem – odparł Zmar.

Ciągle miał ten niejasny pomysł. Lecz tym razem zasugerował mu on konkretne działanie.

– Niech pani wróci do łóżka – powtórzył. – Ubiorę się. Przyjdę do pani, gdy sprawa będzie załatwiona. Już wstali, jak sędzę?

– Są w ogrodzie – powiedziała Klementyna.

Wyszła i zamknęła drzwi.

## XX

– Nie tak – rzekł Citroën. – Tylko tak.

Rozciągnął się w trawie na brzuchu i przy użyciu niedostrzegalnych ruchów dłoni i nóg uniósł się o trzydzieści centymetrów nad ziemię. Później nagle ruszył napród

i dziesięć centymetrów dalej wykonał mistrzowską pętlę.

– Nie za wysoko – ostrzegł Noël. – Nie wyleć ponad zarośla. Jeszcze by nas ktoś zobaczył.

Teraz z kolei Joël wykonał próbę, lecz zatrzymał się na szczycie swej spirali i zawrócił.

– Ktoś nadchodzi – szepnął cicho powróciwszy na ziemię.

– Któż taki? – zapytał Citroën.

– Wuj Zmar.

– Szukamy kamieni – nakazał brat.

Usiedli wszyscy trzej z łopatkami w dłoniach. Jak przewidzieli, Zmar pojawił się w kilka minut później.

– Dzień dobry wuju Zmarze – powiedział Citroën.

– Dzień dobry wuju – powiedział Joël.

– Dzień dobry – powiedział Noël. – Siadaj z nami.

– Przyszedłem pogadać – rzekł Zmar zajmując miejsce.

– Co mamy ci opowiedzieć? – zapytał Citroën.

– Mój Boże – odrzekł Zmar – jakieś historie i inne takie. Co robiliście?

– Szukamy kamieni – odpowiedział Citroën.

– To bardzo zabawne – zauważył Zmar.

– Bardzo zabawne – rzekł Noël. – Bawimy się w to codziennie.

– Wczoraj idąc do wioski widziałem pełno pięknych kamieni na drodze – powiedział Zmar – lecz oczywiście nie mogłem wam ich przynieść.

– Och! Nic nie szkodzi – stwierdził Joël – tu też jest ich sporo.

– To prawda – przyznał Zmar.

Zapadła cisza.

– Na drodze jest mnóstwo różnych innych rzeczy – zauważył Zmar obojętnie.

– Tak – przyznał Citroën. – Wszędzie jest pełno różnych rzeczy, to prawda. Widać je przez ogrodzenie. Widać całą drogę, aż do zakrętu.

– Ach! Tak – rzekł Zmar. Ale co za zakrętem?

– Och! – zawołał Citroën. – Za zakrętem musi być to samo.

– Nieco dalej jest wieś – rzucił Zmar.

– Z chłopcami takimi jak Jasio – powiedział Citroën.

– Tak.

Citroën wyglądał na lekko zniesmaczonego.

– On pluje sobie w dłoń – zauważył.

– Pracuje – rzekł Zmar.

– Wszyscy, którzy pracują, pluja sobie w dłoń?

– Oczywiście – odrzekł Zmar. – Żeby obie nie zrobiły się lewe.

– A czy bawią się? – zapytał Joël. – Dzieci z wioski.

– Bawią się ze sobą, kiedy jest pora na zabawę. Lecz przede wszystkim pracują, bez tego dostaliby lanie.

– My – powiedział Citroën – bawimy się razem przez cały czas.

– A poza tym mają mszę – rzekł Zmar.

– Co to jest msza? – zapytał Noël.

– Hmm, tego, to jest kupa ludzi w jednej sali, w dużej sali, a potem przychodzi taki pan, proboszcz, w haftowanej szacie i przemawia do ludzi, a ci kamieniami okładają go po łbie.

– Brzydko się wyrażasz – zauważył Joël.

– To wszystko? – zapytał Citroën.

– To zależy – powiedział Zmar. – Na przykład wczoraj po południu proboszcz zorganizował bardzo ładne widowisko. Bił się z zakrystianem na scenie, w bokserskich rękawicach, okładali się pięściami, a pod koniec lali się wszyscy widzowie.

– Ty też?

– Oczywiście.

– A co to jest scena? – zapytał Joël.

– To coś w rodzaju podłogi uniesionej w powietrze tak, żeby wszyscy mogli zobaczyć. Ludzie siedzą na krzesłach dookoła.

Citroën zastanawiał się.

– Czy we wsi robi się coś jeszcze, prócz wzajemnego okładania się? – zapytał dość zaintrygowany.

Zmar wyglądał jakby nie był pewien.

– O rany – powiedział – nie, prawdę mówiąc.

– No cóż – rzekł Citroën – uważam, że dużo lepiej jest w ogrodzie.

Zmar nie wahał się dłużej.

– W sumie – rzekł – nie macie ochoty wychodzić?

– Absolutnie – odparł Citroën – I tak już jesteśmy na dworze. A poza tym nie bijemy się. Mamy co innego do roboty.

– A cóż takiego? – zapytał Zmar.

– Hmm...

Citroën spojrzął na braci.

Szukamy kamieni – podsumował.

I znów zaczęli kopać dając Zmarowi jasno do zrozumienia, że jego obecność raczej im wadzi. Zmar wstał.

– Czy nie przeszkadza wam, że nie ma już drzew? – zapytał przed odejściem.

– Och! – zawołał Citroën. – Były ładne, ale i tak odrosną.

– Ale żeby się powspinać?

Citroën nic nie rzekł. Noël odpowiedział za niego.

– Wspinąć się po drzewach – powiedział – to już nie w naszym wieku.

Zmieszany Zmar odszedł nie odwracając się. Gdyby się był odwrócił, dostrzegłby jak trzy małe postaci jednym susem unoszą się ku niebu i chowają się za chmurkę, by naśmiać się do woli. Pytania dorosłych są naprawdę bez sensu.

## XXI

*28 października*

Zmar wracał szybkim krokiem, z pochylonymi plecami, wąską brodą i oczami wbitymi w ziemię. Reprezentował obecnie znaczny stopień zmętnienia, w związku z czym czuł, iż jest niezwykle materialny. Seanse postępowały naprzód, stały się częstsze; niewątpliwie wkrótce miały się skończyć. Zaniepokojony Zmar zastanawiał się. Jaki może być tego koniec? Na próżno działał i mówił, na próżno wszystko wyciągał z Glorii, mentalnie nie czerpał z tego już żadnych korzyści. Aktualnie posiadał wyłącznie własne wspomnienia i doświadczenia. Nie udało mu się przyswoić tych, które należały do Glorii. W każdym razie nie wszystkie.

„Basta, basta – mówił do siebie. – Natura jest świeża i piękna, choć rok ma się ku końcowi. Miesiąc październików, który wolę w klimacie przesyconym morzem, miesiąc październików pachnący i dojrzały, z czarnymi, twardymi liśćmi i czerwonymi cierniami podobnymi do zasieków, i wszystkie poruszające się chmury, przeciągające się na skraj nieba, i ścierniska w kolorze starego miodu, i wszystko, ależ to jest piękne, ziemia jest pulchna, brunatna i ciepła, martwić się, cóż za szaleństwo, wszystko to się bardzo szybko ułoży. Ach! Ależ długa jest ta droga!”

Lot miękuszek, które niewątpliwie odlatywały na południe skłonił go do uniesienia oczu z powodu uszu. Ciekawy zwyczaj mają te ptaki, śpiewają w pełnej harmonii: ptaki lecące na przedzie basowały, te ze środka podawały tonikę, a pozostałe rozdzielały po równo między siebie dominantę i siódmy stopień gamy diatonicznej, zaś niektóre

odwazyły się na bardziej subtelne, a nawet pomniejszone wzbogacenia dźwięku. Wszystkie zaczynały i kończyły w jednej sekundzie, w regularnych odstępach czasu.

„Obyczaje miękuszek – pomyślał Zmar. – Któż je zbada? Kto potrafi je opisać? Trzeba by sporządzić wielką księgę z powlekanego papieru z kolorowymi akwafortami, które wyszłyby spod płodnego ryłca naszych najlepszych animalistów. Miękuski, miękuski, któż zgłębi wasze obyczaje! Nieszczęsny, kto kiedykolwiek złapał jedną z was, miękuski czarne jak sadza, o czerwonej piersi, o księżycowymoczk, krzyczące cichutko jak małe myszki. Miękuski, które umieracie, gdy tylko dotknie się choćby nawet najlżej waszych nietykalnych piórek, które umieracie z najdrobniejszego powodu, kiedy się na was patrzy zbyt długo, albo patrząc śmieje się, kiedy odwraca się do was plecami, kiedy zdejmuje się kapelusz, kiedy noc każe na siebie czekać, kiedy zmierzch zapada zbyt wcześnie. Subtelne i delikatne miękuski, których serce zajmuje całą wewnętrzną przestrzeń, tam gdzie inne zwierzęta mają banalne organy.”

– Być może inni nie widzą miękuszek w ten sposób co ja – rzekł do siebie Zmar – i być może ja sam nie widzę ich tak, jak to opisuję, w każdym razie jedna rzecz jest pewna: nawet jeśli nie widzi się miękuszek, to powinno się udawać. Poza tym one są tak widoczne, że byłoby śmieszne nie zauważyć ich.

Coraz słabiej postrzegam drogę, to pewne. Bo znam ją zbyt dobrze. A jednak uważamy, że piękne jest przede wszystkim to, co jest nam znane i bliskie – tak przynajmniej powiadają. Ale prawdopodobnie nie ja. Lub być może dlatego, że owa zażyłość pozwala mi dostrzec w tym miejscu coś innego. Pozwala mi dostrzec miękuski. Toteż spróbujmy: uważamy, że piękne jest to, co jest na tyle obojętne, by pozwolić nam dostrzec zamiast tego coś, na co mamy ochotę. Być może źle czynię mówiąc to w pierwszej osobie liczby mnogiej. Wprowadźmy liczbę pojedynczą: uważam... (patrz wyżej).

– He, he – rzekł do siebie Zmar – oto jaki stałem się nagle głęboki i wyrafinowany. Kto by przypuszczał, co, kto by przypuszczał? W sumie ta ostatnia definicja świadczy o anormalnym poczuciu zdrowego rozsądku. Nie ma nic bardziej poetycznego niż zdrowy rozsądek.

Miękuski latały tam i z powrotem, zakręcając w najbardziej nieoczekiwanych momentach, kreśląc na niebie pełne wdzięku figury, pośród których przedłużone istnienie doznań siatkówkowych pozwoliłoby na rozróżnienie kartezyjańskiego trifolium i mnóstwa innych krzywolinijnych drobnostek, w tym także krzywą serdeczną zwaną kardiodą.

Zmar nadal je obserwował. Latały coraz wyżej wznosząc się obszernymi spiralami tak wysoko, że traciły wyraźne kształty.

Teraz były to już tylko zwykłe czarne punkty, rozrzucone w kapryśny sposób, ożywione wspólnym życiem.

Nagle dostrzegł nadlatujące od strony morza trzy nieco większe ptaki, które fruwały

tak szybko, że nie mógł określić ich gatunku. Zrobiwszy sobie daszek z dłoni usiłował sprecyzować swoje wrażenie. Lecz trzy latające zwierzęta już przeleciały. Ujrzał, jak pojawiają się ponownie za masywem odległej skały, kreśląc jakąś niewiarygodną krzywą i unosząc się ku niebu, jedno za drugim, nadal wyglądając równie przerażająco. Ich skrzydła musiały machać tak szybko, że nie dawały się określić – były to trzy wydłużone sylwetki, wrzecionowate, prawie identyczne.

Trzy ptaki pikowały w szyku na miękuszki. Zmar stanął i patrzył. Serce biło mu nieco za szybko – z powodu jakiejś emocji, której nie umiał wyjaśnić. Być może sprytu i wdzięku nowo przybyłych, być może obawy, że zaatakują miękuszki, być może wrażenia planowości, jakie emanowało z tych ściśle synchronicznych ruchów.

Wznosili się pod ostrym kątem po jakiejś wyimaginowanej pochyłości powietrza, a ich prędkość aż zapierała dech w piersiach. „Jaskółki nie mogłyby za nimi nadążyć” – pomyślał Zmar. I musiały to być dość duże ptaki. Niepewność co do odległości, w jakiej ujrzał je po raz pierwszy, nie pozwalała mu na dokonanie nawet przybliżonej oceny ich rozmiarów, lecz odcinały się od nieba w sposób nieskończenie wyraźniejszy niż miękuszki, prawie zagubione teraz na granicy widzialności, jak główki szpilek na szarymaksamicie nieba.

## XXII

*28 października*

„Dni stają się coraz krótsze – mówiła do siebie Klementyna. – Dni stają się coraz krótsze i ludzie zaczynają mówić o zimie i wiośnie. O tej porze roku istnieje nieskończona ilość nowych niebezpieczeństw, nieskończona ilość nowych niebezpieczeństw, które z przerażeniem można już dostrzec w lecie, a których szczegóły dają się rozróżnić i sprecyzować dopiero w chwili, gdy dni stają się coraz krótsze, gdy ulatują liście, gdy ziemię czuć wilgotnym, gorącym psem. Listuty, zimny miesiąc mżawek. Padający deszcz może spowodować mnóstwo szkód w wielu miejscach, może pobruździć pola, zalać bruzdy, bruzdzić wszystkim. Może zamarznąć natychmiast i Citroën złapie obustronne zapalenie płuc, i oto kaszle i pluje krwią, a jego zatroskana matka, u wezgłowia, pochyła się nad biedną, mizerną twarzyczką, na którą aż żal patrzeć, zaś pozbawieni nadzoru pozostali korzystają z tego, by wyjść bez kaloszy i przeziębają się, każdy łapie chorobę innego rodzaju, niemożliwością jest leczenie wszystkich w tym samym czasie, można sobie zedrzczyć nogi biegając od pokoju do pokoju, lecz nawet na kikutach, na kikutach z których wielkie czerwone bąble krwi spływają na zimne płytki, trzeba pędzić od łóżka do łóżka z tacą pełną lekarstw, zarazki z trzech oddzielnych pokoi nagle ulatują i łączą się, a z ich potrójnej kombinacji rodzi się niesłychana hybryda, monstrualny zarazek, widoczny gołym okiem, który ma tę szczególną właściwość, że powoduje wzrost węzłów chłonnych, delikatnych i strasznych, w kształcie miękkich paciorków w oko-



licach stawów leżących dzieci, i oto pękają napięte węzły, a zarazki wysypują się poza rany, tak, właśnie, oto co może przynieść deszcz, szary, paźdzrudniowy deszcz, któremu towarzyszy listutowy wiatr; ach! Teraz wiatr nie może odłamywać drzewom ciężkich gałęzi i rzucać ich na głowy niewinnych. Lecz jeśli wiatr się również zemści, wychłoszcze morze swym brutalnym oddechem i uniosą się, uniosą się mgły na zmoknięte urwisko, do jednego z ich strzępów uczepli się zwierzątko, maleńki skorupiak. Joel patrzy na fale i (och! drobiazg, ledwie muśnięcie) muszelka wpada mu do oka. Szybko wpada, szybko wypada, on przeciera sobie oko rękawem, nic mu nie jest, tylko niedostrzegalne zadrapanie; z dnia na dzień ranka rozszerza się i oko Joela, o Boże, to oko przypomina ścięte bielmo starca, który zbyt długo patrzył w ogień — zaś drugie oko zostaje zaatakowane przez jakąś podstępłą chorobę, on zwraca ku niebu swe matowe spojrzenie; Joel, o Boże, ślepy... a mgła wspina się na urwisko, wspina, zaś ziemia jak cukier pod pianistym płaszczem mięknie, rozpuszcza się i obsypuje, a Citroën i Noël, o Boże, rozmiękła ziemia wciąga ich jak zimna lawa, a ich lekkie dziecięce ciała unoszą się przez chwilę na powierzchni czarnego strumienia i zanurzają się, a ziemia, ach! ziemia zasypuje im usta; krzyczcie, krzyczcie, niech się wszyscy dowiedzą, niech ktoś przyjdzie!...”

Cały dom rozbrzmiał jękiem Klementyny. Lecz pozostał on bez echa, ona zaś popędziła w dół, po schodach, do ogrodu, nawołując dzieci, szlochając i odchodząc od zmysłów. Było tylko bladoszare niebo i odległy szum fal. Oszałała poszła najpierw na urwisko. Potem pomyślała, że być może śpią i popędziła w stronę domu, lecz w połowie drogi powstrzymała ją jakaś myśl i zboczyła w stronę studni, której ciężką, dębową pokrywę dokładnie obejrzała. Potykając się, nie mogąc złapać tchu, ruszyła dalej, wbiegła po schodach, sprawdziła wszystkie pomieszczenia od piwnicy aż po strych i wybiegła. Cały czas nawoływała głosem, który z emocji zaczął się zdzierać. Potem w przypływie jakiejś ostatecznej intuicji rzuciła się do bramy. Była otwarta. Wybiegła na drogę. Pięćdziesiąt metrów dalej napotkała Zmarę powracającego ze wsi. Szedł powoli, z zadartą głową, zanurzony w obserwowaniu ptaków.

Złapała go za poję płaszcza.

— Gdzie oni są? Gdzie oni są?

Zmar aż podskoczył, nie spodziewał się tego bowiem.

— Kto? — zapytał, usiłując przestawić się na Klementynę.

Jego oczy pokłute przez światło sprawiały, że wszystko tańczyło.

— Dzieci! Brama jest otwarta! Kto ją otworzył? I wyszli!

— Ależ skąd, nie wyszli — powiedział Zmar. — Bramę ja otworzyłem, kiedy wyszedłem. A gdyby wyszli, widzielibymich.

— To pan! — dyszała Klementyna. — Nieszczęsny! Tym sposobem, dzięki panu są straceni!

— Ależ oni to mają gdzieś! — zawołał Zmar. — Może ich pani o to sama zapytać, nie mają najmniejszej ochoty na wychodzenie z ogrodu.

— To panu tak powiedzieli! Lecz jeśli pan sądzi, że moje dzieci nie są na tyle inteligentne, żeby pana wykiwać!... Chodź pan, biegnijmy!

— Wszędzie pani patrzyła? — zapytał Zmar łapiąc ją za rękaw.

Zaczęła na nim robić wrażenie.

— Wszędzie! — odrzekła Klementyna szlochając. — Nawet w studni.

— To niedobrze — westchnął Zmar.

Odruchowo podniósł oczy w górę po raz ostatni. Trzy czarne ptaki przestały zabawić się z miękuszkami i pikowały ku ziemi. W ciągu tej ulotnej chwili dostrzegł prawdę. Odrzucił ją w sekundę później — czysta fantazja, szalona myśl — gdzie mogą być? Jednak śledził spojrzeniem ich lot; zniknęły za pochyłością urwiska.

— Wszędzie pani patrzyła? — zapytał Zmar łapiąc ją za rękaw.

Pobiegł pierwszy. Klementyna szlochając dyszała tuż za nim.

Jednak zdołała zatrzasnąć bramę po jej przekroczeniu. Kiedy dotarli do domu, Citroën właśnie schodził po schodach. Klementyna rzuciła się na niego jak dzikie zwierzę. Zmar lekko poruszony patrzył na nią dyskretnie. Klementyna bełkotała jakieś słowa bez związku, całując go i wypytyując.

— Byłem na strychu z Joëlem i Noëlem — wyjaśniło dziecko, kiedy pozwoliła mu mówić. — Oglądaliśmy stare książki.

Teraz z kolei Noël i Joël zeszli po schodach. Cerę mieli zdrową, krew wzburzoną — wlokło się za nimi coś, jakby zapach wolności. Kiedy Noël wsunął szybko do kieszeni strzępek chmury, który jeszcze wystawał, Joël zaśmiał się z roztrzepania brata.

Nie opuściła ich aż do wieczora mnożąc laskocie, lzy i pieszczoty jakby wyrwali się z rąk jakiegoś molocho. Posłała im ich błękitne łódeczka i nie odeszła, nim nie położyli się i nie usnęli. Wtedy weszła na drugie piętro i zapukała do Zmara. Rozmawiała z nim przez kwadrans. Kiedy wróciła do siebie, on nastawił budzik, by zadzwonił skoro świt. Nazajutrz miał pójść do wsi, żeby zawezwać robotników.

## XXIII

67 listutego

— Chodź, zobacz — powiedział Citroën do Joëla.

Pierwszy zareagował na odgłosy dochodzące od strony bramy.

— Nie chce mi się iść — odrzekł Joël. — Mama nie będzie zadowolona i znowu zacnie płakać.

Citroën usiłował podkopać jego postanowienie.

– Niczymnie ryzykujesz – powiedział.

– Owszem. Kiedy ona płacze – rzekł Joël – całuje nas z mokrą twarzą. To obrzydliwe. Takie ciepłe.

– Mnie tam wszystko jedno – rzekł Noël.

– Tak czy inaczej, cóż ona może zrobić? – zapytał Citroën.

– Nie chcę jej sprawiać przykrości – powiedział Joël.

– To nie sprawi jej przykrości – odparł Citroën. – Bawi ją płkanie, branie nas na ręce i całowanie.

Odeszli, Noël i Citroën. Obejmując się za szyję. Joël patrzył na nich. Klementyna zabraniała zbliżać się do robotników w czasie pracy. Jasne.

Lecz na ogół o tej porze ona krząta się po kuchni, a hałas smażenia i stukanie garnków przeszkadza jej w nadstawianiu ucha; i w gruncie rzeczy to nic złego, pójść popatrzeć na robotników, jeśli się z nimi nie rozmawia. Co oni kombinują, Noël i Citroën?

Joël, dla odmiany po lataniu, chcąc dogonić pozostałą dwójkę zaczął biec tak szybko, że na zakręcie alejki wpadł w poślizg i omal się nie wywrócił. Odzyskał równowagę i ruszył dalej. Śmiał się w duchu. Nie proszę, nie umiał już chodzić.

Citroën i Noël wymachując rękami stali obok siebie tam, gdzie w odległości jednego metra powinien był wznosić się ogrodowy mur i wielka, złota brama, Citroën i Noël, lekko zdziwieni, stali twarzą w twarz z pustką.

– Gdzie on jest? – zapytał Noël. – Gdzie jest mur?

– Nie wiem – szepnęła Citroën.

Nic. Jasna pustka. Całkowita nieobecność, gwałtowna i czysta jak cięcie brzytwą, wznosiła się przed nimi. Niebo znajdowało się nieco wyżej. Zaintrygowany Joël podszedł do Noëla.

– Co się stało? – zapytał. – Robotnicy zabrali stary mur?

– Z pewnością – powiedział Noël.

– Nie ma już nic – stwierdził Joël.

– Co to jest? – zapytał Citroën. – Cóż oni zrobili? To nie ma żadnej barwy. Nie jest białe. Nie jest czarne, z czego to jest?

Podszedł bliżej.

– Nie dotykaj! – rzekł Noël. – Nie dotykaj, Citroën.

Citroën zawahał się i wyciągnął rękę, lecz powstrzymał się przed dotknięciem pustki.

– Nie mam śmiałości – powiedział.

– Nic już nie widać w tym miejscu, gdzie przedtem była brama – zauważył Joël. – Przedtem widać było drogę i kawałek pola, pamiętasz. Teraz, kompletna pustka.

– To tak jakby się miało zamknięte oczy – rzekł Citroën. – A jednak mamy otwarte oczy i nie widzimy już nic prócz ogrodu.

– To tak jakby ogród był naszym okiem – powiedział Noël – a tamto, to jakby powieki. Nie jest czarne, nie jest białe, żadnych kolorów, po prostu nic. To mur z niczego.

– Tak – rzekł Citroën – to z pewnością to. Kazała zbudować mur z niczego, żebyśmy nie mogli mieć ochoty na wyjście z ogrodu. Tym sposobem wszystko, co nie jest ogrodem, jest niczymi nie można tam pójść.

– Ale – zapytał Noël – czy nie ma już nic innego? Tylko niebo?

– Namto wystarczy – odparł Citroën.

– Nie wydaje mi się, by już skończyli – zauważył Joël. – Słychać było, jak walili młotem i rozmawiali. Myślałem, że zobaczymy jak pracują. Mnie to nie bawi. Idę do mamusi.

– Może nie skończyli całego muru – rzucił Noël.

– Chodźmy zobaczyć – powiedział Citroën.

Noël i Citroën pozostawiając brata nagle pofrunęli nad ścieżką wiodącą wzdłuż muru – w czasie gdy mur istniał – która teraz stanowiła drogę wokół ich nowego, zamkniętego świata. Lecieli bardzo szybko, tuż nad ziemią, przemykając pod niskimi gałęziami. Kiedy dotarli do urwiska Citroën zatrzymał się nagle. Przed nimi widać było spory fragment dawnego muru z jego kamieniami i pnączami przyozdabiającymi okap zieloną koroną, brzęczącą od owadów.

– Mur! – zawołał Citroën.

– Och! – krzyknął Noël. – Nie widać już górnej części. Powierzchnia powoli zniknęła, jakby za sprawą czarodziejskiej sztuczki.

– Zdejmują jego przednią część – powiedział Citroën. – Właśnie zdejmują ostatni kawałek przedniej części. Już go więcej nie zobaczymy.

– Pójdziemy na drugą stronę – stwierdził Noël – jeśli będziemy chcieli.

– Och! – odrzekł Citroën – nie mamy potrzeby go oglądać. Tak czy inaczej, mamy teraz lepszą zabawę z ptakami.

Noël zamilkł. Zgadzał się z tym, a komentarze nie były potrzebne. Z kolei dolna część muru ustąpiła miejsca pustce. Usłyszeli polecenia szefa ekipy, uderzenia młota, następnie ciszę, jakby z waty.

Na ścieżce rozległy się pospieszne kroki. Citroën odwrócił się. Nadchodziła Klementyna, a tuż za nią Joël.

– Citroën, Noël, chodźcie moje maluszki. Mamusia zrobiła pyszne ciasto na podwie-

czorek. Chodźcie, chodźcie! Ten, który pierwszy mnie pocałuje, dostanie największy kawałek.

Citroën pozostał na ścieżce. Noël puścił do niego oko i rzucił się w ramiona Klementyny udając przerażenie. Przytuliła go do siebie.

– Co ci jest, mój ptaszku? Masz taką smutną minę. Co cię smuci?

– Boję się – szepnął Noël. – Nie ma już muru.

Citroën miał ochotę parsknąć śmiechem. Niezły komediant z tego brata!

Joël z cukierkiem w buzi pocieszał Noëla.

– To nic takiego – powiedział. – Ja się nie boję. To po prostu mur ładniejszy od tamtego, żeby nambyło lepiej w ogrodzie.

– Mój najdroższy! – zawołała Klementyna całując Noëla z pasją. – Sądziś, że mama mogłaby zrobić coś, żeby cię nastraszyć? Dalej, chodźcie grzecznie na podwieczorek.

Uśmiechnęła się do Citroëna. Ujrzał, że jej usta drżą i pokręcił przecząco głową. Kiedy zaczęła płakać, przyglądał jej się z zaciekawieniem. Po czym, wzruszywszy ramionami wreszcie podszedł. Uścisnęła go konwulsyjnie.

– Paskudny! – zawołał Joël. – Znowu sprawiłeś, że mamusia płacze.

Dał mu sójkę w bok.

– Ależ skąd – powiedziała Klementyna.

Głos miała aż wilgotny od łez.

– On nie jest paskudny. Wszyscy jesteście grzeczni i jesteście moimi trzema kurczaczkami. Dalej, dalej, chodźcie zobaczyć piękne ciasteczko. Chodźmy!

Joël puścił się pędem, a za nim Noël. Klementyna ujęła Citroëna za rękę i pociągnęła za sobą. Podązał za nią patrząc na nią dość twardo, nie podobała mu się ta ręka zaciśnięta na jego przegubie; czuł się nieswojo. Łzy nie podobały mu się również. Jakaś litość zmuszała go, by pozostał przy niej, lecz litość ta napawała go wstydem, krępowała, jak w dzień kiedy wszedł bez pukania do pokoju bony i znalazł ją nagą, nad miską, z mnóstwem włosów na brzuchu i czerwonym ręcznikiem w rękę.

## XXIV

79 grudziarca

„Nie ma już więcej drzew – myślała Klementyna. – Nie ma już drzew, a ogrodzenie jest wysokiej jakości. To dwie rzeczy. Dwa drobiazgi, oczywiście, lecz jakże brzemiennie w możliwe konsekwencje. Istotna ilość różnego rodzaju wypadków została obecnie odesłana w dziedzinę ewentualnego niebytu. Są piękni, rosną, dobrze wyglądają. To przez ten wrzątek i tysiąc podjętych środków ostrożności. I w jakiz to sposób mogliby

się czuć źle, skoro całe zło biorę na siebie? Lecz nie należy osłabiać czujności, trzeba kontynuować. Kontynuować. Zostało tyle niebezpieczeństw! Po zlikwidowaniu niebezpieczeństw związanych z wysokością i przestrzenią pozostaje jeszcze ziemia. Ziemia. Zgnilizna, zarazki, brudy, wszystko pochodzi od ziemi. Odizolować ziemię. Połączyć mury podłogą równie dla ryzyka nieprzepuszczalną. To cudowne mury, mury z nieobecności, mury, z którymi nie można się zderzyć, a które ograniczają w idealny sposób. Ograniczają w najczystszej postaci. Analogiczna ziemia. Ziemia anihilująca ziemię. Zostałoby im niebo do patrzenia... a niebo ma tak niewielkie znaczenie. Oczywiście wiele nieszczęść może spaść na nich, nadejść z góry. Lecz nie minimalizując bynajmniej ogromnych niebezpieczeństw pochodzących z nieba, można założyć – i nie uważam, bym była złą matką pozwalając sobie – och! oczywiście tylko teoretycznie – na przyjęcie takiego założenia, że w rosnącym porządku niebezpieczeństw niebo zajmuje ostatnią pozycję. Ale ziemia!

Wyłożyć ogród płytkami. Kafelkami. Może białymi? Lecz odbijające się promienie słoneczne rażące ich biedne oczy; słońce nagle palące jak ogień; przepływa przed nimi przezroczysta chmura, niestety przyjmuje kształt soczewki – coś w rodzaju lupy – i wiązka koncentruje się na ogrodzie, białe kafelki odbijają światło z niewiarygodną mocą, która obejmuje dzieci – ich biedne rączki unoszą się, usiłują sobie zasłonić oczy – lecz oto chwiewają się osłepieni przez nieubłaganą energię – padają, nic już nie widzą... Panie, spraw, by spadł deszcz... Położę czarne kafelki, Boże, czarne kafelki – a przecież czarne kafelki są takie twarde, gdyby stracili równowagę – poślizgnięcie po deszczu, fałszywy ruch – i upadek, oto Noël na ziemi. Niestety, nikt nie widział jak pada; niewidoczne pęknięcie kryje się teraz pod jego pięknymi, delikatnymi włosami – jednak bracia nie oszczędzają go bardziej niż zwykle – pewnego dnia wpada w delirium – wszyscy się zastanawiają – zapomniano, doktor nie wie i nagle, jego czaszka pęka, pęknięcie powiększyło się i jak pokrywka czubek głowy odpada – i wychodzi stamtąd włochate monstrum. Nie! Nie! To nieprawda, nie upadaj, Noëlu... Uwaga!... Gdzie on jest? ... Śpią – tam, obok mnie, śpią. Słyszę jak śpią – w swych małych łóżeczkach... pójdę ich obudzić, uwaga, żadnych hałasów – uwaga!... lecz to nie zdarzyłoby się, gdyby ziemia była miła i miękka, jak kauczukowy chodnik – tego im niewątpliwie trzeba, kauczuku, właśnie, cały ogród wyłożony kauczukiem jak dywanem – ale przecież ogień – płonący kauczuk – kleisty, przywierają do niego ich nogi – dym dusi – dość, już nie chcę, to nieprawda, to niemożliwe – źle zrobiłam szukając czegoś lepszego – jak mur, jak mur, nic, anulować ziemię – tamci muszą przyjść, muszą wrócić, niech połączą mury niewidzialnym dywanem nieobecności – pozostaną w domu, w czasie gdy tamci będą go układać, a gdy to już zostanie skończone, nie będzie więcej niebezpieczeństw – owszem, niebo, myślałam już o tym, lecz przed chwilą stwierdziłam, że najpierw trzeba zabezpieczyć, by nic nie zdarzyło się od strony ziemi...”

Wstała.

„Zmar nie odmówi przywołania ludzi w sprawie ziemi. To głupota, że nie zrobiło się wszystkiego w jednym czasie – lecz nie można pomyśleć o wszystkim na raz – trzeba szukać – szukać cały czas – ukarać się za to, że się nie wiedziało o wszystkim, i usiłować ulepszać, poprawiać bez przerwy – trzeba dla nich skonstruować świat doskonały, czysty, przyjemny, bezpieczny jak wewnątrz białego jajka leżącego na puchowej poduszce.”

## XXV

*80 grudziarca*

Wracając po zamówieniu robotników, Zmar przeszedł koło kościoła, a ponieważ pora była wczesna i miał dużo czasu, postanowił pogawędzić nieco z proboszczem, którego koncepcje dość mu się podobały. Wszedł do obszernej elipsoidy, gdzie królował półmrok w najlepszym guście, powąchał religijną atmosferę z rozkoszą starego hulaki i dotarł do uchylonych drzwi od zakrystii, które pchnął. Trzy uprzednie stuknięcia zasygnalizowały jego nadejście.

– Wejść – powiedział proboszcz.

Skakał przez skakankę, w kałesonach, na środku małego, zagraconego pomieszczenia. Zakrystian podziwiał go z fotela, w garści trzymając szklankę gorzały. Kuśtykanie proboszcza wpływało ujemnie na elegancję jego działań, niemniej jednak wychodził z tego zwycięsko.

– Dzień dobry – powiedział zakrystian.

– Moje uszanowanie, księże proboszczu – rzekł Zmar. – Ponieważ akurat przechodziłem, postanowiłem z tego skorzystać, by księdza pozdrowić.

– To już załatwione – zauważył zakrystian. – Sztakanka?

– W porządku – odrzekł Zmar. – Przyszedłem do wsi po robotników. W domu jest jeszcze parę prac do zrobienia.

– Nadal z tego samego powodu? – zapytał proboszcz.

– Nadal – odparł Zmar. – Myśl, że coś mogłoby się im stać, doprowadza ją do szaleństwa.

– Przecież ona mogłaby również oszaleć na myśl, że nic im nie grozi – zauważył proboszcz.

– Bardzo słuszna uwaga – rzekł Zmar. – Dłatego początkowo uznałem, że wyolbrzymia niebezpieczeństwo. Lecz muszę wyznać, że ten zapal ochronny wzbudza we mnie obecnie niejaki szacunek.

– Cóż za wspaniała miłość! – zawołał proboszcz. – Ten luksus ostrożności! Czy oni chociaż zdają sobie sprawę z tego, co ona dla nich robi?

Zmar nie odpowiedział od razu. Ten aspekt problemu umknął jego uwadze. Zawahał się:

– Tęgo nie wiem..

– Ta kobieta jest święta – stwierdził proboszcz. – A jednak nigdy nie przychodzi na mszę. Niech pan spróbuje to wyjaśnić.

– To niewytłumaczalne – rzekł Zmar. – W gruncie rzeczy, proszę przyznać, że nie ma to żadnego związku. W tym się mieści wytłumaczenie.

– Przyznaję – powiedział proboszcz – przyznaję.

Zamilkli.

– No cóż – rzekł Zmar – chyba sobie pójdę.

– No tak – powiedział proboszcz – chyba pan sobie pójdzie.

– To idę – rzekł Zmar.

Powiedział „do widzenia” i poszedł.

## XXVI

*12 maripca*

Niebo było wykafelkowane żółtawymi, brzydko wyglądającymi chmurami. Panował chłód. W oddali morze zaczęło śpiewać w jakiejś nieprzyjemnej tonacji. Ogród rozciągał się w głuchym blasku przedburzowego słońca. Od czasu ostatniej transformacji nie było już ziemi. Ponad pustkę wystawały jedynie rzadkie krzewy i zarośla, którym udało się uniknąć masakry jaka spotkała drzewa. Przetrwała również nienaruszona żyrowa alejka, przecinająca na dwoje niewidzialność ziemi.

Chmury skrycie zbliżały się do siebie; przy każdym ich zetknięciu słychać było głuchy grzmot i jednocześnie wytryskiwało rude światło. Niebo zdawało się koncentrować ponad urwiskiem. Kiedy stało się jednym ciężkim i brudnym dywanem, zapadła wielka cisza. I słychać było, jak gdzieś poza tą ciszą zrywa się wiatr, początkowo dyskretny, przeskakujący przez gzymsy i kominy, wkrótce bardziej napięty, twardszy, wyrywający ostre bzyknięcia z każdego załomu kamienia, pochylający zatroskane główki roślin, pędzący przed sobą pierwsze strugi wody. Nagle niebo trzasnęło jakby martwy fajans i rozpoczęło się gradobicie; gorzkie ziarna gradu eksplodowały tłukąc o łupkowe płytki na dachu, rozpryskując się w drobny i twardy, kryształowy proch; dom zniknął powoli w kłębach ciemnej pary, grad młócił wściekle alejkę, a w miejscu każdego uderzenia tryskały iskry. Pod wpływem powtarzających się ciosów morze zaczynało wrzeć i kipieć jak czarne mleko.

Kiedy minęło pierwsze zdumienie, Klementyna poszła szukać swoich dzieci. Na szczęście były w swoim pokoju i szybko zgromadziła je wokół siebie, w wielkim li-



ving-roomie na parterze. Na zewnątrz było całkiem ciemno, zaś mroczna mgła zalewająca okna w świetle lamp fosforyzowała nierównomiernie.

„I wystarczyło, żeby tylko byli na zewnątrz – pomyślała – bym odnalazła ich posiekanych przez grad, zmiądzonych przez te jaja czarnych diamentów, udużonych przez nie dający się wdychać suchy pył, który zdradziecko wypełnił ich płuca. Jaka ochrona byłaby wystarczająca? Dach? Zbudować dach nad ogrodem? Nie warto, wystarczy dom, solidniejszy niż jakikolwiek dodatkowy dach – lecz czy w gruncie rzeczy sam dom nie mógłby się zawalić? – a gdyby ten grad trwał godzinami – dniami i tygodniami – czy ciężar martwego pyłu zgromadzonego na dachu nie wystarczyłby na strzaskanie wiązań? Potrzebne by było pomieszczenie ze stali, pomieszczenie niedostępne, skrytka doskonała – trzeba by ich przechowywać w potężnej skrzyni, tak jak przechowuje się zawsze cenne klejnoty, potrzebne są dla nich szkatuły nie ulegające żadnym siłom, niezniszczalne i twarde jak szkielet czasu, trzeba im je tu skonstruować, jutro – już jutro.”

Popatrzyła na trójkę dzieci. Nie troszcząc się o burzę bawiły się spokojne i odprężone.

„Zmar, gdzie on jest? Chcę z nim przedyskutować najlepsze rozwiązanie.”

Zawołała służącą.

– Gdzie jest Zmar?

– Myślę, że w swoim pokoju – odrzekła Białodupska.

– Możesz pójść po niego?

Głośny szum spienionego morza przyprawiał o drętwość uszu. Grad nie ustępował.

Zmar pojawił się w kilka chwil po wyjściu bony.

– Wreszcie – powiedziała Klementyna. – Sądzę, że znalazłam ostateczne rozwiązanie.

Wyłożyła mu rezultat swych przemyśleń.

– Tym sposobem – powiedziała – nie będzie już groziło żadne niebezpieczeństwo. Lecz będę zmuszona jeszcze raz poprosić pana o pomoc.

– Jutro idę do wsi – powiedział. – Przechodząc, powiadomię kowala.

– Zależy mi na tym, żeby to zostało szybko zrobione – rzekła. – Będę o tyle spokojniejsza o nich. Zawsze czułam, że pewnego dnia znajdę sposób, by ich całkowicie ochronić przed złem.

– Niewykluczone, że ma pani rację – powiedział Zmar. – Sam nie wiem. Będzie to od pani wymagało poświęcenia całego czasu.

– Poświęcić się dla kogoś, kogo jest się pewnym, że można upilnować, to drobiazg – odrzekła.

– Nie będą mieli zbyt dużo ruchu – zauważył Zmar.

– Nie jestem pewna, czy jest to aż tak zdrowe – stwierdziła Klementyna. – To dość delikatne dzieci.

Westchnęła.

– Mam wrażenie, że jestem bardzo bliska celu – powiedziała. – To wspaniale. To mnie nieco upaja.

– Może pani odpocząć – stwierdził – w pewnej mierze.

– Nie wiem. Tak bardzo ich kocham, że nie wierzę w swój odpoczynek.

– Gdyby pani miała dość cierpliwości, by znieść to jarzmo...

– To będzie drobiazg – podsumowała. – Wobec tego, co już przeszedłam!...

## XXVII

*14 maripca*

Przez dziury w żywopłotach widać było powolne i spokojne zwierzęta skubiące niską trawę na polach. Na drodze, suchej i pustej, nie pozostał najmniejszy ślad po wczorajszym gradzie. Wiatr poruszał krzewami, których spiczaste cienie słońce nakłaniało do tańca.

Zmar obrzucał to wszystko uważnym spojrzeniem, wszystkie te pejzaże, których nie dane mu było więcej zobaczyć – dzień właśnie zajął miejsce, jakie przeznaczył mu los.

„Gdybym nie znalazł się na drodze na urwisku – pomyślał. – 28 sierpnia. A teraz miesiące stały się takie dziwne – na wsi, czas, bardziej gęsty, mija szybciej i bez żadnych punktów odniesienia.

A jednak go zasymilowałem. Zechcieli go dla mnie zostawić. Cóż mogło to oznaczać?

Gloria zmarł wczoraj, więc zajmę jego miejsce. Będąc pustym na początku, byłem zbyt ciężko upośledzony. Wstyd jest jednak rzeczą najbardziej rozpowszechnioną.

Lecz cóż – chciałem wysondować, co chciałem wiedzieć – po co chciałem być taki jak oni – pozbawiony przesądów; czy koniecznie musi to się skończyć w ten sposób i tylko w ten sposób?”

Znów widział tamten dzień, gdy w powietrzu tańczyły miękuszki – i wszystkie kroki, jakie zrobił na tej zbyt dobrze znanej drodze, wszystkie te kroki ciążyły jego nogom, i nagle czuł się tak ciężki, trasa przebyta tyle razy, dlaczego zużywa się tyle czasu, by oddalić chwilę odjazdu, dlaczego zostałem w domu na urwisku – nazajutrz trzeba będzie go opuścić, by żyć pośród złota Glorii.

Dom. Ogród. Za nim urwisko i morze. Gdzież jest Angel – zastanawiał się – dokąd pojechał na tym niepewnym urządzeniu tańczącym na powierzchni wody?

Pozostawiwszy za sobą złotą bramę zszedł ścieżką po urwisku i dotarł na plażę z jej

wilgotnymi kamykami o świeżym zapachu, z frędzlami delikatnej piany.

Po odjeździe Angela nie pozostał nawet ślad. Kilka kamieni oczerniałych od ognia płonącego toru wodowania, to wszystko. Odruchowo podniósł oczy i zamarł.

Trójka dzieci biegła po krawędzi urwiska, na pełnej szybkości, ich sylwetki były pomniejszone wskutek odległości i kąta, pod jakim patrzył. Biegli jak po płaskim terenie, nie troszcząc się o kamienie umykające spod ich stóp, niewrażliwi na bliskość otchłani, najwyraźniej ogarnięci przez szaleństwo. „Jeden niezgrabny gest i upadną. Jeden fałszywy krok i będę ich zbierał u mych stóp, połamanych, krwawiących”.

Ścieżka celników, którą podążał, odcinała się spadziście nieco dalej; żaden z trójki nie okazywał najmniejszego znaku, iż zamierza się tam zatrzymać. Niewątpliwie zapomnieli o niej.

Zmar zacisnęła pięści. Krzyknąć – i zaryzykować, że spadną? Oni nie mogli dostrzec szczeliny, tak jak on ją widział ze swego miejsca.

Za późno. Citroën dopadł do niej pierwszy. Pięści Zmara były całkiem białe, a on sam zajęczał. Dzieci odwróciły głowę w jego stronę, dostrzegły go. A później rzuciwszy się w przepaść zakreśliły ostry łuk i wylądowały tuż koło niego, szczebiocząc i śmiejąc się jak jaskółki.

– Widziałeś nas, wuju Zmarze? – zapytał Citroën. – Ale nikomu nie powiesz.

– Bawiliśmy się w udawanie, że nie umiemy latać – rzekł Noël.

– To zabawne, co – powiedział Joël. – Może byś się z nami pobawił?

Teraz już rozumiał.

– To byliście wy, wtedy z ptakami? – zapytał.

– Tak – przyznał Citroën. – Widzieliśmy cię, wiesz. Ale próbowaliśmy latać bardzo szybko, więc nie zatrzymaliśmy się. A poza tym, wiesz, nikomu nie mówimy, że latamy. Czekamy, aż będziemy bardzo dobrze latać, żeby zrobić mamusi niespodziankę.

„Żeby zrobić mamusi niespodziankę. A jaką niespodziankę ona dla was szykuje. To wszystko zmieni.

Skoro to tak, to ona nie może. Musi się dowiedzieć. Zamknąć ich w tych warunkach... Muszę coś zrobić... Muszę... nie mogę się na to zgodzić... mam jeszcze jeden dzień... jeszcze nie pływam barką po czerwonym strumieniu...”

– Bawcie się dalej, maluchy – powiedział. – Muszę wrócić na górę, żeby porozmawiać z waszą matką.

Prysnęli tuż nad falami ścigając się, zawrócili do niego, przez chwilę go eskortowali i pomogli przejść przez najwyższe skały. W kilka chwil osiągnął szczyt. Zdecydowanym krokiem udał się do domu.

## XXVIII

– Niech pan posłucha – powiedziała zaskoczona Klementyna – ja nie rozumiem. Jeszcze wczoraj uważał pan, że to dobry pomysł, a teraz przychodzi pan i mówi, że to absurd.

– Nadal zgadzam się z panią – rzekł Zmar. – Pani rozwiązanie zapewnia im doskonałą ochronę. Lecz pozostaje sam problem, a pani zapomniała go postawić.

– Jaki? – zapytała.

– Czy w gruncie rzeczy potrzebują tej ochrony?

Wzruszyła ramionami.

– To oczywiste. Umieram ze zmartwienia przez cały dzień myśląc o tym, co mogłoby im się przydarzyć.

– Użycie trybu warunkowego – zauważył Zmar – jest na ogół wyznaniem niemożności lub pychy.

– Niech pan się nie gubi pośród jałowych dygresji. Bądź pan normalny choć raz.

– Niech pani posłucha – upierał się Zmar – całkiem poważnie panią proszę, żeby pani tego nie robiła.

– Ale z jakiego powodu? – zapytała. – Niech pan wyjaśni!

– I tak by pani nie zrozumiała... – szepnął Zmar.

Nie ośmielił się zdradzić ich sekretu. Przynajmniej to im pozostawić.

– Wydaje mi się, że zajmuję lepszą pozycję niż ktokolwiek, by móc ocenić, co jest dla nich stosowne.

– Nie – powiedział Zmar. – Oni są w jeszcze lepszej pozycji od pani.

– To absurd – powiedziała Klementyna oschle. – Te dzieci są wystawione na permanentne ryzyko, jak zresztą wszystkie dzieci.

– Oni mają takie środki obrony, jakich pani nie posiada – rzekł Zmar.

– A w ogóle – powiedziała – to pan ich nie kocha jak ja i nie może pan odczuć tego, co ja.

Zmar milczał przez chwilę.

– Oczywiście – powiedział wreszcie. – Jakże mógłbym ich kochać w ten sposób?

– Tylko matka mogłaby mnie zrozumieć – rzekła Klementyna.

– Lecz ptaki umierają w klatkach – rzucił Zmar.

– Bardzo dobrze im się tam żyje – odrzekła Klementyna. – Jest to nawet jedyne miejsce, w którym stosownie można się o nie troszczyć.

– Dobrze – powiedział Zmar. – Widzę, że nic się nie da zrobić.

Wstał.

– Powiem pani do widzenia. Choć prawdopodobnie już pani więcej nie zobaczą.

– Kiedy już będą przyzwyczajeni – powiedziała – być może od czasu do czasu będę mogła chodzić do wsi. Poza tym nie rozumiem pańskich obiekcji, gdyż w gruncie rzeczy, pan chce się zamknąć w ten sam sposób.

– Ale nie zamykam innych – rzekł Zmar.

– Moje dzieci i ja, to jedno i to samo – powiedziała Klementyna. – Tak bardzo je kocham.

– Ma pani dziwną koncepcję świata – stwierdził.

– To samo pomyślałamo panu. W mojej nie ma nic dziwnego. Świat to oni.

– Nie, pani myli pojęcia – powiedział Zmar. – Pani chciałaby być ich światem. Z tego punktu widzenia jest to niszczące.

Wstał i opuścił pomieszczenie. Klementyna patrzyła, jak odchodzi. Nie wyglądała na szczęśliwą – pomyślała. – Z pewnością brak było mu matki.

## XXIX

*15 maripca*

Trzy żółte księżycy, po jednym dla każdego zatrzymały się nad oknami wykrzywiały się w stronę braci. Wszyscy trzej, w nocnych koszulach wleźli do łóżka Citroëna, skąd było lepiej widać. Ich trzy oswojone miśki u stóp łóżka tańczyły rondo śpiewając, ale bardzo cicho, żeby nie obudzić Klementyny, kołysankę homarów. Citroën, między Noëlem i Joëlem zdawał się zastanawiać. Chował coś w dłoniach.

– Szukam słów – rzekł do braci. – Tęgo, które zacznie...

Urwał.

– W porządku. Mam je.

Unióś dłonie do ust i nie otwierając ich wypowiedział po cichu kilka słów. Później położył na kocu to, co trzymał. Małego, białego pasikonika.

Niedźwiadki natychmiast podbiegły i usiadły wokół niego.

– Posuńcie się – powiedział Joël – nic nie widać.

Miśki przemieściły się w taki sposób, że plecami były oparte o nogi łóżka. Potem pasikonik przywitał się i zaczął wyczyniać akrobatyczne sztuczki. Dzieci podziwiałały go bez reszty.

Lecz bardzo szybko pasikonik zmęczył się; przesławszy im całusa, podskoczył bardzo wysoko i już nie opadł.

Zresztą nikt się już nim nie zajmował. Citroën unióś palec.

– Wiem jeszcze coś! – powiedział sentencjonalnie. – Kiedy znajdzie się pchły futerkowe, trzeba dać się ugryźć trzy razy.

– I co wtedy? – zapytał Noël.

– Wtedy – odrzekł Citroën – można stać się takim małym, jakim się tylko chce.

– I przechodzić pod drzwiami?

– Pod drzwiami, oczywiście – powiedział Citroën. – Można stać się równie małym jak pchła.

Zainteresowane miśki podeszły bliżej.

– A czy wypowiadając słowo w przeciwną stronę można stać się większym? – zapytały jednym głosem.

– Nie – odparł Citroën. – Zresztą wy jesteście akurat. Jeśli chcecie, mogę sprawić, że wyrosną wam małe ogony.

– Bez żartów! – zawołał niedźwiadek Joëla. – Dzięki!

Miś Noël dał nogę. Trzeci zastanawiał się.

– Pomyślę o tym – obiecał.

Noël ziewnął.

– Spać mi się chce. Wracam do łóżka – powiedział.

– Ja też – dodał Joël.

Kilka minut później już spali. Jedynie rozbudzony Citroën patrzył na swoje ręce mrugając okiem. Kiedy mrugał w pewien sposób, wyrastały mu dwa dodatkowe palce. Postanowił nazajutrz nauczyć tego swoich braci.

### XXX

*16 maripca*

Czeladnik kowalski miał jedenaście lat. Nazywał się Andrzej. Przepuściwszy szyję i ramiona przez skórzany fartuch, ciągnął z całych sił. Pies również ciągnął razem z nim. Z tyłu kowal i jego kompanion popychali, kiedy robiło się zbyt stromo, nie bez steku klątw pod adresem Andrzeja.

Andrzeja bolało ramię, lecz drżał z podniecenia na myśl o wejściu do ogrodu przy wielkim domu na urwisku. Ciągnął jak tylko mógł. Przed nim pojawiły się już ostatnie wiejskie zabudowania.

Po czerwonym strumieniu prześlizgiwała się stara barka Głorri. Andrzej popatrzył. To nie był już stary. Był to jakiś dziwny facet, ubrany w łachmany jak tamten, lecz posiadał rudą brodę. Zgarbiony wpatrywał się w gładką i nieprzejrzystą wodę bez ruchu, pozwalając, by prąd unosił łódź. Kowal i jego kompanion wykrzyknęli w jego kierun-

ku jowialne przekleństwa.

Dwukołowy wózek ciągnęło się bardzo ciężko, bo żelazna lora była bardzo ciężka – gruba, z kwadratowych, masywnych, krzyżujących się prętów, zniebieszczałych w kuźni od ognia. Była to piąta podróż, ostatnia. Za każdym razem wyładowywano wózek przed bramą, a inni pomocnicy wnosili materiał do ogrodu. Tym razem Andrzej miał tam wejść również, by służyć jako środek komunikacji wahadłowej pomiędzy domem a wsią, w przypadku, gdyby kowal czegoś potrzebował.

Szara wstążka drogi ciągnęła się deptana przez niecierpliwe stopy dziecka. Kółka zgrzytały, a wózek czałk przejeżdżając przez wgłębienia i wyboje. Pogoda była smutna i nieuchwytna, bez słońca, lecz również bez groźby deszczu.

Kowal zaczął wesoło pogwizdywać. Szedł bez pośpiechu trzymając ręce w kieszeniach.

Andrzej drżał między swymi dyszlami. Wolałby być koniem, żeby iść jeszcze szybciej.

Ruszył jeszcze szybciej. Jego serce waliło nieomal zbyt mocno.

Wreszcie pojawił się zakręt drogi. Górna część muru otaczającego dom i brama.

Wózek stanął. Andrzej wyprostował się by odwrócić go i wejść, lecz kowal powiedział do niego:

– Zostań tu i czekaj.

Miał złośliwy błysk w oku.

– My we dwóch go pociągniemy – rzekł. – Ty na pewno jesteś zmęczony.

Wymierzył mu solidnego kopa, bo Andrzej nie dość się spieszył z wykonaniem polecenia. Andrzej krzyknął z bólu i schował się przy murze, ukrywając głowę w skrzyżowanych ramionach. Kowal śmiał się grubym, włochatym śmiechem. Lekko ciągnąc wózek przeszedł przez bramę i zamknął ją hałaśliwie. Andrzej usłyszał chrzęst kół miażdżących żwir, coraz odleglejszy, a później już nic prócz wiatru poruszającego bluszcz oplatający dom. Pociągnął nosem, przetarł oczy i usiadł. Czekał.

Gwałtowny cios w żebra wyrwał go ze snu i w mgnieniu oka stanął na nogi. Powoli zapadł zmierzch. Szef stojąc przed nim, patrzył z kpiącą miną.

– Bardzo chciałbyś tam wejść, co? – powiedział.

Jeszcze nie rozbudzony Andrzej, nic nie rzekł.

– Idź poszukać mego wielkiego młota, który zostawiłem w pomieszczeniu.

– Gdzie? – zapytał Andrzej.

– Będziesz mi się ty związał? – szczerknął kowal, tymczasem zaś jego ręka unosiła się.

Andrzej popędził na złamanie karku. Pomimo pragnienia zobaczenia wielkiego ogrodu nie mógł przeszkodzić swym nogom w zaciągnięciu go po linii prostej do domu.

W przelocie miał wizję szerokiej, pustej przestrzeni, niepokojącej bez słońca, i dotarł do schodów. Zatrzymał się przerażony. Później wspomnienie o pryncypale popchnęło go naprzód; trzeba było przynieść młot. Wszedł.

Światło zapalone w living-roomie lśniło na stopniach, spływając przez okna o uchylonych okiennicach. Drzwi nie były zamknięte. Andrzej zapukał nieśmiało.

– Wejść! – powiedział łagodny głos.

Wszedł. Przed nim stała dość wysoka dama w bardzo pięknej sukni. Patrzyła na niego bez uśmiechu. W ogóle patrzyła w sposób, który aż chwycił za gardło.

– Mój szefzapomniał młota – powiedział. – Przyszedłem go poszukać.

– Dobrze – powiedziała dama. – Pospiesz się więc, mój mały.

Odróciwszy się dostrzegł trzy klatki. Wznosiły się w głębi pomieszczenia pozbawionego mebli. Były wystarczające dla niezbyt wysokiego mężczyzny. Ich grube, kwadratowe pręty częściowo skrywały wnętrza, lecz coś się w nich poruszało. Do każdej wsadzono małe, miękkie łóżeczko, fotel i niski stół. Lampa elektryczna oświetlała je z zewnątrz. Podeszedszy w trakcie poszukiwań młota, dostrzegł jasne włosy. Przyjrzał się lepiej, zażenowany, gdyż czuł, że dama go obserwuje. W tym samym momencie zauważył wielki młot. Wytrzeszczył oczy pochyliwszy się, by go podnieść. Kiedy napotkał spojrzenia, wiedział już, że w klatkach są mali chłopcy. Jeden z nich poprosił o coś, a dama otworzyła drzwi i weszła do niego mówiąc słowa, których Andrzej nie rozumiał, lecz jakże słodkie. A potem znowu jego oczy zderzyły się ze spojrzeniem damy, która wyszła, więc powiedział „do widzenia pani” i zaczął iść uginając się pod ciężkim młotem. Kiedy dotarł do drzwi, jakiś głos go powstrzymał.

– Jak się nazywasz?

– Ja się nazywam... – podjął jakiś inny głos.

To było wszystko co usłyszał, gdyż wypchnięto go na zewnątrz, bez brutalności, lecz stanowczo. Szedł po kamiennych stopniach. W głowie mu się kręciło. A kiedy doszedł do wielkiej, złotej bramy odwrócił się po raz ostatni. To musiało być cudowne, być tak razem z kimś kto cię rozpieszcza, w małej klatce, ciepłej i pełnej miłości. Podeszedł w stronę wsi. Tamci na niego nie czekali. Za nim brama, popchnięta być może przez przeciąg, zamknęła się z głębokim trzaśnięciem. Wiatr przelatował pomiędzy prętami.



## O Autorze

**Boris Vian** (1920-1959) - jeden z najwybitniejszych pisarzy francuskich XX wieku. Mistrz surrealizmu, subtelnej groteski, ale też ciepłych, lirycznych małych form literackich. Żył krótko, za to niezwykle intensywnie — inżynier z wykształcenia, muzyk z zamiłowania, twórca kilkunastu książek — w tymkilku tomów opowiadań (wybór z nich pt. *Opowiadki do pociągu* zaprezentowaliśmy czytelnikom w 1990 roku). Człowiek, który już za życia był legendą, po śmierci stał się dla wielu duchowym przewodnikiem.

Wydane w Polsce *Jesień w Pekinie*, *Czerwona trawa*, *Opowiadki do pociągu*, *Napluję na wasze groby* a także *I wykończymy wszystkich obrzydliwców*, (opublikowana pod pseudonimem Vernon Sullivan) stały się wielkimi sukcesami wydawniczymi.

Viana, zmarłego przed 32 laty, w Polsce odnajdują wciąż nowe pokolenia. Dla wszystkich jednak, którzy zetknęli się z jego twórczością, jedno nie ulega wątpliwości: to był Wielki Pisarz.

**Wyrywacz serc** — groteskowa powieść Viana zaliczana jest do jego najbardziej znaczących dokonań literackich. Przewrotny humor, satyra na nadopiekuńczość matek oraz brutalizację życia ukazuje każdego z nas w krzywym zwierciadle. To znakomita książka.

Tytuł oryginału: *L'ARRACHE COEUR*

Copyright © by Editions Pauvert

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Przedświt

Redakcja: Grzegorz Grabski

Projekt okładki i opracowanie graficzne: Joanna Świerczyńska

Korekta: Zespół

ISBN 83-85081-13-5

Wydanie pierwsze, Warszawa 1991

*Książka ta ukazuje się przy dofinansowaniu Francuskiego Ministerstwa Kultury*

Wydawnictwo Przedświt

00-478 Warszawa

Al. Ujazdowskie 16 m49

tel. 21-67-64

Druk i oprawa

Prasowe Zakłady Graficzne

Bydgoszcz, ul. Dworcowa 13

Zam. 3581/90



ePub

na podstawie powyższego wydania

**WM15**

v.1.0

Przedświt

# Boris Vian

# WYRYWACZ

# SERC



**Boris Vian**  
**WYRYWACZ**  
**SERC**

**Przełożył**  
**Marek**  
**Puszczewicz**

Wydawnictwo Przedświt  
Warszawa 1991

# Spis treści

Strona tytułowa

## CZEŚĆ PIERWSZA

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

## CZEŚĆ DRUGA

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

[XIII](#)

[XIV](#)

[XV](#)

[XVI](#)

[XVII](#)

[XVIII](#)

[CZEŚĆ TRZECIA](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[VII](#)

[VIII](#)

[IX](#)

[X](#)

[XI](#)

[XII](#)

[XIII](#)

[XIV](#)

[XV](#)

[XVI](#)

[XVII](#)

[XVIII](#)

[XIX](#)

[XX](#)

[XXI](#)

[XXII](#)

[XXIII](#)

[XXIV](#)

[XXV](#)

[XXVI](#)

[XXVII](#)

[XXVIII](#)

[XXIX](#)

[XXX](#)

[O Autorze](#)

[Strona redakcyjna](#)